

Alfred Bester

Człowiek do przeróbki

(The Demolished Man)

Przekład Andrzej Sawicki

Wybuch! Wstrząs! Drzwi piwnicy rozdarte eksplozją! A tam, w głębi, ułożone w stosy pieniądze czekają, by je wziąć, zagrabić i wynieść. A to, kto? Kto jest w skarbcu? Boże! To Człowiek Bez Twarzy! Obserwuje. Czai się. Milczy. Przeraża. Uciekać... Uciekać...

Biegiem, bo inaczej spóźnię się na paryską kolej pneumatyczną i nigdy już nie spotkam tej niezwyklej dziewczyny o twarzy niczym kwiat i ciele stworzonym do zaspokajania namiętności. Jeśli się pospieszę, może jeszcze zdążę. Ale to nie portier stoi przy wejściu. Chryste! Człowiek Bez Twarzy! Patrzy. Milczy. Czai się. Tylko nie krzycz. Przestań wrzeszczeć...

Przecież nie wrzeszczę. Stoję na zalanej światłem scenie z lśniącego marmuru, a w powietrzu unoszą się dźwięki muzyki. Ale amfiteatr jest pusty. Przypomina wielką, mroczną jamę... w której jest jeden tylko widz. Milczący. Wpatrzony we mnie. Czyhający. Człowiek Bez Twarzy.

W tym momencie Ben Reich głośno zawył.

Obudził się. Leżał bez ruchu na hydropatycznym łożu, podczas gdy jego serce łomotało dziko, a oczy, pozorując spokój, którego wcale nie odczuwał, wędrowały po znajdujących się w pokoju, przypadkowo wybranych przedmiotach. Oglądał więc ściany z zielonego nefrytu, nocną lampkę w kształcie porcelanowego mandaryna, kiwającego głową bez końca pod wpływem dotyku, multichrometr zsynchronizowany z czasami trzech planet i sześciu satelitów i wreszcie samo łoże z krystalicznie przejrzystym basenem napełnionym bieżącą, karbonizowaną gliceryną o temperaturze 99,9 stopni w skali Fahrenheita.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie i w półmroku pojawił się Jonas, cień w pizamie koloru bordo, zjawa o końskiej twarzy i manierach przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Znowu? – spytał Reich.

– Tak jest, proszę pana.

– Głośno?

– Bardzo głośno, sir. Musiał pan być okropnie przerażony.

– Diabli nadali twoje ośle uszy – warknął Reich. – Nie boję się nigdy i niczego.

– Tak jest, proszę pana.

– Wynos się.

– W tej chwili, sir. Dobranoc panu. – Jonas cofnął się i zamknął drzwi.

– Jonas! – zawołał Reich. Kamedyner pojawił się ponownie.

– Jonas, proszę mi wybaczyć.

– To oczywiste, sir.

– To wcale nie jest oczywiste. – Reich uśmiechnął się serdecznie. – Traktuję pana niczym swego krewnego. Za ten przywilej płacę panu stanowczo za mało.

– Ależ sir!

– Następnym razem, kiedy na pana wrzasnę, proszę odpowiedzieć mi w ten sam sposób. Dlaczego tylko ja mam mieć frajdę?

– Mister Reich!

– Niech pan to zrobi, dostanie pan podwyżkę. – Znów ten uśmiech. – To wszystko, Jonas. Dziękuję panu.

– Dobranoc, sir. – Kamedyner oddalił się.

Reich wstał z łóżka i wycierając się ręcznikiem ćwiczył uśmiech przed wielkim lustrem.

– Nie pozwól, by o wyborze twoich wrogów decydował za ciebie przypadek – mruknął. Spojrzał krytycznie na swe odbicie w lustrze; szerokie bary, wąskie biodra, długie, muskularne nogi, proste, gładko przylegające do głowy włosy, rzeźbiony nos i małe, zmysłowo zarysowane usta skażone rysem stanowczości.

– Dlaczego? – spytał. – Z samym diabłem nie zamieniłbym się na urodą. Moja pozycja społeczna w niczym nie ustępuje boskiej. Skąd więc te nocne wrzaski?

Włożył szlafrok i spojrzał na zegar, nieświadom faktu, iż jego przodków oszołomiłaby swoboda, z jaką (nawet o tym nie myśląc) zapamiętał panoramę czasową systemu słonecznego. Cyferblaty wskazywały:

AD 2301

VENUS

Standardowy Dzień

Słoneczny

Południe +09

ZIEMIA

15 lutego

0205 Greenwich

MARS 3

5 Duodecember

2220 Central Syrtis

LUNA

GANIMED

CALLISTO

TYTAN

TRYTON

10 2d lh Id lh

6d 8h

13d 12h

15d 3h

4d 9h

(Zaćmienie)

(Przecina południk)

Noc, dzień, zima, lato... Reich bez mrugnięcia okiem potrafiłby wyliczyć czas i porę roku na dowolnym południku dowolnego ciała niebieskiego wchodzącego w skład Systemu Słonecznego. Tutaj, w Nowym Jorku po pełnej koszmarów nocy budził się paskudny zimowy poranek. Kilka minut poświęci psychoanalitykowi z Ligi Esperów, którego zaangażował. Trzeba położyć kres tym nocnym wrzaskom.

– E znaczy Esper – mruknął do siebie. – Esper znaczy Extra Sensory Perception. Telepaci, Odczytywacze Myśli, Przenikacze Umysłów! Można by pomyśleć, że czytający w myślach lekarz potrafi skończyć z tymi krzykami. Można by mniemać, że esper z tytułem MD zarobi na swe honorarium zaglądając ci do łba i powstrzymując te nocne ryki. Tych cholernych wnikaczy uważa się za ukoronowanie ewolucji *Homo sapiens*. E jak Ewolucja. Dranie! Eksploatacja – oto co znaczy to E!

Trzęsąc się z wściekłości, gwałtownie otworzył drzwi.

Ruszył korytarzem dźwięcznie stukając podszwami sandałów po srebrnych płytach posadzki: klik-klak-klik-klak. Wcale nie przejmował się faktem, że przypominający stąpanie szkieletu stukot obudzi dwunastoosobowy personel i napełni dwanaście serc strachem i nienawiścią. Jednym energicznym pchnięciem otworzył drzwi do apartamentów psychiatry i natychmiast wyciągnął się na kanapce.

Carson Breen, esper-lekarz drugiego stopnia, obudził się już i czekał na pracodawcę. Jako domowy psychoanalityk Reicha nauczył się spać „na jedno ucho”: podtrzymując więź z pacjentem nawet we śnie, gotów był zerwać się na pierwsze wezwanie. Wystarczył mu jeden okrzyk. Siedział teraz obok kanapki, odziany w elegancki, zdobiony haftem szlafrok (praca u Reicha przynosiła mu dwadzieścia tysięcy kredytów rocznie) i był przygotowany do poświęcenia pacjentowi całej swej uwagi, wiedział bowiem, że ten jest hojny, ale i wymagający.

– Słucham, mister Reich.

– Znowu Człowiek Bez Twarzy – warknął Reich.

– Koszmary?

– Przejrzyj mnie, wampirze parszywy, to się dowiesz. Chwileczkę, przepraszam pana. Zachowuję się jak dziecko. Owszem, znów te koszmary. Usiłowałem obrabować bank. Potem goniłem pociąg. Potem ktoś śpiewał. Myślę, że to byłem ja. Usiłuję przekazać panu te sny najlepiej, jak potrafię. Nie sądzę, bym coś opuścił... – Nastąpiło przeciągające się milczenie. Wreszcie Reich nie wytrzymał. – No i co? Ma pan coś konkretnego?

– Mister Reich, nadal utrzymuje pan, że nie może odkryć tożsamości Człowieka Bez Twarzy?

– A niby jak mam to zrobić? Nigdy nie widzę jego twarzy. Wiem jedynie...

– Sądzę, że mógłby go pan rozpoznać. Pan po prostu nie chce tego zrobić.

– Ejże, posłuchaj pan! – gniew Reicha miał swoje źródło w poczuciu winy. – Płacę panu dwadzieścia tysięcy. Jeśli stać pana jedynie na idiotyczne banały...

– Mister Reich, pan tak myśli naprawdę, czy to tylko objaw ogólnego syndromu niepokoju wewnętrznego?

– Nie odczuwam żadnego niepokoju! – krzyknął Reich. – Nie boję się. Nigdy w życiu... – przerwał, zauważając bezcelowość przechwalania się przed esperem, mogącym z łatwością przejrzeć zasłony słów. – Tak czy owak, pan się myli. To Człowiek Bez Twarzy. Niczego więcej o nim nie wiem.

– Mister Reich, pan cały czas omija sprawy zasadnicze. Muszę pana na nie naprowadzić. Zastosujemy metodę swobodnych skojarzeń. Proszę, żadnych słów. Niech pan po prostu myśli. Rabunek...

– *Klejnoty – zegarki – łańcuszki – diamenty – sztabki – suwereny – fałszywe monety – gotówka – akcje – kurt...*

– Jakie było to ostatnie słowo?

– *A, przejęzyczenie. Miałem na myśli: kurs – giełda.*

– Mister Reich, to nie przejęzyczenie, a niebagatelna poprawka, albo lepiej, przeróbka. Jedźmy dalej. Pneumatyczny...

– *Długi – pociąg – przedziały – klimatyzacja – elastyk – sprężysta waga – Ależ to bzdury!*

– Wcale nie, panie Reich. Kalambur falliczny. Proszę zamienić głoskę w na l, a sam się pan przekona. Dalej proszę.

– Przed wami, wnioskami, nic się nie ukryje, jesteście zbyt cwani. No, zobaczymy. Pneumatyczny... *pociąg – tunel – sprężone powietrze – prędkość naddźwiękowa* – „*Nasz transport cię zachwyci*”, *hasło tej, jak jej tam do diabła, firmy. Nie pamiętam jej nazwy. Skąd mi się to wzięło?*

– Z podświadomości, mister Reich. Spróbujmy jeszcze raz i wszystko pan zrozumie. Amfiteatr...

– *Fotele – parter – balkony – łóżka – miejsca stojące – stajnie – konie – preria – Marsjańska preria...*

– No i proszę, mister Reich. Mars. Podczas ostatniego półrocza dziewięćdziesiąt siedem razy śnił pan koszmarne sny o Człowieku Bez Twarzy. Niezmiennie był on w nich pańskim wrogiem, krzyżował pańskie plany i przerażał pana podczas snów, które miały trzy wspólne cechy – dotyczyły finansów, transportu i Marsa. Wszystko to ciągle się powtarza... Człowiek Bez Twarzy, finanse, transport i Mars.

– To mi niczego nie mówi.

Mister Reich, to musi mieć jakieś znaczenie. Powinien pan umieć zidentyfikować tę złowieszczą postać. Jakież jeszcze mógłby być powód, dla którego pan tak uparcie unika spojrzenia jej w twarz?

– Niczego nie unikam!

– Proponuję, byśmy poszli śladem zamiany słów *kurs* na *kurt* i zapomnianej nazwy firmy, której hasłem jest „*Nasz transport cię...*”

– Powiedziałem już, że nie wiem, kto to jest! – Reich gwałtownie poderwał się z kanapy. – Pańskie wskazówki nic mi nie mówią. Nie potrafię go poznać.

– Człowiek Bez Twarzy przeraża pana nie dlatego, iż nie posiada oblicza. Pan wie, kim on jest. Pan go nienawidzi i obawia się go, ale wie pan, kim on jest.

– Jest pan wnioskaczem. Niech mi pan powie.

– Panie Reich, moje możliwości mają swoje granice. Bez pańskiej pomocy nie mogę czytać głębiej.

– Co to znaczy: bez mojej pomocy? Jest pan najlepszym esper-lekarzem, jakiego mogłem zaangażować. Jeżeli pan...

– Mister Reich, wie pan doskonale, że to nieprawda. Celowo zatrudnił pan espera drugiego stopnia, by uchronić się przed tą możliwością. I oto płaci pan za swą ostrożność. Jeśli

chce pan położyć kres tym nocnym wrzaskom, musi pan skonsultować się z esperem pierwszego stopnia... Mogą to być Augustus Tate, Gart, albo Samuel @kins.

– No cóż, pomyślę o tym – mruknął Reich i skierował się ku drzwiom. Gdy je otwierał, Breen rzucił w ślad za nim:

– A tak, przy okazji – „Nasz transport cię zachwyci” to dewiza kartelu D’Courtneya. Jak to się ma do zamiany słów „kurs” na „kurt”? Niech pan o tym pomyśli.

– *Człowiek Bez Twarzy!*

Nie zatrzymując się nawet, Reich odgrodził się drzwiami od czytającego w myślach Breena i ruszył korytarzem ku swoim apartamentom. Poddał się fali nienawiści. *On ma rację. D’Courtney – oto, kto jest powodem moich wrzasków. I nie dlatego, że się go boję. Obawiam się samego siebie. Zawsze wiedziałem o tym w głębi duszy. Czulem, że kiedyś będę musiał zabić tego drania, D’Courtneya. Nie dostrzegam twarzy, bo jest to oblicze morderstwa.*

Ubrany i w podłym nastroju, Reich wypadł jak bomba ze swoich apartamentów i zjechał na ulicę, gdzie czekał już skoczek firmy Monarch i jednym wdzięcznym susem podrzucił go do gigantycznego wieżowca, który wznosił się na setki pięter. Urzędowały tu tysiące pracowników nowojorskich biur firmy Monarch. Wieżowiec był ośrodkiem systemu nerwowego niewiarygodnie rozbudowanej korporacji, która wznosiła się jak piramida nad siecią transportu, komunikacji, przemysłu ciężkiego i lekkiego, zajmowała się dystrybucją i sprzedażą, prowadziła prace badawcze, nie gardziła też eksploatacją surowców i importem. Monarch Utilities & Resources, Inc. kupowała i sprzedawała, dawała i wymieniała, tworzyła i niszczyła. System jej spółek holdingowych i akcyjnych był tak skomplikowany, że do nadążania za przepływem kapitałów trzeba było zaangażować na pełny etat księgowego espera drugiego stopnia.

Reich wkroczył do swego biura w towarzystwie szefowej sekretariatu (esper 3) i jej pomocników, niosących plik porannej korespondencji.

– Zostawcie to i znikajcie – warknął.

Położyli dokumenty i kryształki odtwarzające na jego biurku, po czym odeszli, szybko i nie żywiąc urazy. Przywykli już do humorów szefa. Trzęsący się z wściekłości na D’Courtneya Reich siadł za biurkiem. W końcu wydusił z siebie:

– Dam łajdakowi jeszcze jedną szansę.

Otworzył kluczem biurko, wyciągnął znajdującą się w nim szufladę-sejf i wyjął z niej książkę szyfrową, którą wydawano jedynie szefom firm, zaliczanych przez Lloyda do grupy

*4-A. Większość potrzebnych mu haseł odnalazł na środkowych stronicach książki:

QQBA PARTNERSTWO I PODZIAŁ ZYSKÓW
RRCB OBA NASZE
SSDC OBA WASZE
TTED POŁĄCZENIE
UUFU PRZEDSIĘBIORSTWA
VVGJ INFORMACJA
WWHG PROPOZYCJA PRZYJĘTA
XXHI OGÓLNIENIE ZNANE
YYJI PROPONUJĘ
ZZKJ POTAJEMNIE
AALK NA RÓWNYCH PRAWACH
BBML UMOWA

Zaznaczywszy potrzebną mu stronę, Reich włączył vifon i gdy na ekranie pojawiła się operatorka, polecił krótko:

– Wydział Szyfrów. Ekran zamigotał i ukazał obraz zadymionego pomieszczenia, zawalonego książkami i zwojami taśm. Błdy mężczyzna w wypłowiałej koszuli spojrział na monitor i poderwał się na równe nogi.

– Słucham, panie Reich.

– Witam, Hassop. Wydaje się, że potrzebuje pan urlopu. – *Nie pozwól, by o wyborze wrogów zdecydował za ciebie przypadek.* – Niech pan skoczy na tydzień do Spacelandu. Na koszt firmy.

– Dziękuję, panie Reich. Bardzo panu dziękuję.

Mam do przesłania poufną wiadomość. Do Craya D’Courtneya. Proszę przekazać... – Reich zajrzał do książki szyfrów. – Niech pan nada: YYJI TTED RRCB UUFU AALK QQBA. Odpowiedź piorunem do mnie. Zrozumiał pan?

– Jasne, panie Reich. Piorunem.

Reich wyłączył vifon. Sięgnąwszy ręką do piętrzącego się na jego biurku stosu papierów i kryształków wyjął jeden kryształek i wetknął go do odtwarzacza. Rozległ się głos szefowej

sekretariatu:

– Towarzystwo Monarch, spadek wartości akcji o 2,1134 procenta. Kartel D’Courtneya, wzrost o 2,1130 procenta.

– Niech go szlag! – warknął Reich. – Prosto z mojej kieszeni. – Wyłączył odtwarzacz i wstał, zżerany niecierpliwością. Na odpowiedź przyjdzie poczekać kilka godzin. Od decyzji D’Courtneya zależało całe jego życie. Wyszedł z biura i zaczął przechadzkę po piętrach i działach firmy, starając się, by wyglądało to na rutynowy nadzór pracy. Esper-sekretarka dyskretnie, niczym dobrze ułożony pies, podążała za nim.

– *Tresowana suka* – pomyślał Reich. I dodał na głos: – Proszę mi wybaczyć. Złapała pani?

– W porządku, panie Reich. Rozumiem pana.

– Tak? A ja, niestety, nie. Niech diabli porwą D’Courtneya!

W dziale zatrudnienia odbywało się rutynowe sprawdzanie przydatności i selekcja licznych kandydatów na stanowiska zwykłych urzędników, specjalistów, pracowników średniego szczebla zarządzania i najwyższej klasy ekspertów. Wszyscy ci ludzie przeszli już przez standardowe testy i wywiady, które jak zwykle zresztą, nie zadowolili kierującego działem espera. Gdy Reich tu wkroczył, szef kadr, kipiąc gniewem, krążył z kąta w kąt. Fakt, że sekretarka Reicha telepatycznie uprzedziła go o wizycie właściciela firmy, nie zmienił o włos jego zachowania.

– Przyznano mi dziesięć minut na decydujący wywiad z kandydatem – ostro objeżdżał swego asystenta. – Czyni to sześciu na godzinę i czterdziestu ośmiu dziennie. Jeśli zmuszony jestem odrzucać ponad trzydzieści pięć procent, oznacza to, iż tracę swój czas, a ściślej – czas firmy Monarch. Firma zaangażowała mnie nie po to, bym odrzucał tych, których nieprzydatność jest oczywista na pierwszy rzut oka. To należy do was. Róbcie więc swoje. – Odwrócił się do Reicha i skłonił z godnością. – Dzień dobry, panie Reich.

– Witam. Jakież kłopoty?

– Nic takiego, z czym nie można by się uporać, oczywiście pod warunkiem, że moi współpracownicy pojęliby, iż percepcja pozazmysłowa nie jest cudem, ale zdolnością, którą można oceniać w kategorii określenia wartości godziny pracy. Panie Reich, jaka jest pańska decyzja w sprawie Blonna?

Sekretarka: – *On jeszcze nie czytał pańskiego raportu.*

– *Młoda damo, chciałbym przypomnieć pani, że nie wykorzystując w pełni moich możliwości, firma traci swe pieniądze. Raport w sprawie Blonna leży na biurku mister Reicha od trzech dni.*

– Kimże, do nagłej cholery, jest ów Blonn? – spytał Reich.

– Mister Reich, niechże wolno mi będzie nakreślić sytuację ogólną. Wśród członków Ligi Esperów około stu tysięcy posiada trzeci stopień. Esper taki potrafi przeniknąć umysł przeciętnego człowieka na poziomie świadomości – może odczytać, o czym w danej chwili ów rozmyśla. Stopień ten jest w telepatii najniższy. Ludzie ci, na przykład, zajmują większość stanowisk w ochronie naszej firmy. Zatrudniamy ponad pięćuset...

– *Przecież on dobrze wie o tym wszystkim. Do rzeczy, panie gaduło.*

– *Jeśli łaska, proszę pozwolić mi wyłożyć problem szefowi tak, jak uważam za konieczne.*

– Dalej, wśród członków Ligi jest około dziesięciu tysięcy esperów drugiego stopnia – lodowatym tonem kontynuował szef kadr. – Są to spece, którzy podobnie jak ja sam, potrafią spenetrować wyższe poziomy podświadomości. Większość z nich to lekarze, prawnicy, inżynierowie, nauczyciele, ekonomiści, architekci i tak dalej.

– I każdemu z was trzeba płacić majątek – sarknął Reich.

– A czemużby nie? Sprzedajemy usługi szczególnego rodzaju. Firma Monarch uznaje oczywistość tego faktu. Aktualnie zatrudniamy setkę tego typu specjalistów.

– *Przejdzie pan wreszcie do rzeczy?*

– I na koniec, Liga wśród swych członków ma niespełna tysiąc esperów pierwszego stopnia. Potrafią oni przeniknąć najniższe poziomy podświadomości... najgłębsze tajniki umysłu. Pierwotne instynkty i tak dalej. Ludzie ci, oczywiście, stanowią śmietankę środowiska. Są wykładowcami uniwersyteckimi, specjalizują się w medycynie, zajmują się psychoanalitką, jak Tate, Gart, @kins, Moselle... kryminologią, jak Lincoln Powell z Parapsychologicznego Wydziału Policji Miejskiej, można ich spotkać wśród doradców politycznych rządu, międzynarodowych handlowców i tak dalej. Do tej pory firmie Monarch usługi espera najwyższej klasy nie były potrzebne.

– Cóż dalej? – mruknął Reich.

– Sytuacja uległa zmianie, mister Reich, i mniemam, że Blonn wyrazi zgodę. Mówiąc krótko...

– *No, nareszcie!*

– ...firma zatrudnia tylu esperów, iż proponuję utworzenie oddzielnego wydziału w kadrach, postawienie na jego czele Blonna i przekazanie mu wyłącznie badań telepatów.

– *On się zastanawia, dlaczego pan sam nie może się tym zająć.*

– Panie Reich, wyłożyłem rzecz tak obszernie, by wyjaśnić, dlaczego sam nie sprostam temu zadaniu. Jestem esperem klasy drugiej. Mogę szybko i skutecznie ocenić przydatność normalnych ludzi, ubiegających się o posadę, z esperami jednak sprawa ma się inaczej. Wszyscy oni przywykli do stosowania bloków psychicznych o różnej, zależnej od stopnia, skuteczności. Przejrzenie myśli espera trzeciego stopnia zajmie mi godzinę. Przy stopniu drugim będzie to trwało trzy godziny. Jest natomiast bardzo prawdopodobne, że nie zdołam sforsować bloków, stosowanych przez speców pierwszego stopnia. Do tej roboty musimy wynająć kogoś takiego jak Blonn. Koszty, rozumie się, będą ogromne, nie mamy jednak innego wyjścia.

– A dlaczegóż to jest takie pilne? – spytał Reich.

– *Na miłość boską! Niechże mu pan tego nie mówi! W ten sposób niczego pan nie osiągnie! Rozjuszy go pan tylko. Jest już w dostatecznie podłym nastroju.*

– *Madame, muszę wywiązać się ze swych obowiązków.* – Reichowi zaś szef kadr powiedział: – Sir, rzeczy mają się tak, że nie zatrudnimy najlepszych. Śmietankę zbiera nam sprzed nosa kartel D’Courtneya. Niejednokrotnie już, wykorzystując fakt, że brak nam odpowiednich speców, ludzie D’Courtneya zmuszali nas do angażowania gorszych fachowców, podczas gdy sami wybierali tych najlepszych.

– Niech pana szlag trafi! – krzyknął Reich. – I D’Courtneya razem z panem. Dobrze więc. Niech pan się tym zajmie. Proszę polecić temu Blonnowi, by zaczął planować operację przeciwko D’Courtneyowi. Pan też niech się za to zabierze.

Wyskoczył z działu kadr i pomknął do działu sprzedaży. Czekwały tam na niego równie niemiłe wieści. W zacieklej walce z kartelem D’Courtneya Monarch Utilities & Resources traciło punkt za punktem. D’Courtney zwyciężał w każdej dziedzinie: w reklamie, budownictwie, badaniach naukowych i informacji. Koniec był nieuchronny. Reich wiedział, że nie ma szans.

Wróciwszy do swego gabinetu, przez pięć minut krążył wściekły po pomieszczeniu.

– Nie ma się co oszukiwać – mruknął w końcu. – Wiem, że muszę go zabić. Na połączenie nie zgodzi się z pewnością. I cóż by mu to dało? Rozłożył mnie na łopatki i świetnie zdaje sobie z tego sprawę. Muszę go zabić, ale potrzebuję do tego pomocnika. Espera.

Włączył vifon i polecił: – Rekreacja.

Na ekranie pojawił się obraz lśniącej chromem i emalią sali, w której ustawiono stoliki do gier i automat barowy. Pracownicy firmy przychodzili tu na chwilę relaksu. W istocie jednak była to siedziba świetnie zorganizowanego wydziału wywiadu kompanii Monarch. Kierownik sali, brodaty intelektualista o nazwisku West, pogrążony w rozwiązywaniu jakiegoś problemu szachowego, spojrzął na ekran i zerwał się na równe nogi.

– Dzień dobry panu, panie Reich.

Formalny zwrot „panie” był ostrzeżeniem i Reich przyjął je do wiadomości.

– Dzień dobry, West. Postanowiłem wpaść do was na chwilę. Ot tak, bez specjalnego powodu. Pańskie oko... i tak dalej. Jak zabawiają się pracownicy?

– Każdy według swoich upodobań, panie Reich. Muszę jednak poskarżyć się panu, że stanowczo zbyt wiele czasu poświęcają grom hazardowym – kontynuował zatroskanym tonem, dopóki dwaj niczego nie podejrzewający urzędnicy nie wypili swoich kaw i nie wyszli. Gdy to się stało, westchnął z ulgą, usiadł w swym fotelu i powiedział: – No dobra, szefie. Atmosfera czysta. Wal pan.

– Ellery, czy Hassop rozgryzł ten szyfrogram?

Wnikacz potrząsnął głową.

– Dalej się biedzi?

West uśmiechnął się i skinął głową.

– Gdzie jest teraz D’Courtney?

– Na pokładzie „Astry”, podąża ku Ziemi.

– Zna pan jego plany? Wie pan, gdzie zamierza się zatrzymać?

– Nie mam pojęcia. Zająć się tym?

– Jeszcze nie wiem. To zależy...

– Od czego? – West spojrzął na Reicha nie bez ciekawości. – Panie Reich, szkoda, że przez vifon nie da się czytać myśli. Chciałbym wiedzieć, co pan kombinuje?

Reich uśmiechnął się kwaśno.

– Dzięki ci, Boże, za ten wynalazek. Mamy przynajmniej choć taką ochronę przed telepatami. Ellery, jaki jest pański stosunek do zbrodni?

– Taki, jak wszystkich.

– Ludzi?

– Członków Ligi. Nasza Liga potępia przestępstwa, Ben.

– I czemu tak się pan przed nią trzęsie? Zna pan cenę pieniądza i sukcesu. Dlaczego nie zacznie pan myśleć samodzielnie, tylko pozwala pan, by Liga decydowała za pana?

– Nie pojmie pan tego, Ben. Esper Liga nas stworzyła. Żyjemy w niej i w niej umieramy. Jedynym naszym prawem jest wybór władz Ligi. To ona kieruje naszym życiem zawodowym. Daje nam wykształcenie i wychowanie, ustala normy etyczne i dba o ich przestrzeganie. Podobnie jak stowarzyszenie medyczne, Liga dba o prawa naszych klientów i tym samym dba o nas. Mamy również odpowiednik przysięgi Hipokratesa, nazywamy go Ślubowaniem Espera. I niech Bóg ma w swej opiece tego, kto złamie śluby... do czego, jak sędzę, zamierza mnie pan nakłonić.

– Może i tak – powiedział Reich z powagą. – Możliwe, że podsuwam panu myśl, iż złamanie ślubów może się opłacić. Rozważam wysokość sumy... większej, niż pan, albo jakikolwiek esper drugiego stopnia widział w swoim życiu.

– Ben, niech pan da spokój. Nie jestem ciekaw.

– Załóżmy jednak, że ktoś złamał śluby. Co konkretnie mu grozi?

– Ostracyzm.

– Tylko tyle? I to jest takie straszne? Przecież zarobi ogromną forszę. Bystrzejsi spośród wnikaczy zrywali z Ligą i wcześniej. Poddawano ich ostracyzmowi. I co z tego? Ellery, niech pan wreszcie zmądrzeje.

West uśmiechnął się z odcieniem wyższości.

– Nie zrozumie pan tego, Ben.

– No to proszę mi wytłumaczyć tak, bym zrozumiał.

– Wspomniał pan o tych pozbawionych praw wnikaczach... takich jak Jerry Church. Nie okazali się tacy cwani, jak pan sądzi. To jest mniej więcej tak... – West zamyślił się na chwilę. – Zanim chirurgia uporała się z niektórymi problemami, istnieli upośledzeni ludzie, zwani głuchoniemymi.

– To ci, którzy nie mogli mówić ani słyszeć?

– Nie inaczej. Porozumiewali się za pomocą języka gestów. Oznaczało to, iż nie mogli nawiązać kontaktu z nikim oprócz innych głuchoniemych. Pojmuje pan? Musieli trzymać ze sobą albo nie mogliby żyć w ogóle. Jeśli człowiek nie może porozmawiać ze znajomymi i przyjaciółmi, straci rozum.

– I co dalej?

Niektórzy z nich zajęli się wymuszaniem. Opodatkowali najbogatszych spośród innych głuchoniemych. Jeśli ofiara odmawiała cotygodniowej zapłaty, wykluczano ją ze społeczności. Nikt jednak nie odmawiał, ponieważ wybór zawsze był prosty: zapłać albo pozostaniesz samotny, aż zwariujesz.

– Chce pan rzec, iż wy, wnikacze, jesteście jak ci głuchoniemi?

– Nie, panie Reich. Mówię o was, ludziach normalnych. Jeśli którykolwiek z nas musiałby żyć wyłącznie pomiędzy wami, zwariowałby. Dlatego proszę dać mi spokój. Jeśli kombinuje pan coś paskudnego, nie chcę o tym wiedzieć.

West wyłączył się bez dalszych komentarzy. Reich ryknął z furją, porwał złoty przycisk do papierów i rzucił nim w kryształowy ekran. Odłamki nie zdążyły jeszcze opaść na ziemię, gdy wybiegł korytarz w stronę wyjścia z budynku.

Jego esper-sekretarka wiedziała, dokąd on wychodzi. Esper-kierowca wiedział, dokąd go zawieźć. W domu oczekiwała na niego esper-gospodyni, która natychmiast poleciła podać mu wczesny obiad, zestawiając potrawy zgodnie z jego nie wypowiedzianymi życzeniami. Zjadłszy i nieco się uspokoiwszy, Reich przeszedł do swego gabinetu i podszedł do migocącego w kącie sejfu.

Był to po prostu przypominający plaster miodu stelaż na dokumenty, zestrojony temporalnie w fazie z pewną częstotliwością. W każdej sekundzie, gdy faza sejfu była zgodna z fazą temporalną, rozbłyskiwał on barwnym migotliwym światłem. Kluczem do sejfu był, oczywiście niepowtarzalny, odcisk lewego wskazującego palca Reicha.

Reich dotknął palcem punktu, z którego rozchodził się blask. Poświata zniknęła i ukazał się plaster sejfu. Nie odrywając palca, Reich sięgnął i wyjął niewielki czarny notes i dużą czerwoną kopertę. Cofnął palec i sejf, zmieniając fazy, zamigotał ponownie.

Reich pospiesznie przebiegł wzrokiem po kartkach notesu. ANARCHIŚCI... AFERZYŚCI... ŁAPÓWKARZE (POTWIERDZENIE DOWODAMI)... ŁAPÓWKARZE (POTENCJALNI)... PORYWACZE... PRZESTĘPCY...

W rubryce potencjalnych łapówkarzy znalazł nazwiska siedemdziesięciu pięciu wpływowych i szanowanych obywateli. Jednym z nich był Augustus Tate, doktor nauk medycznych i esper pierwszego stopnia. Reich kiwnął głową z satysfakcją.

Następnie rozdarł czerwoną kopertę i przejrzał jej zawartość. Składała się ona z pięciu

kartek, zapisanych drobnym pismem, jakim posługiwano się kilka stuleci temu. Było to przesłanie do potomków, napisane przez założyciela kompanii Monarch i pierwszego z rodu Reichów. Cztery z kartek zatytułowano: PLAN A, PLAN B, PLAN C, i PLAN D. Piąta nosiła tytuł WPROWADZENIE. Reich zaczął czytać, nie bez trudności przebijając się przez staromodne zawijasy.

DO MOICH SPADKOBIERCÓW. Tylko głupcy cofają się przed popełnieniem czynów, które wynikają z oczywistej konieczności. Jeśli otworzyłeś tę kopertę, oznacza to, iż myślisz tak jak ja.

Przygotowałem cztery plany morderstwa i, być może, skorzystasz z któregoś z nich. Plany te stanowią część dziedzictwa Reichów. Są tylko szkicami. Szczegóły powinieneś obmyślić sam, dostosowując je do wymogów czasu i stosunków społecznych, na ile to będzie konieczne.

Uwaga! Istota morderstwa od wieków pozostaje niezmienna. W każdej epoce jest nią konflikt mordercy ze społeczeństwem, stawkę zaś stanowi ofiara. Podstawowe zasady konfliktu ze społeczeństwem są zawsze te same. Bądź zuchwały, zdecydowanie dąż do celu, nie dopuść do siebie myśli o klęsce, a na pewno odniesiesz sukces. Społeczeństwo nie potrafi ci się oprzeć.

Reich czytał powoli, przepełniony podziwem dla swojego protoplasty, który potrafił poczynić przygotowania na każdą z możliwych sytuacji alarmowych. Plany były przestarzałe, zdumiewały jednak pomysłowością i pobudzały wyobraźnię: w jego mózgu jedna za drugą zaczęły jawić się idee, błyskawicznie je rozważał, odkrywał ich słabe punkty i zastępował nowymi pomysłami. Uwagę Reicha przykuło jedno zdanie posłania:

Jeśli uważasz się za urodzonego zabójcę, nie planuj zbyt szczegółowo. Zaufaj instynktowi. Rozum może cię zawieść, instynkt zabójcy jednak jest nie do pobicia.

– Instynkt zabójcy! – wyszeptał Reich. – Posiadam go, na Boga!

Zadzwonił telefon i natychmiast włączył się automat dalekopisu. Z drukarki z terkotem zaczęła wysuwać się taśma. Reich podszedł do biurka i spojrział na wiadomość. Posłanie było zabójczo krótkie:

SZYFRÓWKA DO REICHA: WWHG.

WWHG. – Oferta odrzucona. Odrzucona? ODRZUCONA!

– Wiedziałem! – krzyknął Reich. – Doskonale, D’Courtney. Nie chcesz fuzji, dostaniesz z dubeltówki!

2

Doktor nauk medycznych Augustu Tate, esper pierwszego stopnia, za godzinny seans psychoanalizy brał tysiąc kredytów. Nie jest to zbyt wysokie honorarium, zważywszy na fakt, iż niewielu klientów przy tak morderczej dla ich kieszeni cenie żądało konsultacji dłuższej niż godzina; niemniej dochód doktora sięgał ośmiu tysięcy dziennie i sporo ponad dwa miliony rocznie. Niewielu też ludzi wiedziało, jaką część tej sumy zabiera Liga na kształcenie nowych telepatów i realizację tak zwanego Planu Eugenicznego, którego celem było przyswojenie percepcji pozazmysłowej całej ludzkości.

Augustus Tate wiedział jednak, jak duża jest to część i fakt, iż traci dziewięćdziesiąt pięć procent dochodów, był dla niego źródłem nieustających cierpień. Z tego też powodu przystał do Związku Esper Patriotów, skrajnie prawicowego ugrupowania wewnątrz Ligi, dążącego do zdobycia władzy wśród esperów i zagwarantowania nietykalności zarobków specjalistów wyższych stopni. To właśnie przynależność do Związku kazała Reichowi umieścić go w kategorii potencjalnych łapówkarzy.

Reich, wkroczywszy do eleganckiego gabinetu Tate'a, obrzucił drobnego i nieco nieproporcjonalnie (co krył umiejętnie skrojony garnitur) zbudowanego gospodarza szybkim spojrzeniem. Dokonawszy lustracji usiadł i warknął:

– Proszę mnie odczytać. I niech się pan pospieszy.

W skupieniu przyglądał się Tate'owi, kiedy elegancki, niewysoki wnikacz skoncentrował na nim ostre spojrzenie i wyrzucał z siebie urywane zdania:

– Ben Reich z firmy Monarch. Kredyt firmy sięga dziesięciu miliardów. Sądzi pan, że go znam. Tak jest w istocie. Zaangażował się pan w walkę na śmierć i życie z kartelem D'Courtneya. Czy nie tak? Pała pan dziką nienawiścią do D'Courtneya. Dobrze mówię? Dziś rano zaproponował mu pan fuzję towarzystw. Posłał mu pan szyfrówkę: YYJI TTED RRCB UUFE AALK QQBA. Oferta została odrzucona. Zdesperowany postanowił pan... – Tate przerwał.

– Proszę dalej – powiedział Reich.

– ...zamordować Craya D'Courtneya i w ten sposób uczynić pierwszy krok na drodze do przejścia jego kartelu. Potrzebuje pan mojej pomocy... Panie Reich, proszę mnie nie rozśmieszać. Jeśli nie porzuci pan swych zamysłów, zmuszony będę o tym zameldować. Zna pan prawo.

– Pan zaś niech nie będzie durniem, Tate. To właśnie pan pomoże mi je złamać.

– Nie, panie Reich. Proszę nie liczyć na moją pomoc.

– I kto to mówi? Esper klasy pierwszej? I ja mam w to uwierzyć? Wmawia mi pan, że nie potrafi przechytrzyć każdego człowieka, każdej grupy ludzi, ba! – całego świata?

Tate uśmiechnął się.

– Słodczy, by zwabić muchę – powiedział. – Sposób typowy dla...

– Proszę mnie odczytać – przerwał mu Reich. – Nie traćmy czasu. Niech pan przejrzy mój umysł. Pański talent. Moje środki finansowe. Połączenie nie do pobicia. Mój Boże! Ludzkość ma szczęście, że zamierzam poprzestać na jednym morderstwie. Razem moglibyśmy zniewolić wszechświat.

– Niestety – powiedział Tate zdecydowanym głosem. – Nic z tego nie wyjdzie. Będę musiał zameldować o panu, panie Reich.

– Proszę zaczekać. Nie ciekawi pana, co zamierzam panu ofiarować? Proszę zajrzeć głębiej. Ile chcę panu zapłacić? Do jakiej sumy możemy dojść?

Niewzruszona niczym maska twarz Tate'a znieruchomiała w wysiłku, Nagle szeroko otworzył oczy ze zdumienia. – Pan żartuje! – sapnął.

– Z pewnością nie – odparł Reich. – Co więcej, mam nadzieję, iż zorientował się pan, że dotrzymam słowa, nieprawdaż?

Tate powoli skinął głową.

– I zdaje pan sobie sprawę z tego, że połączenie firmy Monarch i kartelu D'Courtneya sprzyja urzeczywistnieniu obietnicy?

– Gotów jestem w to uwierzyć.

– A więc niechże pan zaufa. Od pięciu lat finansuję wasz Związek Patriotów. Proszę przejrzeć mnie głębiej, a pojmie pan, dlaczego to robię. Tej cholernej Ligi Esperów nienawidzę równie głęboko jak pan. Etyka Ligi szkodzi biznesowi... przeszkadza w robieniu pieniędzy. Wasz Związek jest organizacją, która pewnego dnia może zniszczyć Ligę.

– Wszystko to już odczytałem – uciął Tate.

Jeśli zjednoczę Monarch i kartel D'Courtneya, będę mógł pomyśleć o sprawach poważniejszych niż pomaganie pańskiej frakcji w dywersji przeciw Lidze. Mogę zrobić z pana dożywotniego prezydenta nowej Ligi. Nie zażadam za to żadnej przysługi. Sam nie zdobędzie pan tego stanowiska, ale z moją pomocą... i owszem. Tate zamknął oczy i wymamrotał:

– Od siedemdziesięciu dziewięciu lat nie zanotowano ani jednej udanej próby popełnienia morderstwa z premedytacją. Dzięki esperom niemożliwe się stało ukrycie zamiaru. A nawet jeśli komuś udałoby się umknąć ich uwagi przed popełnieniem zbrodni, niemożliwe byłoby ukrycie winy po dokonaniu czynu.

– Esperom nie pozwala się świadczyć w sądzie.

– Istotnie, ale jeśli członek Ligi wpadnie na trop, zawsze potrafi odnaleźć dowody potwierdzające winę. Lincoln Powell, prefekt Parapsychologicznego Wydziału Policji jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem. – Tate otworzył oczy. – Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy obaj zapomnieli o tej rozmowie?

– Nie! – warknął Reich. – Przedtem przyjrzymy się wspólnie mojemu planowi. Dlaczego dotychczas nie udało się żadnemu mordercy? Ponieważ świata strzegą telepaci. Co można przeciwstawić jednemu telepacie? Drugiego telepatę. Do dnia dzisiejszego żadnemu mordercy nie przyszło na myśl, aby zaangażować niezłego wnikacza, który by go ubezpieczał; a nawet jeśli ktoś miał dość oleju we łbie, by wpaść na ten pomysł, nie posiadał środków na jego realizację. Ja mam te środki.

– Cóż dalej?

Wypowiadam wojnę – kontynuował dalej Reich. – Przede mną bezpardonowa walka ze społeczeństwem. Rozpatrzmy problem w kategoriach strategii i taktyki. Jest on podobny temu, przed jakim staje dowódca każdej armii. Nie wystarczy sama zuchwałość, dzielność i wola zwycięstwa. Każda armia potrzebuje wywiadu. Wojny wygrywa ten, kto ma lepszą sieć informacyjną. Moim wywiadem będzie pan.

– Przypuśćmy.

– Walka należy do mnie. Pan ma mi dostarczać wiadomości o nieprzyjacielu. Aby zaplanować miejsce i czas uderzenia, muszę wiedzieć, jak dotrzeć do D’Courtneya. Morderstwo wezmę na siebie, pan jednak musi mi powiedzieć, gdzie i kiedy znajdę okazję.

– To jasne.

– Muszę uprzedzić atak wroga... i przebić się przez sieć ochroniarzy D’Courtneya. To oznacza, że pan przeprowadzi rozpoznanie. Będzie pan musiał sprawdzić wszystkich normalnych ludzi w jego otoczeniu, uprzedzić mnie o obecnych tam wnikaczach i w razie potrzeby, jeśli mimo wszystko natknę się na któregoś z nich, zablokować jego zdolność czytania moich myśli. Po dokonaniu zabójstwa będę musiał wycofać się na tyły. Pan będzie strzegł moich pleców.

Pozostanie pan też na miejscu zabójstwa. Zorientuje się pan, kogo i z jakich powodów podejrzewa policja. Jeśli zostanie w porę ostrzeżony, iż podejrzenia kierują się w moją stronę, potrafię je oddalić. Gdy dowiem się, że podejrzany jest ktoś inny, pomogę policji znaleźć dowody potwierdzające jego winę. Jeżeli podejmie się pan roli mojego wywiadowcy, mogę walczyć i wygrać tę walkę. Czy rozumiem prawidłowo? Proszę mnie odczytać.

Po dłuższej chwili milczenia Tate stwierdził:

– Zgadza się. Możemy tego dokonać.

– A więc zechce mi pan pomóc?

Tate zamilkł na chwilę, zawahał się i wreszcie odparł zdecydowanym tonem:

– Zgoda.

Reich westchnął głęboko.

– Świetnie. Przedstawię panu teraz mój plan działania. Dobiorę się do wroga wykorzystując starą grę zwaną SARDYNKI. Dzięki niej dotrę do D’Courtneya, a sposób zabójstwa obmyśliłem już wcześniej: wiem, jak wypalić ze starego, antycznego rewolweru, nie używając kul.

– Proszę zaczekać – nieoczekiwanie przerwał mu Tate. – Jak zamierza pan ukryć swe myśli przed przechodzącymi obok wnikaczami? Mogę pana ekranować jedynie wtedy, gdy będziemy razem. Ale przecież nie będę kręcił się nieustannie w pobliżu.

– Potrafię założyć sobie krótkotrwały blok myślowy. Znajdę go na Melody Lane, mieszka tam pewna autorka piosenek: trochę jej nałgam i myślę, że mi pomoże.

Tate przez chwilę badał umysł Reicha i w końcu powiedział:

– To może się udać. Ale niepokoi mnie jeszcze jedna sprawa. Załóżmy, że D’Courtney będzie miał obstawę. Liczy pan na zwycięską wymianę strzałów? Ich też zamierza pan...

– Ależ nie, mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Pracujący dla firmy Monarch fizjolog, gość nazwiskiem Jordan, wynalazł kapsułki ogłuszające. Zamierzaliśmy używać ich do tłumienia zamieszek. Poczęstuję nimi goryli D’Courtneya.

– Aha.

– Pan cały czas będzie pracował dla mnie... rozpoznając teren i zdobywając wiadomości o przeciwniku, ale jedna informacja potrzebna mi jest bardziej niż inne. Gdy D’Courtney przybywa do miasta, zwykle gości u Marie Beaumont.

– U Pozłacanej Mumii?

– Właśnie. Muszę wiedzieć, czy D’Courtney i tym razem zatrzyma się u niej. Od tego zależy reszta.

– To dość łatwe. Mogę dla pana zdobyć plany i zamiary D’Courtneya, mogę równocześnie wyjaśnić, gdzie chce się zatrzymać. Lincoln Powell organizuje dziś małe spotkanie towarzyskie. Prawdopodobnie przyjdzie na nie lekarz domowy D’Courtneya. Od tygodnia już przebywa na Ziemi. Rozpoznanie zacznę od niego.

– Czy nie obawia się pan Powella?

Tate uśmiechnął się nie bez lekceważenia.

– Panie Reich, czy zdecydowałbym się na współpracę, jeśli byłoby inaczej? Niech pan nie ocenia mnie błędnie, nie jestem Jerry Church.

– Jaki Church?

– Proszę nie udawać, panie Reich. Church, esper drugiego stopnia. Dziesięć lat temu wylano go z Ligi, po tym jak pan zaprosił go raz na małe przyjęcie.

– Niech pana diabli porwą! Przejrzał pan mój mózg?

– Co nieco podejrziałem, resztę znałem już wcześniej.

– No cóż, tym razem będzie inaczej. Pan jest twardszy i sprytniejszy niż Church. Czy na dzisiejszy wieczór nie przydałoby się panu coś specjalnego? Kobieta? Coś z ubrania? Bizuteria? Pieniądze? Gdyby tak było, proszę dzwonić do firmy Monarch.

– Nie potrzebuję niczego... ale dzięki za starania.

– Taki już jestem, przestępca... i hojny gość – powiedział Reich z uśmiechem, podnosząc się i kierując ku drzwiom. Nie podał Tate’owi ręki na pożegnanie.

– Panie Reich – powiedział nagle Tate.

Reich obrócił się w drzwiach.

– Te wrzaski po nocach wcale się nie skończą. Człowiek Bez Twarzy nie jest symbolem morderstwa.

– *Co takiego!?! O Chryste! Te koszmary! Nadal mają trwać? Ty przeklęty wnikaczu. Jakieś to odkrył? Jak zdołałeś...*

– Panie Reich, niechże pan nie będzie głupcem. Czyżby mniemał pan, iż zdoła okpić espera pierwszego stopnia?

– *Kto z kogo kpi, ty skurwielu? Co wiesz o koszmarach?*

– O nie, panie Reich, tego panu nie powiem. Wątpię, czy mógłby tu pomóc ktokolwiek

inny niż esper pierwszego stopnia, ale naturalnie nie zdecyduje się pan na taką konsultację, zwłaszcza po zawarciu umowy ze mną.

– *Człowieku, na miłość boską! Czy to znaczy, że nie zamierzasz mi pomóc?*

– Nie, panie Reich. – Tate uśmiechnął się złośliwie. – Ja również muszę mieć na pana coś w zanadrzu. Dzięki temu możemy pozostać równoprawnymi partnerami. Pojmuje pan, równowaga sił. Wzajemna zależność gwarancją zaufania. Taki już jestem, przestępca... i wnikacz.

Jak wszyscy specjaliści najwyższego lotu Lincoln Powell, doktor filozofii, esper pierwszego stopnia, mieszkał we własnej willi. Nie wynikało to z zamiłowania do przesadnego luksusu, ale z konieczności odosobnienia. Potok myśli, zbyt słaby aby przebić się przez mur, z łatwością przenikał przez przeciętnej grubości plastikową ściankę kwater w blokach. Zamieszkanie w takim mrowisku oznaczałoby dla espera życie wśród piekła obnażonych emocji.

Powell, prefekt policji, mógł pozwolić sobie na kupno niewielkiego, stojącego nad North River domku na Hudson Ramp. Willa ta mieściła w sobie zaledwie cztery pomieszczenia; sypialnię i gabinet na piętrze oraz kuchnię i salon na parterze. W domu nie było żadnej służby. Jak większość esperów wyższych stopni, Powell potrzebował samotności, gospodarstwo prowadził więc sam. Teraz właśnie przebywał w kuchni, gdzie przygotowując zakąski dla spodziewanych gości, pogwizdywał jakąś niewesołą i zawilą melodyjkę.

Powell był wysokim, zbliżającym się już do czterdziestki mężczyzną o powolnych i nieco niedbałych ruchach. Jego szerokie usta, w kąciку których zwykle czał się cień uśmiechu, teraz zaciśnięte były w wyrazie głębokiej goryczy. Prefekt czynił właśnie sam sobie wyrzuty, wyliczając swe najgorsze wybryki.

Główną cechą, wspólną wszystkim esperom, jest bezpośredniość reakcji. Osobowość espera zawsze dostosowuje się do nastroju otoczenia. Problemem, z jakim borykał się nieustannie Powell, było jego nadmiernie rozwinięte poczucie humoru i zawsze przesadne reakcje na każdy objaw śmieszności. Miewał ataki czegoś, co w braku lepszego określenia nazywał „Reakcją Niegodziwego Abe’a” □. Ktoś na przykład zadawał Powellowi niewinne pytanie, odpowiadał zaś na nie Niegodziwy Abe. Z poważną miną Lincoln zaczynał snuć najbardziej niesamowite historie, podsuwane mu na poczekaniu przez jego przebogatą wyobraźnię. I w żaden sposób nie potrafił oprzeć się pokusie.

Nie dalej jak dziś po południu komisarz Crabbe, zasięgając informacji o rutynowym śledztwie w sprawie szantażu, przejęczył się wymawiając czyjeś nazwisko. Powell czując przypływ natchnienia natychmiast poczęstował go dramatyczną historią wymyślonej przez siebie zbrodni i opisem śmiałego rajdu policyjnego, podczas którego niezwykle męstwem odznaczył się porucznik Köpenick[□]. Teraz zaś komisarz pragnął odznaczyć porucznika Köpenicka medalem.

– Niegodziwy Abe – z goryczą mruknął Powell. – Dałeś mi dziś do wiwatu.

W tym momencie usłyszał dźwięk dzwonka u drzwi. Nie bez zdziwienia spojrzął na zegarek (na gości było jeszcze zbyt wcześnie) i w tonacji wysokiego C posłał do czujnika zamka impuls otwarcia. Zamek zareagował na rozkaz telepatyczny, tak jak kamerton reaguje na dźwięki o odpowiedniej częstotliwości, i drzwi otworzyły się.

Do Powella natychmiast dotarł znany mu impuls sensorowy: śnieg/mięta/tulipany/tafta.

– *Mary Noyes. Przybyłaś pomóc kawalerowi w przygotowaniu przyjęcia? Bóg zapłać!*

– *Liczyłam na to, że będziesz mnie potrzebował, Link.*

– *Gospodarzowi przyjęcia zawsze potrzebna jest pomoc gospodyni. Mary, z czego mam zrobić kanapki «S.O.S.»?*

– *Wymyśliłam właśnie nowy przepis. Zrobię je dla ciebie. Trzeba wziąć ostrą przyprawę i nieco «#» ją przyprawić.*

– #.?

– *W tym cały sekret, mój kochany.*

I przeszła do kuchni. Mary Noyes była niewysoką, drobną brunetką, psychika Powella jednak odbierała ją jako smukłą, wdzięcznie się poruszającą, lodowato białą mniszkę. Zewnętrzna smagłość jej skóry nie miała dla niego znaczenia; naprawdę istotna jest u człowieka jego psychika. Jesteś takim, jakimi są twoje myśli.

– *Chciałabym umieć zmienić swą psychikę. Przebudować ją wewnętrznie.*

– *Zmienić się w inną (tymczasem całuję cię taką, jaką jesteś) osobę?*

– *Gdybym tylko (Link, nigdy nie całujesz mnie naprawdę) potrafiła to zrobić. Ogromnie zmęczył mnie już zapach mięty, który odczuwasz przy każdym naszym spotkaniu.*

– *Następnym razem dodam lodu i brandy. Potrześamy i... voila! – koktajl Mary-Kaktus.*

– *Zrób to. Tylko wyrzucić ŚNIEG.*

– *A to dlaczego? Kocham śnieg.*

– *A ja kocham ciebie.*

– *I ja cię kocham, Mary.*

Dzięki i za to, Link. – Powiedział to na głos. Zawsze mówił to na głos. Nigdy nie w duchu. Mary odwróciła się szybko. Link wyczuł jej łzy i to go zasmuciło.

– *Mary, zaczynasz od nowa?*

– *Nie od nowa. Od zawsze. Od zawsze.* – Z głębin jej duszy wyrwało się, niczym krzyk: – *Kocham cię, Link. Kocham. Wizerunek mojego ojca. Symbol bezpieczeństwa. Ciepła. Tkliwości. Nie odmawiaj mi siebie... zawsze... zawsze... i na zawsze...*

– *Mary, posłuchaj...*

– *Nie mów do mnie, Link. Nie słowami. Nie znoś chwil, w których stają pomiędzy nami słowa.*

– *Mary, jesteś moim przyjacielem. Zawsze tak było. Dzielę z tobą wszystkie swe troski. I wszystkie chwile wytchnienia.*

– *Ale nie dajesz mi swej miłości.*

– *Nie, moja droga. Nie dręcz się tak. Nie daję ci miłości.*

– *Mam jej w sobie dość – oby Bóg zlitował się nade mną – dla nas obojga.*

– *Jedno – oby Bóg zlitował się nad nami obojgiem – nie może kochać za dwoje.*

– *Zanim ukończysz czterdzieści lat, musisz się ożenić z telepatką, Link. Takie są wymogi Ligi. Wiesz o tym.*

– *Wiem.*

– *Zdajmy się na przyjaźń. Pobierzmy się, Link. Podaruj mi jeden rok, tylko tyle. Jeden krótki rok, by cię kochać. Potem pozwolę ci odejść. Nie będę robiła żadnych trudności. Nie będziesz musiał mnie znienawidzić. Miły mój, proszę o tak niewiele... tak niewiele...*

W tym momencie odezwał się dzwonek u drzwi. Powell bezradnie spojrzał na Mary.

– *Goście* – wymamrotał i wysłał impuls „Otwórz” (ostre, wysokie C) do telepatycznego czujnika zamka. W tej samej chwili Mary wysłała mocniejszy jeszcze impuls „Zamknij”. Nuty nałożyły się na siebie i drzwi pozostały zamknięte.

– *Link, najpierw odpowiedź.*

– *Mary, nie mogę udzielić ci odpowiedzi, jakiej pragniesz.* Dzwonek u drzwi odezwał się ponownie.

Link mocno ujął ją za ramiona i nie wypuszczając spojrzał jej w oczy.

– *Masz drugi stopień. Odczytaj mnie tak głęboko, jak potrafisz. Co znajdujesz w moim sercu? O czym teraz myślę? Jaka jest moja odpowiedź?*

Usunął wszystkie blokady. Niby gorący, gwałtowny wodospad runęły na nią z hukiem najtajniejsze jego myśli i uczucia, przerażając ją i pociągając z nieodpartą siłą; ale...

– Śnieg. Mięta. Tulipany. Tafta – powiedziała z rezygnacją. – *Mr Powell, proszę powitać gości. Ja zajmę się kanapkami. Choć tyle ze mnie pożytku.*

Pocałował ją, potem przeszedł do salonu i otworzył drzwi wejściowe. Do mieszkania momentalnie wtargnął iskrzący się potok myśli, a za nim weszli goście. Rozpoczęło się przyjęcie esperów.

Ellery

| | | |
|-------------|----------------------------|-------------------|
| | Ależ | |
| | nie spodziewam się | |
| | tak | |
| Dla Galeria | | byś długo jeszcze |
| | Tate, | |
| To | pracował | Jestem |
| Bardzo | dla firmy Monarch. | Lekarzem |
| Radosny | Lada | D'Courtneya. |
| i znaczący | dzień. Zdał egzamin espera | Myślę |
| | Liga i przyznano mu | że |
| Link, | może drugi stopień | już |
| Moglibyśmy | wysunąć uznać | wkrótce |
| | Twoją ich metody działania | pojawi |
| | kandydaturę za nieetyczne. | się |
| | na | w mieście. |
| | stanowisko | |
| | prezydenta. Może kanapkę? | |

– *@kins! Chervil! Tate! Opamiętajcie się! Spójrzcie tylko, coście tu napletli!*

Telepatyczna zawierucha ustała raptownie. Goście przez moment zbierali myśli, a następnie wybuchnęli śmiechem.

– *Przypomina mi to czasy przedszkolne. Zlitujcie się nad gospodarzem! Jeśli nie zaprzestaniecie tych wariactw, to naprawdę znikną. Umówmy się na jakiś system, choćby ze względu na estetykę.*

– *To zaproponuj coś, Link.*

– *A co byście chcieli?*

– *Przeplatanka? Krzywe matematyczne? Muzyka? Plan architektoniczny?*

– *Jakikolwiek system. Jakikolwiek, byle niezbyt skomplikowany.*

| | | |
|--------------|--------------------------------|-----------------|
| Wybacz, Link | My się poprawimy, i to | Już |
| Tate | oczekiwaliśmy, | tak |
| Ale | że | wielu jest |
| Nie | może zostać prezydentem nikt z | nieżonatych |
| wolno mi | przyjdzie | esperów |
| opowiadać | Alan | że |
| o tym | Seaver, ale co | diabli |
| co robi | on | mogą wziąć cały |
| D’Courtney | wymyśli wtedy nowy | plan i |
| basta. | nie | eugeniczny |
| | wiadomo. | |

Kolejny wybuch śmiechu skwitował „wiadomo” Mary Noyes, zawieszona poza wzorem z powodu nieuwagi. Raz jeszcze rozległ się dźwięk dzwonka u drzwi i do salonu wszedł adwokat-2 międzyplanetarnego Sądu Arbitrażu. Przyprowadził ze sobą niewysoką dziewczynę, uderzająco piękną i zupełnie nie znaną zebranym. Telepatycznie prezentowała osobowość naiwną i nieco powierzchowną, typową dla esperów trzeciego stopnia.

– *Witam, witam. Przepraszam na klęczkach za spóźnienie. Niech mnie wytłumaczy kwiat pomarańczy i blask weselnych obrączek. Właśnie się oświadczyłem.*

– I, pragnę dodać, zostałeś przyjęty – z uśmiechem odezwała się dziewczyna.

– *Nie na głos!* – przerwał jej prawnik. – *To nie pogaduszki u trzeciaków! Uprzedzałem cię, byś nie używała mowy.*

– Zapomniałam – wyrwało się dziewczynie i przez salon przetoczyły się gorące fale jej przestרחu i zażenowania. Powell postąpił krok do przodu i ujął drżącą dłoń dziewczyny.

– *Niech pani nie zwraca na niego uwagi, to przecież tylko snob, którego rozpięra jego niedawno uzyskany drugi stopień. Jestem Lincoln Powell, gospodarz tego przyjęcia. Sherlock Holmes dla ubogich. Jeśli narzeczony panią pobije, pomogę mu odbyć pokutę. A teraz przedstawię towarzyszy niedoli...* – Poprowadził dziewczynę dookoła pokoju. – *Oto Gus Tate, znachor i szarlatan. Ci obok to Sam & Sally @kinsowie. Sam jest również zaklinaczem, a Sally zajmuje się opieką nad dziećmi i ma drugi stopień. Właśnie przylecieli z Wenus. Goszczą u nas...*

– *Wit... Chciałam powiedzieć: witajcie państwo.*

– *Ten tam tłuścioch, siedzący na podłodze, to Wally Chernl, architekt-2. Blondynka, którą trzyma na kolanach, to June, jego żona. June pracuje jako wydawca-2. Ich syn, Galen, rozmawia z Ellery Western. Galen jest studentem politechniki i esperem trzeciego stopnia.*

Młodzieniec – z lekka urażony – zaczął wyjaśniać, że właśnie tego dnia zdał egzaminy na stopień drugi i nie musi posługiwać się głosem choćby przez cały rok. Powell przerwał mu i podał powód rozmyślnej pomyłki, czyniąc to poniżej poziomu percepcji dziewczyny.

– Ach, tak – powiedział Galen. – Hej, bracia i siostry w trójce, sam tu! Cieszę się, że przyszłaś. Ci wyspecjalizowani wnikacze zaczynali mnie już przerażać.

– Ja też początkowo czułam się nieswojo, ale to minęło.

– *A otóż i gospodyni, Mary Noyes.*

– *Dobry wieczór. Może kanapkę?*

– *Chętnie, wyglądają bardzo atrakcyjnie, mrs Powell.*

– *Może byśmy w coś zagrali?* – szybko wtrącił Powell. – *Kto ma ochotę na szarady?*

W mrocznej niszy, przyłgnąwszy do drzwi prowadzących z domu Powella do ogrodu, przytaił się Jerry Church i słuchał całym swym jestestwem. Był przemarznięty, milczący, nieruchomy i zgłodniały. Pogardzał, nienawidził, cierpiał i tęsknił. Był esperem drugiego stopnia i konał z głodu, którego źródłem było nieznośne brzemień ostracyzmu.

Przez cienką klonową płytę przesączały się liczne telepatemy gości; precyzyjnie utkany, zmienny, orzeźwiający wzór. A Jerry Church, esper-2, który dziesiąty już rok męczył się na

głodowej diecie słów, całą duszą tęsknił za kontaktem ze swoimi, za utraconym dlań na zawsze światem esperów.

– *Wspomniałem o D’Courtneyu, ponieważ niedawno zetknąłem się z podobnym przypadkiem.*

To Augustus Tate próbował podejść @kinsa.

– *Czyżby? To bardzo interesujące. Wrzeczy samej, odbyłem tę wycieczkę na Terre dlatego, że przybywa tu D’Courtney. Szkoda, że z D’Courtneyem nie będzie można... nie, jednak coś się wymyśli.* – Najwyraźniej @kins starał się zachować dyskrecję wobec pacjenta, wyglądało też na to, że Tate coś knuje. Church miał wrażenie, że się nie myli – sposób, w jaki rozmówcy wymieniali pomiędzy sobą mentalne bloki i przeciwbloki, zanadto przypominał pojedynek wytrawnych szermierzy.

– *Hola, panie wnikaczu. Uważam, że w stosunku do tej biednej dziewczyny zachował się pan po chamsku.*

– Patrzcie państwo – mruknął Church. – Powell, ta świętoszkowata gnida, ten sam, który wykopał mnie z Ligi, swoim nochalem i kazaniem uszczęśliwia prawnika.

– *Biedna dziewczyna? Chciał pan powiedzieć – kretyńka? Dobry Boże! Że też raczyłeś stworzyć coś tak tępego!*

– *Niechże pan odda jej sprawiedliwość. Ma przecież tylko trzeci stopień.*

– *Jej towarzystwo przyprawia mnie o mdłości.*

– *I uważa pan... że poślubiając dziewczynę, która budzi w panu wyłącznie takie uczucia, postępuje pan etycznie?*

– *Powell, niech pan nie będzie romantycznym osłem. Sam pan wie, iż możemy żenić się tylko z telepatkami. Dlaczegoż więc nie rozejrzeć się przynajmniej za ładną buzią?*

W salonie zabawiano się łamigłówkami i szaradami. Panna Noyes właśnie tworzyła rebus ze starego poematu.

Morze

Jest

Spokojny

Nocą

osaczony

cichy wiatrem

Wyjdziesz na brzeg

rozległy

jak światło lampy

przystaje

nad Anglii

Na Fali *spragniony* *tam gdzie* *skalistymi*
Odplywu *otwartej* *linia* *brzegami*
Księżyc *przestrzeni* *piany morskiej* *błyszczą*
Leży *wyzwolony* *umarłym*
Pogodny *światłem*

Przed tobą morski brzeg Francji

Cóż to mogło być, u licha? Litera A? Nie, nie litera. Jedno A. Zaraz, zaraz. Samo A. No tak, jasne. Samoa. Łatwe.

– *Ellery, co pan sądzi o kandydaturze Powella?* – To Chervil, z tym jego fałszywym uśmiechem i wielkim, na papieską miarę brzuchem.

– *Na prezydenta Ligi?*

– *Właśnie.*

– *Cholernie rzeczowy gość. Romantyk, ale rzeczowy. Byłby idealnym kandydatem, gdyby się ożenił.*

– *Sam pan powiedział, że jest romantykiem. Takemu niełatwo wybrać dziewczynę.*

– *Czy nie odnosi się to do was wszystkich, głębokościowców? Na moje szczęście, nie jestem jednym z was.*

W tym momencie w kuchni rozległ się trzask pękającego szkła i Powell zaczął obrabiać tego kurdupła, Tate'a.

– *Gus, niech pan da spokój szklance. Musiałem ją upuścić, aby odwrócić uwagę od pana. Promieniuje pan niepokojem, niczym nova.*

– *Powell, wciska mi pan kit.*

– *Wcale nie. Co pan kombinuje wspólnie z Reichem? Niewysoki człowieczek miał się na baczności. Można było prawie fizycznie poczuć, jak zamyka swą psychiczną muszlę.*

– *Ben Reich? Skąd pan go wytrzasnął?*

– *Nie ja, ale pan. Cały wieczór myśli pan o nim. Odczytałem to mimo woli.*

– *Ależ, mr Powell, to nie ja. Musiał pan pomylić telepatemę.*

Wizerunek roześmianej, końskiej gęby.

– *Powell, przysięgam, że nie...*

– *Czy wdał się pan w konszachty z Reichem?*

– *Nie.* – Ale i tak słychać było łoskot opadających bloków.

– *Gus, niechże pan posłucha dobrej rady. Będzie pan miał przez Reicha masę kłopotów.*

Proszę uważać. Pamięta pan Jerry'ego Churcha? Zniszczył go Reich. Niech pan się ma na baczności, bo spotka pana ten sam los.

Tate wycofał się do salonu; w kuchni pozostał Powell, spokojnie i starannie sprzątający stłuczone szkło. Church, z sercem płonąącym nienawiścią, leżał nieruchomo przy tylnych drzwiach. Młody Chervil popisywał się przed dziewczyną adwokata, śpiewał miłosną balladę, parodiując ją równocześnie gestami. Ot, studenckie zagrania. Panie dyskutowały z ożywieniem, wymieniając pomiędzy sobą sinusoidy. @kins i West prowadzili dyskurs, ozdabiając go tak zawiłymi wzorami obrazów sensorowych, że głód Churcha stał się prawie nie do zniesienia.

– *Jerry, nie ma pan ochoty na drinka?*

Drzwi do ogrodu otworzyły się. Stał w nich obramowany padającym z tyłu światłem Powell, trzymający w dłoni szklankę z musującym w niej napojem. Na jego twarz padał słaby blask gwiazd. Głęboko osadzone oczy gospodarza przyjęcia wyrażały współczucie i zrozumienie. Oszołomiony Church wstał i machinalnie wziął podany mu napój.

– *Jerry, niech pan nie melduje o tym w Lidze. Za naruszenie tabu dostałbym cięgi, co się zowie. Zawsze łamię jakieś zasady. Biedny Jerry... Musimy jakoś panu pomóc. Dziesięć lat to za dużo.*

Nieoczekiwanie Church chlusnął zawartością szklanki w twarz Powella, odwrócił się raptownie i uciekł.

3

O dziesiątej rano na ekranie wifonu Reicha pojawiła się podobna do teatralnej maski twarz Tate'a.

– Czy ta linia jest bezpieczna? – spytał bez żadnych wstępów.

W odpowiedzi Reich bez słowa wskazał plombę gwarancyjną.

– No dobrze – odezwał się Tate. – Myślę, że co nieco udało mi się osiągnąć. Ostatniej nocy zakręciłem się koło @kinsa. Zanim jednak powiem, czego się dowiedziałem, muszę pana ostrzec. Gdy dokonuje się głębokiego odczytu espera pierwszej klasy, zawsze istnieje możliwość pomyłki. @kins bardzo starannie blokował swe myśli.

– Pojmuję.

– Cray D'Courtney przyleci z Marsa na pokładzie „Astry” w najbliższą środę rano. Natychmiast też uda się do miejskiej rezydencji Marie Beaumont, gdzie w tajemnicy zatrzyma się na jedną noc... nie dłużej.

– Jedna noc – mruknął Reich. – I co potem? Zna pan jego dalsze zamiary?

– Raczej nie. Ale mogę przypuszczać, że planuje jakieś decydujące posunięcie...

– Przeciwno mnie – warknął Reich.

– Niewykluczone. Wnosząc z tego, co udało mi się wyciągnąć z @kinsa, D'Courtneya dręczy coś, co niszczy jego zdolności adaptacyjne. Rozstrojeniu uległa w nim równowaga pomiędzy instynktami życia i śmierci. Niezrównoważenie emocjonalne nieuchronnie wiedzie go ku zapaści psychicznej.

– Do ciężkiej cholery! – wybuchnął Reich. – Stawką jest moje życie! Mów pan po ludzku.

– To zupełnie proste. Każdy człowiek działa pod wpływem dwu przeciwstawnych sobie instynktów – życia i śmierci. Cel obu stymulacji jest wspólny – nirwana. Instynkt życia stara się ją osiągnąć, zmiatając z drogi wszelkie przeszkody. Instynkt śmierci dąży ku nirwanie poprzez samozniszczenie. U osobnika normalnie zaadaptowanego oba te instynkty ściśle ze sobą współdziałają. Ale pod wpływem napięcia psychicznego równowaga ta może ulec zakłóceniu. Tak właśnie dzieje się z D'Courtneyem.

– Zgadza się, na Boga! A wszystko skupi się na mnie!

– @kins spotka się z D'Courtneyem w czwartek rano i spróbuje odwieść go od jego zamiarów, jakiegokolwiek by one były. @kins obawia się ich urzeczywistnienia i jest zdecydowany

zapobiec temu za wszelką cenę. Dlatego właśnie przyleciał z Wenus.

– Nie będzie musiał się trudzić. Zadbam o to osobiście. Nie musi mnie ochraniać. Potrafię dopilnować swoich spraw. Tate, to nie morderstwo... to samoobrona! Samoobrona! Dobrze się pan spisał. To wszystko, czego mi było trzeba...

– Niestety, myli się pan, panie Reich. Potrzebuje pan jeszcze wielu rzeczy. Czasu, na przykład. Dziś mamy poniedziałek. Musi pan zdążyć do środy.

– Będę gotów! – warknął Reich. – Pan również niech się przygotuje.

– Panie Reich, nie stać nas na porażkę. Jeśli nam się nie uda... czeka nas przeróbka. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

– Obaj do Przeróbki. Wiem o tym dobrze – głos Reicha lekko się załamał. – Owszem, Tate, jedziemy na jednym wózku, ale zamierzam ścigać się aż do mety... choćby była nią Przeróbka.

Przez cały poniedziałek układał plany śmiało, zuchwałe i dobrze przemyślane. Ostrożnie, niczym artysta, który kreśli szkic zanim wypełni go barwą, nanosił kontury działania, nie wchodził jednak w szczegóły. Pozostawił je instynktowi zabójcy, który miał dojść do głosu w środę. Odłożył więc planowanie i przespał noc poniedziałkową... po to, by obudzić się wrzeszcząc o Człowieku Bez Twarzy.

We wtorek po południu wyszedł wcześniej z Monarch Tower i odwiedził salon antykwareczny „Century” na Sheridan Place. Specjalnością tej firmy były piezoelektryczne kryształki z nagraniami – małe arcydzieła sztuki jubilerskiej w eleganckich oprawach. Przebojem sezonu były opero-brosze dla pań („Gdziekolwiek Ona Pójdzie, Pójdzie Z Muzyką”). W salonie można było znaleźć także półki ze starymi, poślizniętymi książkami drukowanymi.

– Potrzebny mi jest jakiś oryginalny prezent, dla odnowienia starej przyjaźni – oznajmił Reich sprzedawcy.

Natychmiast został zasypany propozycjami.

– Zbyt banalne – skwitował je wszystkie. – Dlaczego nie zatrudnicie wnikaacza, który uwalniałby klienta od kłopotów? Jak daleko można posunąć się w dziwactwach i wstecznictwie?

– W towarzystwie świty zaniepokojonych sprzedawców rozpoczął obchód salonu.

Odegrał całe przedstawienie, zanim jednak zdenerwowany właściciel zdążył posłać po ekspedienta-wnikaacza, Reich zatrzymał się przed stoiskiem z książkami.

– A to co takiego? – spytał z udanym zaskoczeniem.

– Dawne książki, mister Reich. – Podczas gdy grupa ekspedientów zaczęła wyjaśniać mu w teorii i praktyce, czym była przestarzała książka drukowana, Reich powoli przeglądał półki w poszukiwaniu podniszczonego brązowego tomu, po który tu przyszedł. Dobrze pamiętał tę książkę. Dostrzegł ją przed pięciu laty i odnotował w swym małym czarnym notesiku, gdzie zapisywał informacje, mogące się kiedyś przydać. Stary Geoffrey nie był jedynym Reichem, który wolał być przygotowany na wszelkie możliwości.

– Ciekawe. Owszem. Fascynujące. Co my tu mamy? – Reich zdjął z półki brązowy tom. – „Zabawy towarzyskie na przyjęciu”. Jaka tu jest data? Nie, doprawdy... Chcecie powiedzieć, że w tak odległej przeszłości ludzie wydawali już przyjęcia?

Ekspedienci jęli go zapewniać, że starożytni bywali niekiedy zaskakująco współcześni.

– Przejrzyjmy zawartość – zachichotał Reich. – „Brydż miodowego miesiąca”... „Pruski wist”... „Poczta”... „Sardynki”. Cóż u licha kryje się pod tą nazwą? Strona dziewięćdziesiąt sześć. Zobaczmy...

Reich przerzucił strony, aż trafił na nagłówek wybity tłustym drukiem. Zabawne gry na przyjęcia dla pań i panów.

– Spójrzcie tylko na to – zaśmiał się, udając za skoczenie. Wskazał palcem dobrze utrwalony w pamięci akapit.

SARDYNKI Grę prowadzi jedna osoba. Gasi się wszystkie światła i prowadzący wychodzi, by ukryć się w dowolnym miejscu domu. Po kilku minutach gracze, każdy osobno, wychodzą na poszukiwania. Pierwszy z nich, który znajduje prowadzącego, nie powiadamia o tym nikogo, ale przyłącza się do niego i pozostaje razem z nim w kryjówce. Jeden po drugim gracze dołączają do Sardynek, dopóki wszyscy – z wyjątkiem jednego – nie spotkają się w kryjówce. Ten ostatni, który błąka się samotnie po ciemnym i pustym domu, przegrywa.

– Oto, czego mi było trzeba – powiedział Reich. – Biorę.

Tego wieczoru trzy godziny zajęło mu pracowite niszczenie pozostałej części tomu. Usuwając opisy gier ciął strony nożyczkami, przypalał, trawił kwasem i plamił atramentem; pastwił się nad książką, jakby to było wijące się pod razami ciało D’Courtneya. Gdy skończył z tą masakrą, wszystkie opisy były niekompletne. Nietknięte pozostały jedynie „Sardynki”.

Następnie zapakował książkę, zaadresował ją do rzeczoznawcy nazwiskiem Graham i wrzucił w szczelinę poczty pneumatycznej. Książka została wessana z cmoknięciem, wróciła zaś po godzinie z oficjalną pieczęcią wyceny. Graham nie spostrzegł, że zniszczeń dokonał Reich.

Elegancko zapakował książkę razem ze świadectwem wyceny (taki był zwyczaj) i wysłał ją do rezydencji Marie Beaumont. Po dwudziestu minutach nadeszła odpowiedź: „Kohany! Kohany! Kohany! Myślałam, że już zapomniałeś o starej miłości”. (Maria oczywiście napisała odpowiedź własnoręcznie). „Prezent jest boski. Wpadnij dziś wieczur do Bomont Hous. Wydaję pszyjęcie. Sprubujemy kturęjs zabawy z twojej pszemilej ksiązki”. W pojemniku z odpowiedzią znajdował się też syntetyczny rubin z portretem Marie. Portret, oczywiście, przedstawiał Marie nagą i w całej okazałości.

Reich odpowiedział: „Jestem pod wrażeniem. Niestety, dziś nie mogę. Diabli biorą jeden z moich milionów”.

Marie: „Pszyjdź w środę, mondralo. Dam ci jeden ze swoich”.

Reich: „Przyjmuję zaproszenie z zachwytem. Przyrowadzę ze sobą gościa. Całuję cię od stóp do głów”.

I poszedł spać.

I znowu wrzeszczał o Człowieku Bez Twarzy.

W środę rano Reich odwiedził ośrodek badań firmy Monarch (pańskie oko... i tak dalej) gdzie spędził godzinę w towarzystwie pracujących tam młodych i utalentowanych ludzi. Omawiał z nimi ich pracę i czekającą każdego z nich – pod warunkiem iż dochowa wierności firmie – świetlaną przyszłość. Opowiedział im wiekowy już świński kawał o żyjącym w czystości pionierze, którego w odmętach kosmosu okoliczności zmusiły do lądowania na katafalku (nieboszczka powiedziała: „Jestem tu przejazdem”); młodzi ludzie roześmieli się uprzejmie, ich szacunek dla szefa nieco jednak zmalął.

Korzystając z niewymuszonej atmosfery, Reich przemknął do tajnego laboratorium i wyniósł stamtąd jedną z kapsuł ogłuszających. Były to niewielkie sześciiany z miedzi, dwa razy mniejsze i dwukrotnie skuteczniejsze w działaniu od bomb łzawiących. Rozrywając się wytwarzały oślepiający błękitny błysk jonizujący rodopsynę – reagujący na światło purpurowy barwnik w siatkówce oka – i pozbawiały ofiarę możliwości odbierania wrażeń zmysłowych

i czasowych.

W środę po południu Reich zajął na Melody Lane, znajdującą się w sercu dzielnicy teatrów i odwiedził firmę „Psych-Song, Inc.” Prowadziła ją bystra młoda dama, która skomponowała kilka świetnych melodii dla działu reklamy oraz parę zabójczych szlagierów antystrajkowych, gdy Monarch za wszelką cenę usiłował zatuszować rozruchy wśród pracowników. Młoda osobka nazywała się Duffy Wyg&. W oczach Reicha stanowiła uosobienie współczesnej dziewczyny – niewinnej uwodzicielki, idącej od sukcesu do sukcesu.

– Jak leci, Duffy? – pocałował ją przelotnie. Sylwetka Duffy była strzelista jak wykres obrotów firmy. Jak na gust Bena panienka wydawała się jednak nieco za młoda.

– Nie najgorzej – odpowiedziała. – Wiesz, Ben, pewnego dnia zaangażuję espera, specjalizującego się w poradach dla zakochanych, aby przeanalizował twój pocałunek. Nie mogę pozbyć się wrażenia, że ci na mnie nie zależy.

– Nie jest to dalekie od prawdy.

– Świnia!

– Ależ Duffy, mężczyzna musi mieć świadomość, że całując dziewczynę, przesyła pożegnalnego całusa swoim pieniążkom.

– Ale ty czasami mnie całujesz.

– Tylko dlatego, że jesteś niesamowicie podobna do damy, której podobizna zdobi banknoty.

– Pip – powiedziała Duffy.

– Pop – powiedział Ben.

– Bim.

– Bam.

– Z radością zatłukłabym drania, który to wymyślił – ponuro mruknęła Duffy. – No dobrze, mój piękny panie. O co chodzi tym razem?

– O hazard – wyjaśnił Reich. – Ellery West, kierownik naszego klubu rekreacyjnego, narzeka na zbyt duże powodzenie gier hazardowych. Uważa, że szkodzi to firmie. Mnie osobiście wcale to nie przeszkadza.

– Ten, kto siedzi w długach, nie poprosi o podwyżkę.

– Jesteś stanowczo za cwana, młoda damo.

– Potrzebujecie więc piosenek antyhazardowych?

– Mniej więcej. Powinno to być coś chwytliwego. Niezbyt nachalnego. Bardziej zależy nam na długości efektu niż na szybkości jego osiągnięcia. Chciałbym też, aby uwarunkowanie było raczej nieświadome.

Duffy kiwała głową i robiła pośpiesznie notatki.

– I na koniec, ma to być miłe dla ucha. Będę musiał przecież słuchać tej piosenki na okrągło, nuconej, pogwizdywanej i podśpiewywanej przez wielu ludzi.

– Ty ordynusie! Wszystkie moje kompozycje są melodyjne.

– O ile nie słucha się ich więcej niż jeden raz.

– Słuchałeś ich tysiące razy.

Reich roześmiał się.

– Jeśli już mowa o monotonii... – rzekł jakby kontynuując poruszony przez Duffy temat.

– Zdaje się, że nie znamy tego uczucia...

– Jaka była najbardziej natrętna melodia z tych, które napisałaś?

– Natrętna?

– No wiesz... Te piosenki reklamowe, przyczepiające się do człowieka jak rzep.

– A... my nazywamy je pepsi...

– Dlaczego właśnie tak?

– Nie mam pojęcia. Podobno pierwszą z nich kilkaset lat temu skomponował gość o nazwisku Pepsi. U mnie tego nie znajdziesz. Napisałam kiedyś jedną taką... – Duffy skrzywiła się pod wpływem wspomnienia. – Nawet teraz nie mogę myśleć o tym bez odrazy. Gwarantuję, że będzie za tobą chodziła co najmniej przez miesiąc. Mnie trzymała się cały rok.

– Niemożliwe.

– Słowo skauta, panie Reich. Nazywała się „Bajadery”. Napisałam ją do tej sztuki o zwariowanym matematyku, która zrobiła klapę. Żądali czegoś chwytliwego... i dostali to, czego chcieli. Widzowie tak się wściekali, że spektakl trzeba było zdjąć z afisza. Przepadła fura pieniędzy.

– Chciałbym usłyszeć tę piosenkę.

– Wolalabym ci tego oszczędzić.

– Duffy, dajże spokój. Naprawdę mnie zaintrygowałaś.

– Będziesz załował.

– Jakoś nie chce mi się wierzyć...

– No dobrze, łobuzie. – Duffy przysunęła sobie panel klawiatury. – Niech to będzie zapłata za ten lodowaty pocałunek.

Jej palce wdzięcznym ruchem przemknęły po klawiaturze. Pokój zalały dźwięki niezwykle monotonnej melodii, o męcząco banalnym, ale namolnie wbijającym się w pamięć rytmie. Utwór był kwintesencją wszystkich banalnych melodyjek, jakie kiedykolwiek przylepiły się do Reicha. Którąkolwiek z nich usiłował sobie teraz przypomnieć, niezmiennie weksłował na wyświechtaną linię melodyczną „Bajader”. Duffy zaś zaśpiewała:

Raz i dwa, i trzy, i cztery
Lubi wezyr bajadery
Trzy i cztery, pięć i sześć
Lubi wezyr dobrze zjeść!
Raz i dwa, i trzy, i cztery
Lubi wezyr...

– O mój Boże! – jęknął Reich.

– Podczas pracy nad tą melodyjką zastosowałam parę wymyślnych chwytów – powiedziała Duffy. – Zwróć uwagę na ten takt po słowie bajadery. To półkadencja. Tak samo jest po słowie zjeść. Piosenka kończy się ponownie półkadencją i można ją powtarzać bez końca. Rytm pogania cię w kółko. Raz i dwa, i trzy, i cztery, lubi wezyr bajadery. Tatarata-tatarata. Trzy i cztery...

– Ty diabolic! – Reich poderwał się na równe nogi, zatykając dłońmi uszy. – Niech mnie chudy byk powącha! Jak długo trwa to nawiedzenie?

– Nie krócej niż miesiąc.

– Trzy i cztery, pięć i sześć... Jestem zgubiony! Czy jest jakiś sposób, aby się od tego uwolnić?

– Oczywiście, że jest – powiedziała Duffy. – Wciągnij w otchłań zguby i mnie. – Przytuliła się do niego i pocałowała z całym żarem młodości. – Głuptasie – mruczała niczym kotka. – Świntuchu. Bawidamku. Pięknisiu. Kiedyż wreszcie wciągniesz mnie w bagno rozpusty? Zmądrzej wreszcie, pieseczku. Myślałam, że nie masz zahamowań.

– Mam ich mniej, niż mogłabyś się spodziewać – powiedział i wyszedł.

Zgodnie z przewidywaniami, piosenka zapadła w jego umysł i gdy szedł ulicą, nieustannie dźwięczała mu w głowie. Raz i dwa, i trzy, i cztery, lubi wezyr bajadery. Jak na kogoś, kto nie jest esperem, stworzył sobie doskonały blok myślowy. Jakież wnikacz przebije się przez te trzy i cztery, pięć i sześć...

– Mniej, niżbyś się spodziewała – mruknął i ruszył ku położonemu na zachodnim przedmieściu lombardowi Churcha.

Lubi wezyr dobrze zjeść!

Wbrew temu, co twierdzą niektórzy, lichwa jest jedną z najstarszych profesji świata. Od najdawniejszych czasów pewni ludzie żyją z pożyczania pieniędzy pod zastaw. Proceder ten trwa od wieków i trwać będzie w przyszłości, równie niezmienny jak sam wygląd każdego lombardu. Kryjący się w piwniczce zakład Churcha sprawiał wrażenie muzeum wieczności. A i sam Church, z jego umykającym w bok spojrzeniem i pokrytą zmarszczkami twarzą, wyglądał jak wcielenie nieśmiertelnego lichwiarza.

Wychynął teraz z półmroku i spojrzał w twarz Reichowi, który stając w padającej z boku smudze słonecznego światła, zatrzymał się przy ladzie. Church nie miał zamiaru zaczynać rozmowy. Nie rozpoznał Reicha. Przesuwając się obok człowieka, którego od dziesięciu lat uważał za śmiertelnego wroga, wszedł za ladę i dopiero wtedy spytał:

– Czego pan sobie życzy?

– Cześć, Jerry.

Nie podnosząc spojrzenia, Church wyciągnął rękę ponad ladą. Reich chciał ją uścisnąć i wtedy Church cofnął dłoń.

– Nie, nie – zachichotał na poły histerycznie. – Nie, dziękuję. Niech mi pan poda to, co zamierza pan zastawić.

– Jerry, nie przyniosłem niczego.

– Aż tak z panem źle? Oto jak padają w proch wielcy i potężni. Ale wszak wszystkim nam to grozi. Każdy może się potknąć. Każdy. – Church z ukosa popatrywał na Reicha, próbując odczytać jego myśli. Dalejże, nie krępuj się. Raz, i dwa, i trzy, i cztery... Przebij się przez tę idiotyczną piosenkę, która bębni mi we łbie.

– Wszyscy ulegamy słabościom – powiedział Church. – Wszyscy, co do jednego.

– Temu nie przeczę. Ja jednak jakoś się ustrzegłem. Miałem szczęście.

– A ja nie – odparł wnikacz uśmiechając się niewesoło. – Spotkałem pana.

– Jerry – cierpliwie, jak dziecku, tłumaczył Reich. – To nie ja przyniosłem ci pecha. Tak ci było pisane. To nie ja...

– Ty skurwielu! – syknął Church złowrogo i cicho. – Ty glutojadzie. Obyś zgnił za życia! Wynoś się stąd! Nie chcę mieć z tobą do czynienia. Nie chcę od ciebie niczego! Rozumiesz?

– Nawet mojej forsy? – Reich wyjął z kieszeni parę błyszczących suwerenów i położył je na ladzie. Było to dobrze przemyślane posunięcie. W odróżnieniu od kredytów, suwereny miały swą cenę w półświatku. Lubi wezyr dobrze zjeść!

– A wsadź ją sobie w... Chętnie wyprułbym ci flaki! Wytoczyłbym ostatnią kroplę krwi. Oby robactwo wyzarło ci ślepią za życia! Nie potrzebuję twojej forsy...

– Czegóż więc ci trzeba?

– Mówiłem ci! – wrzasnął telepata. – Mówiłem nieraz! Ty świętoszkowaty skurwielu...

– Czego chcesz, Jerry? – zimno powtórzył Reich, mierząc wzrokiem pomarszczoną twarz rozmówcy. Raz i dwa, i trzy, i cztery... Z Churchem dawał sobie radę. To, że Church był esperem drugiego stopnia, nie miało znaczenia. Górowanie nad rozmówcą nie było kwestią telepatii. Rozstrzygała osobowość. Lubi wezyr baja... I w przeszłości... i w przyszłości... da sobie radę z takimi jak Church.

– Czego pan sobie życzy? – ponurym głosem spytał Church.

– To ty jesteś telepatą. Powiedz mi sam – prychnął Reich.

– Nie dam rady – wymamrotał Church po chwili. – Nie potrafię odczytać. Ta idiotyczna melodia wszystko zakłóca.

– No to ja ci powiem. Potrzebny mi rewolwer.

– Co takiego?

– R-E-W-O-L-W-E-R. Rewolwer. Wyrzuca pociski na zasadzie eksplozji.

– Nie mam nic takiego.

– Owszem, Jerry, masz. Kiedyś wspomniał mi o tym Keno Quizzard. Widział go. Stalowy, składany. Bardzo interesujący przedmiot.

– Do czego jest panu potrzebny?

– Wniknij w moje myśli, Jerry, i dowiedz się. Nie muszę niczego ukrywać. Moje zamiary są absolutnie nieszkodliwe.

Church wykrzywił twarz z wysiłku – i poddał się z niesmakiem.

– Daremny trud – wymamrotał i poczłapał gdzieś w mrok. W lombardzie rozległa się

seria trzasków, towarzyszących otwieraniu szuflad. Wreszcie lichwiarz powrócił niosąc niewielki, nieco odrapany przedmiot ze stali i położył go na ladzie obok pieniędzy. Nacisnął jakiś bolec i kawałek metalu nieoczekiwanie rozłożył się, przekształcając w stalowy kastet, rewolwer i sztylet. Był to dwudziestowieczny automat, kwintesencja morderstwa.

– Do czego jest panu potrzebny? – ponownie spytał Church.

– Myślisz może, że nadarza ci się okazja do szantażu? – uśmiechnął się Reich. – Nic z tego. To ma być podarek.

– Osobliwy i niebezpieczny prezencik – wyklęty przez swoich esper zmierzył Reicha spojrzeniem, w którym ironia mieszała się z nienawiścią. – Zamierza pan zniszczyć jeszcze jednego człowieka?

– Wcale nie, Jerry. To podarunek dla przyjaciela. Dla doktora Augustusa Tate'a.

– Dla Tate'a? – Church spojrzał na Reicha ze szczególnym wyrazem oczu.

– Znasz go? On kolekcjonuje antyki.

– Znam go, o tak, znam... – Church zachichotał niczym astmatyk. – Sądziłem jednak, że wiem o nim więcej. Zaczynam go żałować. – Przestał się śmiać i znów obrzucił Reicha przenikliwym spojrzeniem. – Oczywiście, to idealny podarunek dla Gusa. Wręcz doskonały. Dlatego mianowicie, że jest nabity.

– Co? Nabity?!

– Ależ tak. Jest nabity. Pięć ślicznych pocisków. – Church ponownie zaniósł się chichotem. – Podarunek dla Gusa. – Dotknął broni. Z boku wysunął się cylindryczny magazynek z pięcioma komorami, w których tkwiły miedziane pociski. Lichwiarz podniósł wzrok na Reicha. – Gus dostanie w prezencie pięć wężowych kłów.

– Powiedziałem ci już, że to ma być niewinny podarunek – w głosie Reicha zabrzmiały twardsze nutki. – Musimy usunąć te kły.

Church spojrzał ma klienta nie bez zdziwienia, po czym podreptał w głąb pomieszczenia, by po chwili wrócić z zestawem narzędzi. Szybko i sprawnie usunął pocisk z każdego ładunku. Nieszkodliwe ładunki ponownie wsunął do komór, wstawił magazynek na miejsce i położył rewolwer obok pieniędzy na ladzie.

– Teraz jest nieszkodliwy – powiedział radośnie. – Teraz naszemu małemu Gusowi nic nie grozi. – Spojrzał wyczekująco na Reicha. Ten wysunął przed siebie obie ręce. Jedną posunął pieniądze ku Churchowi, drugą zgarnął pistolet. W tej samej chwili nastrój lichwiarza uległ

kolejnej zmianie. Przepadł gdzieś rozradowany półgłówek. Niby stalowymi cęgami chwycił Reicha za dłonie i pochyliwszy się nad ladą, przemówił z ogromnym napięciem w głosie:

– Nie, Ben – po raz pierwszy zwrócił się do Reicha po imieniu. – Cena jest inna. Sam pan wie jaka. Pomimo tej kretyńskiej, bębniącej panu w głowie piosenki, wiem, że pan ją zna.

– No dobra, Jerry – powiedział Reich spokojnie, nie wypuszczając broni z ręki. – Jakaż więc jest cena? Ile?

– Chcę, by przywrócono mi moje prawa – powiedział wnikacz. – Chcę ponownie zostać członkiem Ligi. Chcę żyć. Taka jest moja cena.

– A cóż ja mogę zrobić? Nie jestem telepatą. Nie należę do Ligi.

– Ben, nie jest pan pozbawiony pewnych wpływów. Ma pan swoje sposoby i środki. Może pan wpływać także na Ligę. Jest pan w stanie przywrócić mi prawa.

– To niemożliwe.

– Może pan posłużyć się przekupstwem, szantażem, upokorzeniem... Potrafi pan fascynować, oszalać, umie pan skłaniać do wdzięczności. Jest pan zdolny to uczynić. Tyle może pan dla mnie zrobić. Niech mi pan pomoże, Ben. Ja panu kiedyś pomogłem.

– Ta pomoc drogo mnie kosztowała.

– A mnie? Ile kosztowała mnie? – wycharczał wnikacz. – Ja zapłaciłem swoim życiem.

– Zapłaciłeś za swą głupotę.

– Ben, na miłość boską! Proszę, niech mi pan pomoże. Niech mi pan pomoże albo niech mnie pan zabije. I tak już zdycham. Po prostu brak mi odwagi, by popełnić samobójstwo.

Reich odczekał chwilę i z brutalną szczerością wypalił: – Myślę, że byłoby to dla ciebie najlepsze wyjście.

Wnikacz cofnął się jak oparzony. Przez chwilę wpatrywał się w Reicha szklanym wzrokiem.

Potem pochylił się, splunął na garść suwerenów i wbił płonące nienawiścią spojrzenie w oczy Reicha.

– Na koszt firmy – powiedział i odwróciwszy się, zniknął w mroku kryjącym dalszą część piwnicy.

Z nowojorskiego Dworca Pensylwańskiego, zanim z niewiadomych przyczyn został zniszczony pod koniec dwudziestego wieku, korzystały miliony pasażerów, nie zdających sobie sprawy z tego, że dworzec jest ogniwem łańcucha czasu. Wnętrze ogromnej hali było kopią wielkich Term Karakalli w starożytnym Rzymie. To samo dałoby się powiedzieć o niekształtnej rezydencji madame Marie Beaumont, znanej tysiącom swoich najserdeczniejszych wrogów jako Poślaczana Mumia.

Schodząc w dół po schodach we wschodniej części domu, z Tate'em u boku i głową pełną morderczych myśli, Ben Reich, niczym wrażliwa struna, reagował na zabójcze sygnały swoich zmysłów. Tłum gości tam w dole... Połysk mundurów i toalet pań, lśnienie obnażonej skóry... pęki pastelowej poświaty, rozsiewanej przez z kołyszące się na wysmukłych nóżkach lampiony... Raz i dwa, i trzy, i cztery...

Słyszał dźwięki muzyki, odgłosy rozmów, okrzyki kamerdynerów anonsujących gości, jakieś tajemnicze echa... zachwycający koktajl ciał i zapachów, świetnej kuchni, bukietu doskonałych win, blichtru i ostentacji... Lubi wezyr bajadery...

Poślaczane wędzidła śmierci... Coś, czego nie próbowano od siedemdziesięciu lat... Zapomniana sztuka... Zapomniana jak alchemia, tradycyjna chirurgia czy puszczenie krwi... Ja przywrócę ludziom śmierć. Nie nagle zabójstwo pod wpływem szaleństwa czy wściekłości, ale popełnione przez normalnego człowieka, świadome, przemyślane i dokonane z zimną krwią...

– Na miłość boską! – syknął Tate. – Niechże pan będzie ostrożny. Zionie od pana śmiercią.

Lubi wezyr bajadery...

– No, tak lepiej. Idzie ku nam jeden z esper-sekretarzy. Jego zadaniem jest wyłapywanie tych, którzy przyszli bez zaproszenia.

Sekretarz Marie, szczupły, poruszający się z wdziękiem młodzieniec, stanowił wcielenie uniesienia i entuzjazmu; obrazu dopełniały trefione złote włosy, liliowa bluza i srebrne pantalone.

– Doktor Tate! Mister Reich! Brak mi słów! Dosłownie oniemiałem! Wejdźcie panowie, proszę, wejdźcie.

Trzy i cztery, pięć i sześć...

Przez tłum gości przebijając się ku niemu Marie Beaumont, ofiarowując mu swe ręce, oczy, obnażony brzuch... chirurgia pneumatyczna przekształciła jej ciało w nieco karykaturalną podobiznę hinduskiej statuetki o okrągłych biodrach, baniastych łydkach i nabrzmiątych, powleczonech złotem piersiach. Przypominała Reichowi malowaną reklamę pomoshopu... słynna Złota Mumia.

– Ben, mój złociutki! – wykrzyknęła z emfazą, ujmując go w pulchne ramiona i przyciskając jego ręce do swego ciała. – To takie piękne!

– I pneumatyczne! – mruknął jej do ucha.

– Znalazłeś już swój milion?

– Właśnie trzymam go w objęciach.

– Ostrożnie, mój zuchwały kochanku. Każdy moment tego boskiego przyjęcia jest rejestrowany na taśmie.

Reich ponad jej ramieniem spojrzał na Tate'a. Tate uspokajająco potrząsnął głową.

– Idź i przywitaj się z każdym, kto jest kimś – powie działa Marie. Ujęła Reicha pod ramię. – Mamy przed sobą mnóstwo czasu.

Światła w kasetonach sufitu zamigotały nową barwą i cała sala zamieniła swój wygląd. Stroje gości nabrały innych odcieni. Perłowa cera dam promieniowała teraz niesamowitą poświatą.

Z lewej strony Tate nadawał sygnały: Bacność! Niebezpieczeństwo!

Raz i dwa, i trzy, i cztery. Lubi wezyr bajadery. Trzy i cztery, pięć i sześć. Lubi wezyr dobrze zjeść!

Marie prezentowała mu jeszcze jednego bezpłciowego cherubina – zachwyt w oczach, fryzura, purpurowa bluzka i jadowicie błękitne pantalony.

– Ben, przedstawiam ci Larry'ego Ferrara, mojego sekretarza do spraw towarzyskich. Larry konał z chęci zawarcia z tobą znajomości.

Raz i dwa, i trzy, i...

– Panie Reich, jestem bezgranicznie szczęśliwy. Po prostu odjęło mi mowę...

Lubi wezyr bajadery!

Młody człowiek obdarzony uśmiechem przez Reicha poszedł dalej. Krążący w pobliżu Tate skinął głową z aprobatą. Światła nad ich głowami ponownie zmieniły barwy. Kostiumy niektórych gości zaczęły jakby znikać. Reich, nigdy nie uległszy modzie noszenia przenikliwych

dla ultrafioletu „okien” w ubraniu, stał spokojny w swoim ciemnym garniturze i nie bez pewnej pogardy obserwował zachowanie się gości, których oczy szukały, oceniały, porównywały i rozbłyskiwały pożądaniem.

Tate sygnalizował: Alarm! Niebezpieczeństwo!

Trzy i cztery, pięć i sześć...

Obok Marie, jak spod ziemi, wyrósł jeden z jej sekretarzy: – Madame – szepnął – drobne nieporozumienie.

– O co chodzi?

– Młody Chervil. Galen Chervil.

– Cóż więc?

– To ten, który stoi na lewo od fontanny. Przyszedł tu bez zaproszenia. Odczytałem go. To student. Założył się z kolegami, że uda mu się dostać fuksem na przyjęcie. Dowodem ma być skradzione przez niego pani zdjęcie, madame.

– Moje zdjęcie! – westchnęła Marie, oceniając młodego człowieka poprzez „okna” w jego odzieży. – Cóż on sobie o mnie myśli?

– No... bardzo trudno go przejrzeć, madame. Podejrzewam, iż zamierza on skraść pani coś więcej niż tylko fotografię.

– Och, czyżby? – Marie zachichotała nie bez skrytej uciechy.

– Tak, proszę pani. Czy mamy go wyprowadzić?

– Nie ma potrzeby. – Marie raz jeszcze spojrzała na atletycznie zbudowanego młodzieńca i odwróciła się. – Dostanie swój dowód.

– Bez uciekania się do kradzieży – dodał Reich.

– Zazdrośnik! Zazdrośnik! – pisnęła Marie. – Chodźmy coś przekąsić.

Zaniepokojony Tate dał znak Reichowi i ten natychmiast odszedł z nim na stronę.

– Reich, musi pan zrezygnować.

– Cóż znowu, u licha...

– Jest tu młody Chervil.

– I co z tego?

– To esper drugiego stopnia.

– Psiakrew!

– Jest bardzo dobry... Poznałem go w ubiegłą niedzielę u Powella. Marie Beaumont nigdy

nie zaprasza wnikaczy na swoje przyjęcia. Ja dostałem się tu tylko dzięki panu. Liczyłem na to, że będę jedyny.

– I trzeba trafu, że ten szczeniak wlaź tu na krzywy ryj. Bodaj szczeź!

– Reich, niech pan zrezygnuje.

– Może uda mi się go uniknąć.

– Reich, potrafię zablokować sekretarzy Marie. To tylko trzeciaki. Nie mogę jednak zagwarantować, że uda mi się zablokować i ich, i dwojaka... nawet jeśli jest on tylko niedojrzałym szczeniakiem. Jest młody... Może zbyt zdenerwowany na to, by wnikać głębiej w kogokolwiek. Ale nie mogę niczego obiecać na pewno.

– Nie ma mowy, żebym się wycofał – syknął Reich. – Nie mam wyjścia. Taka szansa jak dziś nigdy się już nie trafi. Nawet gdybym mógł zrezygnować, nie zrobiłbym tego. W nozdrzach czuję smród D’Courtneya. Ja...

– Reich, nie będzie miał pan możliwości...

– Dość! Zabieram się do dzieła. – Reich rzucił zdenerwowanemu Tate’owi pełne wściekłości spojrzenie. – Wiem, że kombinuje pan, jak by się wywinąć, ale nic z tego. Tkwi pan w tym po uszy razem ze mną i rozegramy to do końca... choćby do Przeróbki.

Ukrywszy nurtujące go uczucia pod wymuszonym uśmiechem, Reich przyłączył się do Marie, siedzącej na kanapie przy jednym ze stołów. Na takich jak to przyjęciach było zwyczajem, że goście karmili się nawzajem i parami, ale to, co wzorowano na wschodniej gościnności, przekształciło się w swego rodzaju grę erotyczną. Kęsy pokarmu zlizywano sobie z palców a niekiedy podawano z ust do ust. Podobnie częstowano się winem. Słodczymi karmiono się w sposób jeszcze bardziej intymny.

Reich kipiał z niecierpliwości i znosił to wszystko, czekając sygnału Tate’a. Do wywiadowczych zadań małego espera należało określenie, w jakiej części domu schronił się D’Courtney. Reich obserwował, jak Tate snuje się wśród gości badając, nasłuchując i śledząc, aż w końcu odwrócił się ku niemu potrząsając bezradnie głową i wskazując na Marie Beaumont. Najwidoczniej w całym domu jedynie ona wiedziała, gdzie znaleźć D’Courtneya, teraz jednak była zbyt podniecona i niczego nie dało się z niej wyciągnąć. Była to kolejna z nie kończącego się pasma przeszkód, z jakimi musiał się uporać instynkt zabójcy. Reich wstał i ruszył ku fontannie. Tate skoczył, by przeciąć mu drogę.

– Reich, co pan zamierza zrobić?

– Czy to nie oczywiste? Muszę jakoś wybić jej z głowy młodego Chervila.

– Jak pan chce to osiągnąć?

– Jest tylko jeden sposób.

– Reich, na miłość boską, niech się pan do niego nie zbliża.

– Z drogi!

Fala nieokiełznanej woli, która buchnęła od Reicha, niemal odepchnęła małego wnioskacza. Zdesperowany zaczął dawać znaki i Reich podjął próbę wzięcia się w garść.

– Wiem, że to ryzykowne, ale nie aż tak, jak pan myśli. Po pierwsze, jest młody i niedojrzały. Po drugie, znalazł się tu bez zaproszenia i ma pietra. Po trzecie, nie ma jeszcze doświadczenia w tych sprawach, w przeciwnym razie sekretarze nie wyczuliby go tak łatwo.

– A czy pan potrafi się kontrolować? Umie pan myśleć dwutorowo?

– Wystarczy mi ta piosenka. Mam zbyt wiele problemów na łbie, by zabawiać się w dwutorowe myślenie. A teraz niech pan zejdzie mi z drogi i zajmie się odczytaniem Marie.

Chervil stał obok fontanny, jedząc i udając (bez większego zresztą powodzenia) jednego z zaproszonych.

– Pip – powiedział Reich.

– Pop – odparł Chervil.

– Bim.

– Barn.

Po tym nieformalnym wstępie, Reich usiadł obok młodzieńca.

– Ben Reich – przedstawił się.

– Galen Chendl. Proszę mówić mi Galen. Ja... – nazwisko Reicha najwyraźniej wywarło na nim spore wrażenie.

Raz i dwa, i trzy, i cztery.

– Przekłeta piosenka – poskarżył się Reich. – Usłyszałem ją niedawno i w żaden sposób nie mogę wybić jej sobie ze łba. Panie Chervil, Marie wie, że pan wlaź tu na gapę?

– Och, nie! Reich skinął głową. Lubi wezyr bajadery.

– To znaczy, że powinienem się zmywać?

– Bez jej portretu?

– Wie pan i o tym? Tu gdzieś musi być esper.

– Nawet dwóch. To sekretarze gospodyni. Do ich obowiązków, między innymi, należy

wyławianie takich jak pan.

– A co z fotografią? Postawiłem pięćdziesiąt kredytów. Pan powinien wiedzieć, co to znaczy zakład. Jest pan graczem... chciałem rzec, finansistą...

– A pan cieszy się z tego, że nie jestem esperem, nieprawdaż? Niech pan porzuci obawy, nie czuję się dotknięty. Widzi pan to łukowato sklepione przejście? Niech pan idzie prosto i w prawo. Znajdzie pan tam buduar. Wszystkie ściany wyłożone są portretami Marie, wtopionymi w syntetyczne klejnoty. Może pan wziąć jeden, ona nawet nie zauważy braku.

Młodzieniec zerwał się na równe nogi, rozsypując przy tym kanapki.

– Dziękuję, panie Reich. Kiedyś się panu odwdzięczę.

– Jakim sposobem?

– Zdziwi się pan. Jestem przecież... – zorientował się, że może palnąć głupstwo i poczerwieniał. – Zobaczy pan. Raz jeszcze dziękuję. – Zaczął przeciskać się ku wskazanym przez Reicha drzwiom.

Trzy i cztery, pięć i sześć... Reich wrócił do gospodyni.

– Niegrzeczny chłoptaş – powiedziała Mumia. – Kogo tam karmiłeś? Wydrapię jej oczy.

– Rozmawiałem z Chervilem – odparł Reich. – Pytał mnie, gdzie trzymasz swe portrety.

– Ben! Chyba mu nie powiedziałaś?

– Ależ tak. – Reich uśmiechnął się szeroko. – Zmierza tam pod pełnymi żaglami.

A potem się stąd wyniesie. Wiesz, że jestem zazdrosny.

Marie zerwała się z kanapy i runęła do swego buduaru.

– Barn – skwitował to Reich.

Około jedenastej goście tak podniecili się jedzeniem, że poczuli potrzebę pewnej odmiany – mroku i odosobnienia. Marie Beaumont nigdy jeszcze nie zawiodła zaproszonych; Ben liczył na to, że i tym razem nie będzie inaczej. Musiała zaproponować grę w SARDYNKI. Upewnił się o tym, gdy z saloniku wyłonił się Tate, przynoszący wieści o miejscu pobytu D’Courtneya.

– Nie mam pojęcia, jakim sposobem udało się panu ukryć swe zamiary – szepnął mały wnikacz. – Na wszystkich zakresach telepatycznych emituje pan z siebie żądzę krwi. D’Courtney jest tutaj. Bez służby. Strzeże go tylko dwu goryli, których użyczyła mu Marie. @kins miał rację. D’Courtney naprawdę jest poważnie chory.

– Nie ma sprawy, wyleczę go. Gdzie to jest?

– Przejdzie pan przez zachodnie wyjście. Skręci pan w prawo. Schodami do góry. Dalej

korytarzem i ponownie w prawo. Drzwi znajdują się między malowidłami przedstawiającymi gwałt na Lukrecji i porwanie Sabineek.

– Jak na zamówienie.

– Otwiera pan drzwi. Za nimi znajdzie pan schodki wiodące do przedpokoju; tam siedzą ochroniarze, dalej jest D’Courtney. To dawny apartament dla nowożeńców, zbudowany jeszcze przez dziadka Marie.

– Na Boga! Wykorzystam ten apartament! Ożenię D’Courtneya ze śmiercią! A sam wyjdę z tego obronną ręką. Ależ tak, mój drobny panie, tak właśnie będzie.

Pozłacana Mumia, zarumieniona i błyszcząca od potu, oświetlona różową poświatą dwu fontann, pomiędzy którymi stanęła, zaczęła klaskać w ręce prosząc o uwagę. Jej wilgotne, uderzające o siebie dłonie wydawały dźwięk, który echem odbijał się w mózgu Reicha: Śmierć! Śmierć! Śmierć!

– Kochani! Kochani! Kochani! – wołała Marie. – Dziś w nocy urządzimy sobie pyszną zabawę. Coś zupełnie oryginalnego.

Wśród gości rozległ się stłumiony pomruk, a jeden z nich zawołał:

– Jestem tu przejazdem!

Wybuch śmiechu towarzyszący temu wyznaniu Marie skwitowała słowami:

– Paskudnicy, reklamacji nie będzie! Zabawimy się wspaniale... i po ciemku.

Towarzystwo okrzykami entuzjazmu powitało wygaszanie kolejnych lampionów. W blasku reflektorów Marie wydobyła skądś sponiewierany, brązowy tom. Reich rozpoznał w nim swój prezent.

Raz i dwa, i trzy, i cztery...

Marie, mrużąc oczy z powodu niezwykłego kroju czcionek, powoli odwracała strony.

Lubi wezyr...

– Gra – oznajmiła Marie – nazywa się SARDYNKI. Czyż to nie urocze?

Polknęła przynętę. Pożarła i haczyk. Za trzy minuty zniknę wszystkim z oczu. Reich sprawdził zawartość swych kieszeni. Pistolet. Rodopsyna. Trzy i cztery, pięć i sześć...

– *Grę prowadzi jedna osoba – czytała Marie – To muszę być ja. Gasi się wszystkie światła i prowadzący wychodzi, by ukryć się w dowolnym miejscu domu.*

Podczas gdy Marie nie bez trudności przebijała się przez objaśnienia do gry, lampiony wciąż gasły, pozostawiając w końcu tylko jeden snop światła, padający na podest między fontannami.

Po kilku minutach gracze wychodzą na poszukiwania, każdy osobno. Pierwszy z nich, który znajduje prowadzącego, nie powiadamia o tym nikogo, ale przyłącza się do niego i pozostaje w ukryciu razem z nim. Jeden po drugim gracze dołączają do Sardynek, dopóki wszyscy – z wyjątkiem jednego – nie spotkają się w kryjówce. Ten ostatni, który błąka się samotnie po ciemnym i pustym domu, przegrywa. – Marie zamknęła książkę. – I powiem wam, moi drodzy, że powinniśmy naprawdę współczuć temu biedakowi, ponieważ do naszej zabawnej starej gry wprowadzimy zupełnie współczesną modyfikację.

W blasku ostatnich, gasnących świateł na podeście Marie zrzuciła swą suknię, obnażając ciało, które było istnym cudem chirurgii pneumatycznej.

– Oto jak zagramy w SARDYNKI! – zawołała.

I światło zgasło całkowicie. Rozległ się chóralny ryk aplauzu i pełnych podniecenia chichotów, następnie w całej sali dały się słyszeć liczne szelesty wydawane przez odzież ocierającą się o skórę. Gdzieś słychać było trzaski, towarzyszące rozdieraniu materiału, stłumione przekleństwa i dalsze wybuchy śmiechu.

Reich wreszcie stał się niewidzialny. Miał pół godziny na przedostanie się do dalszych części domu, odnalezienie i zabicie D'Courtneya, i przyłączenie się do uczestników zabawy. Tate powinien zadbać o to, aby sekretarze Marie nie plątali mu się pod nogami. Reich był więc w zasadzie bezpieczny. Miał bezbłędny plan, jedynym problemem okazał się młody Chervil. Reich jednak musiał zaryzykować. Przeciął salon i przy zachodnim wejściu wpakował się na jakichś gości. Po przejściu przez portyk znalazł się w saloniku muzycznym, gdzie zwrócił się w prawo, zmierzając ku schodom.

Przy wejściu na schody musiał przebić się przez płataninę leżących na ziemi ciał, których ramiona, niczym macki ośmiornicy, starały się zwalić go z nóg. Udało mu się jakoś pokonać siedemnaście rozciągniętych w nieskończoność stopni i po omacku przejść korytarzem o ścianach obitych welurem. Nagle został porwany w ramiona jakiejś kobiety.

– Witaj, sardyneczko – usłyszał szept. Kobieta wyczuła, że Reich nie jest nagi. – Au! – Fuknęła. Jej dłonie natrafiły na wypukłość ukrytego na piersi Bena rewolweru. – A to co takiego? – Reich odepchnął jej rękę. – Sardynko, nie bądź głupia – zachichotała nieznajoma. – Wyskakuj

z puszki.

Wyrwawszy się wreszcie z objęć podnieconej damy, Reich tknął nosem w ścianę ślepego zaułka. Zakręcił więc w prawo, otworzył jakieś drzwi i znalazł się w galeryjce, długiej może na piętnaście stóp. I tu wygaszono światła, ale luminescencyjna farba obrazów, lśniąca pod wpływem ultrafioletu sączonego się ze specjalnych reflektorów, napełniała galerię nikłą poświatą. Nie było tu nikogo.

Pomiędzy sinawą Lukrecją i tłumem Sabineek Reich znalazł błyszczące gładzią metalu brązowe drzwi. Zatrzymał się przed nimi, wyjął z kieszeni niewielką kapsułę z jonizerem rodopsynowym i ujął miedziany sześcianik w palce. Zauważył, iż trzęsą mu się dłonie. Kipiały w nim gniew i nienawiść; pragnienie mordu podsuwało mu wciąż nowe wizje wijącego się w agonii D'Courtneya.

– Chryste! – krzyknął. – To przez niego. To przecież on dobiera mi się do gardła. Ja tylko bronię swego życia. – Po trzykroć powtórzył swą modlitwę. – Nie opuszczaj mnie, słodki Jezu! Nie opuszczaj! Nie opuszczaj! Nie opuszczaj!

Jego ręce przestały drżeć. Mocno zacisnął kapsułę w palcach i jednym pchnięciem otworzył drzwi, odkrywając za nimi dziewięć stopni schodów, wiodących ku apartamentowi dla nowożeńców. Wparł kciuk w kapsułę z taką energią, jakby zamierzał podrzucić pensa na księżyc. W chwili, w której kapsuła wpadała do przedpokoju, zamknął oczy. Półmrok korytarza rozjaśnił zimny, purpurowy błysk. Reich tygrysim skokiem śmignął w górę schodów. Dwaj ochroniarze z załogi Beaumont House siedzieli jak skamieniali. Ich szczęki zwisały luźno, oczy niczego nie postrzegały, stracili też poczucie upływu czasu. Jeśli ktokolwiek wejdzie do przedpokoju i znajdzie strażników w takim stanie, zanim Reich skończy z D'Courtneyem, morderca w ekspresowym tempie trafi do Przeróbki. Jeśli strażnicy ockną się, zanim skończy, czeka go to samo. Nieważne, co może się wydarzyć, alternatywą jest Przeróbka. Zostawiwszy za progiem ostatnią szczyptę rozsądku, Reich pchnął drzwi i wkroczył do apartamentu dla nowożeńców.

5

Okrągły pokój, w którym się znalazł, zaprojektowano kiedyś jako serce ogromnej orchidei. Ściany wygięto na podobieństwo płatków, podłoga przedstawiała sobą złoty kielich; krzesła, stoliki i otomany także wykonano ze złota i w kształcie kwiatów. Z apartamentu tego dawno jednak nie korzystano. Płatki spłwiałały i odpadały od nich łuszczące się warstwy polichromii, posadzka rozeschła się i pomiędzy jej płytkami pojawiły się szczeliny. Na jednej z kanap leżał stary człowiek, pomarszczony i bezsilny, niczym wyschnięty chwast. Był to podobny do trupa D’Courtney.

Reich z furją zatrzasnął za sobą drzwi.

– Nie rób mi tego, ty skurwielu! – wybuchnął. – Nie zdechłeś chyba jeszcze!

Wychudzony mężczyzna uniósł się na łokciach, spojrział na przybysza, na jego twarzy pojawił się niespodziewany uśmiech i starzec, nie bez bolesnego wysiłku, zaczął wstawać z otomany.

– A, jednak żyjesz – entuzjastycznie ucieszył się Reich.

D’Courtney postąpił ku Reichowi, z uśmiechem wyciągając ramiona, niczym ojciec witający marnotrawnego syna.

– Ogłuchłeś, czy co? – warknął Reich, zaniepokojony takim obrotem spraw.

Starzec przecząco potrząsnął głową.

– Przecież znasz angielski! – krzyknął Reich. – Słyszysz, co mówię! Udajesz dumnia? Jestem Reich. Ben Reich z firmy Monarch.

D’Courtney, nadal się uśmiechając, skinął głową. Jego usta drgnęły, ale nie wydały dźwięku. W oczach starca nieoczekiwanie pojawiły się łzy.

– Co z tobą, do nagłej cholery? Jestem Ben Reich. Ben Reich! Wiesz, kim jestem? Odpowiadaj!

D’Courtney potrząsał głową i wskazywał na swe gardło. Jego wargi drgnęły ponownie. Słowa, które wyszły spomiędzy nich, brzmiały jak zgrzyt zardzewiałych zawiasów i były ciche, niczym opadający kurz.

– Ben... mój drogi... Tak długo czekałem... a teraz nie mogę mówić... Krtań... Nie mogę mówić. – Przy tych słowach ponowił próbę objęcia Reicha.

– Odczep się, stary, szurnięty kretynie! – Reich krążył dookoła D’Courtneya niczym

drapieżne zwierzę ze zjezonymi włosami na głowie i kipiącą w żyłach żądzą krwi.

– Drogi mój... – wydusił z siebie D’Courtney.

– Wiesz, po co tu przyszedłem. Do czego zmierzasz? Chcesz mnie uwieść? Ty podstępny stary pedale! – Reich wybuchnął śmiechem. – Czyżbyś sądził, że położę się na plecach, abys łatwiej mógł mnie połknąć? – Dłoń Reicha przecięła powietrze. Policzek odrzucił starego człowieka do tyłu i D’Courtney upadł na krzesło w kształcie orchidei, purpurowe niczym otwarta rana.

– Słuchaj, ty... – Reich postąpił krok w stronę starca i stanął nad nim. Nie kontrolując się już zupełnie, zaczął wykrzykiwać: – Od lat czekam na sposobność porachunku!

A ty... chcesz mnie obrabować, uśmiechając się jak Judasz. I co, mordercy też nadstawiają drugi policzek? Jeśli tak, obejmij mnie, bracie zabójco. Ucałuj swą śmierć! Ukochaj ją! Naucz ją pacierza, niech wie, co to wstyd i krew i... Nie. Zaraz. – Cofnął się i potrząsnął głową, jak byk usiłujący pokonać ogarniające go szaleństwo.

– Ben – wyszeptał D’Courtney ze zgrozą. – Posłuchaj, Ben...

– Dziesięć lat temu skoczyłeś mi do gardła. A przecież ty i ja nie przeszkadzaliśmy sobie przedtem. Firmy Monarch i D’Courtney miały dość miejsca. Dzielił nas cały świat i cała wieczność, ale ty zapragnąłeś mojej krwi, nieprawdaż? Mojego serca? Chciałeś swe parszywe łapska unurzać w moich bebechach, Człowieku Bez Twarzy!

D’Courtney potrząsał głową, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Nie, Ben. To nie tak...

– Nie mów mi Ben! Nie jestem twoim przyjacielem! W zeszłym tygodniu dałem ci szansę pokojowego zakończenia sporu. Ja. Ben Reich. Prosiłem o rozejm. Błagałem o pokój. Proponowałem połączenie firm. Skamlałem jak rozhisteryzowana baba. Gdyby żył mój ojciec, plunąłby mi w oczy i wyrzekłby się mnie. Wyśmialiby mnie wszyscy Reichowie, z których żaden nie ustąpiłby bez walki. A ja prosiłem o rozejm, może nie, co? Może zaprzeczysz? – pytał D’Courtneya niczym szaleniec. – No, mów!

D’Courtney wpatrywał się w niego z pobladłą twarzą. W końcu wyszeptał:

– Tak. Ty prosiłeś... Ja się zgodziłem.

– Co takiego?

– Zgodziłem się. Czekałem na to od lat. Zgodziłem się.

– Zgodziłeś się!

D’Courtney skinął głową. Jego wargi uformowały litery WWHG.

Reich wybuchnął zgrzytliwym śmiechem.

– Nawet łąć nie umiesz, stary bałwanie. To oznacza odmowę. Odrzucenie propozycji.

Zaprzeczenie. Wojnę!

– Nie, Ben. Nie...

Reich pochylił się i jednym szarpnięciem postawił D’Courtneya na nogach. Stary człowiek był słaby i ważył niewiele, ale ciążył Reichowi w dłoniach, a dotyk jego skóry parzył niemal palce Bena.

– Jak wojna, to wojna. Na śmierć, co? D’Courtney potrząsał głową i rozpaczliwie gestykulując, usiłował dać mu coś do zrozumienia.

– Nie ma zgody. Nie będzie pokoju. Na śmierć i życie. Taki był twój wybór, może nie?

– Ben... nie tak...

– A więc poddasz się?

– Tak – wyszeptał D’Courtney. – Tak, Ben. Tak.

– Łgarz. Głupi, stary łgarz – zaśmiał się Reich. – Potrafisz jednak być niebezpieczny. Przejrzałem cię. Ochronna mimikra. Tak się nazywa ta sztuczka. Udajesz idiotę i zwabiasz w pułapkę tych, którzy dadzą się nabrać. Ale ja się nie pozwolę oszukać. Nigdy.

– Ben... ja... nie jestem... twoim wrogiem...

– Oczywiście! – Reich prawie wypluł te słowa. – Nie jesteś moim wrogiem, bo jesteś już trupem. Jesteś trupem od chwili, w której wkroczyłem do tej ukwieconej trumny. Słyszysz, Człowieku Bez Twarzy? Naciesz się moim krzykiem po raz ostatni! Skończę z tobą raz na zawsze!

Wyszarpnął rewolwer z kieszeni na piersi. Nacisnął bolec i broń otworzyła mu się w dłoni, niczym stalowy purpurowy kwiat. Gdy D’Courtney to zobaczył, wydał z siebie cichy jęk. Przerażony usiłował się cofnąć, ale Reich pochwycił go i trzymał mocno. Starzec zaczął więc się w uścisku Reicha, jego wykrzywiona bólem twarz wyrażała błaganie, a oczy zalśniły łzami. Reich chwycił go za kark i wykręcił głowę ku sobie. Aby urzeczywistnić swój plan, musiał strzelić wrogowi w otwarte usta.

W tej samej chwili jeden z płatków orchidei uchylił się i do pokoju wpadła na wpół naga dziewczyna. Zaskoczony tym Reich ujrzał za jej plecami korytarz, a w jego głębi drzwi otwartej sypialni; dziewczyna, poza pospiesznie narzuconą, prawie przezroczystą nocną koszulką, nie

miała nic na sobie... Jej jasne włosy rozsypały się w nieładzie, a oczy pod wpływem przerażenia wyszły prawie z orbit. Uroda obnażonej dziewczyny poraziła Reicha jak grom.

– Ojcze! – krzyknęła. – Ojcze! Na miłość boską! Skoczyła ku D’Courtneyowi. Reich szybko zasłonił sobą starca, ani na chwilę nie osłabiając swego uścisku. Dziewczyna przystanąła na moment, zrobiła krok do tyłu i nagle, krzyząc, rzuciła się w bok. Reich obrócił się w miejscu i zadał jej cios sztyletem. Uchyliła się, ale teraz dzieliła ich kanapa. Weisnął więc ostrze sztyletu pomiędzy zęby starca, zmuszając go do otwarcia ust.

– Nie! – zwołała dziewczyna. – Na Boga! Ojcze! Udało jej się wydostać zza kanapy i znów skoczyła ku ojcu. Reich wetknął lufę w usta D’Courtneya i nacisnął spust. Rozległ się stłumiony huk i z potylicy starca trysnął strumień krwi. Reich puścił trupa i rzucił się na dziewczynę. Złapał ją i trzymał, mimo iż wrywała się i krzyczała.

Nieoczekiwanie dla niego samego również i z jego gardła wydarł się krzyk. Zabójcą zaczęły wstrząsać drgawki, które zmusiły go do wypuszczenia dziewczyny z rąk. Opadła na czworaka i poczołgała się ku zwłokom ojca. Jęcząc niezrozumiale, wyjęła z ust trupa broń, która nadal jeszcze w nich tkwiła. Potem dziewczyna przytuliła do siebie drgające przedśmiertnie ciało i usiadła, patrząc szklanym wzrokiem w znieruchomiałą już twarz starca.

Reich zachłysnął się i uderzył pięścią w otwartą dłoń, aż poczuł ból. Gdy huk w jego uszach przycichł trochę, ruszył na dziewczynę, próbując równocześnie zebrać myśli i dokonać błyskawicznych poprawek w swoich planach. Żaden z nich nie uwzględniał obecności świadka! Skąd ona się tu wzięła? Niech tego Tate’a porwą wszyscy diabli! Trzeba będzie zabić i ją. Trzeba będzie...

Dziewczyna odwróciła się niespodziewanie i rzuciła mu przez ramię spojrzenie pełne przerażenia. Ponownie uderzył go urok jej jasnych włosów, brązowych oczu i ciemnych brwi. I wtedy skoczyła na równe nogi, uniknęła uchwytu odmawiających mu posłuszeństwa rąk, podbiegła do zdobnych klejnotami drzwi, otworzyła je i wybiegła do przedpokoju. W prześwicie wolno zamykających się za nią drzwi Reich ujrzał ciągle jeszcze nieprzytomnego ochroniarza, spoczywającego bezwładnie na ławeczce, i dziewczynę, zbiegającą ze schodów z bronią, nie! – z Przeróbką w dłoni.

Reich odzyskał władzę nad sobą. W jego żyłach ponownie zaczęła krążyć krew. W trzech skokach dopadł do wyjścia, wyskoczył jak bomba, sfrunął niemal ze schodów i wbiegł do galerii obrazów. Było tu pusto, choć drzwi w głębi właśnie się zamykały. Dziewczyna uciekała

w milczeniu. Ale przecież w każdej chwili mogła się rozdrzeć na cały dom.

Przemknął przez galerię i dopadł przejścia. Jak i przedtem, było tu ciemno jak w beczce. Potykając się, po omacku dotarł do drzwi po drugiej stronie i przystanął na podeście schodów wiodących do saloniku muzycznego. Nadal nie słyszał żadnego dźwięku. Żadnych oznak alarmu.

Ruszył schodkami w dół. Ta mroczna cisza przerażała go. Dlaczego ona nie krzyczy? Gdzie się podziała? Przeszedł przez zachodni portyk i cichy plusk fontanny powiedział mu, że znajduje się w głównym holu. Gdzie jest dziewczyna? Jak ją znaleźć w tej czarnej ciszy? A rewolwer! Chryste! Ten zmyślny rewolwer!

Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia. Reich drgnął jak dźgnięty ostrogą koń. Usłyszał szept Tate'a:

– Cały czas pana kryłem. Stracił pan równo...
– Ty skurwysynu! – nie wytrzymał Reich. – Tam była jego córka! Dlaczego, do cholery...
– Cyt! – syknął Tate. – Sam wyczytam! Proszę nie przeszkadzać. – Po piętnastu długich jak cała wieczność sekundach esper zadrżał, jakby targnęły nim dreszcze gorączki. – Mój Boże! O mój Boże... – jęknął przerażonym głosem.

Przestrach wnikacza podzielał na Reicha jak zimny prysznic. Odzyskał panowanie nad sobą. Znowu obudził się w nim chłodno kalkulujący hazardzista.

– Zamknij się! – warknął. – Do Przeróbki jeszcze daleko!
– Reich, trzeba będzie zabić i ją. Trzeba będzie...
– Milcz! Przede wszystkim trzeba ją znaleźć. Niech pan przeszuka cały dom. Ma pan jej opis i wzór myślowy, uzyskał go pan ode mnie. Będę czekał u fontanny. Proszę się pospieszyć!

Odepchnął Tate'a od siebie i chwiejnym krokiem ruszył ku fontannie. Pochyliwszy się nad wyłożoną jaspisem krawędzią baseniku, oplukał rozpaloną twarz. Okazało się, że fontanna napełniona jest nie wodą, ale burgundem. Wytarł twarz, nie zwracając uwagi na stłumione dźwięki dobiegające z drugiej strony basenu. Najwidoczniej ktoś nieznajomy – a może para nieznajomych? – kąpał się w winie.

Reich szybko obmyślał następne posunięcia. Dziewczynę trzeba odnaleźć i zabić. Jeśli w chwili, gdy odnajdzie ją Tate, będzie nadal miała przy sobie broń, użyje się broni. A jeżeli nie? Co wtedy? Udusić ją? Nie... Fontanna. Dziewczyna pod jedwabną koszulką była naga. Koszulkę można z niej zedrzeć. Znajdą ją utopioną w fontannie... ot, jeden z gości zbyt długo kąpał się w winie. Ale trzeba się spieszyć... spieszyć... spieszyć... Zanim skończy się zabawa w te cholerne

SARDYNKI. Gdzie podziewa się Tate? Gdzież może być ta dziewczyna? Potykając się w mroku i sapiąc, podszedł do niego Tate.

– I co?

– Nie ma jej.

– Wrócił pan podejrzenie szybko. Jeśli prowadzi pan podwójną grę...

– I po cóż miałbym to robić? Jedziemy na tym samym wózku. Mówię panu, że w całym domu nie ma osoby o takim jak ona wzorcu psychicznym. Musiała wyjść na zewnątrz.

– Czy ktoś widział, jak wychodziła?

– Nie.

– Chryste! Wyszła z domu!

– Lepiej będzie, jeśli i my się ulotnimy.

– Owszem, ale nie możemy zwrócić na siebie uwagi. Gdy już się stąd wydostaniemy, poświęcimy resztę nocy na odnalezienie tej dziewczyny. Teraz musimy wyjść, jak gdyby nic się nie stało. Gdzie podziewa się Pozłacana Mumia?

– Jest w sali projekcyjnej.

– Ogląda jakiś program?

– Skądże. Nadal trwa zabawa w SARDYNKI. Tłoczą się tam jak rybki w puszcze.

W całym domu pozostaliśmy chyba tylko my dwaj.

– Błąkający się samotnie w ciemnościach, co? No dobra, chodźmy...

Ściskając łokieć rozdygotanego Tate'a, ruszył razem z małym esperem ku sali projekcyjnej. Idąc wołał ponaglająco co parę kroków:

– Hej... gdzie się schowaliście... Marie? MAAARIE? Gdzie są wszyscy?

Tate chlipnął jak histeryk. Reich potrząsnął nim dość brutalnie.

– Weź się w garść! Za pięć minut już nas tu nie będzie! Wtedy możesz sobie wpadać w panikę.

– Ale jeśli tu ugrzęźniemy, nigdy nie znajdziemy dziewczyny. Nie damy rady...

– Nic nas tu nie zatrzyma. ABC, Gus. Aktywność. Brawura. Celowość działania. Trzy wieloryby, na grzbietach których spoczywa świat. – Reich pchnął drzwi sali projekcyjnej. Wewnątrz panowała ciemność i zaduch, spowodowany natłokiem. – Hej! – zawołał Reich. – Jest tu kto? Pozostałem sam.

Żadnej odpowiedzi.

– Marie, zostałem sam... i jest ciemno.

Usłyszał stłumiony szept, potem wybuch śmiechu.

– Mój drogi, mój drogi! – wołała Marie. – Straciłeś, biedaku, całą zabawę.

– Marie, gdzie jesteś? Przyszedłem się pożegnać.

– Nie możesz mi teraz tego zrobić.

– Przykro mi, moja droga. Późno już. Jutro muszę wykiwać jednego z przyjaciół. Gdzieś ty się podziała?

– Wejdz na scenę, skarbie.

Reich ruszył wzdłuż przejścia, wymacał stopami schodki i zaczął wstępować wyżej. Plecami dotknął zimnej powierzchni kuli projekcyjnej. I wtedy ktoś zawołał:

– Dobra, teraz go mamy! Światło!

Kula rozświetliła się jasnym blaskiem i oślepiła Reicha. Goście, usadowieni wokół sceny w rzędach foteli i gotowi ryczeć ze śmiechu, zawyli z rozczarowaniem.

– Ben, to oszustwo! – obruszyła się Marie. – Nadal pozostajesz ubrany. To nieuczciwe. Wszystkich przed tobą łapaliśmy jak ich pan Bóg stworzył.

– Nie tym razem, moja droga. – Reich wyciągnął dłoń, szykując się do wdzięcznego ukłonu pożegnawego. – Z całym szacunkiem, madame. Dziękuję za... – Przerwał zdumiony. Na olśniewająco białym mankiecie jego koszuli pojawiła się zdradziecka czerwona plamka.

W ogłuszającej ciszy Reich patrzył, jak w ślad za pierwszą zjawiała się druga, a za nią trzecia plamka. Cofnął dłoń i czerwone krople zaczęły rozpryskiwać się na scenie przed nim, przekształcając się wreszcie w ciekący niepowstrzymanie strumień purpury.

– To krew! – kwiknęła Marie. – Krew! Tam na górze ktoś krwawi! Ben, na miłość boską... Nie możesz mnie teraz zostawić. Światło! Światło! Niech ktoś zapali światło!

6

Tuż po północy do Beaumont House przybył lotny patrol policyjny, który z pobliskiego komisariatu otrzymał następujące doniesienie: GZ. Beaumont, YLP-R, co przełożone na normalny język oznaczało: Doniesienie o akcie zabronionym przez prawo, popełnionym w Beaumont House, 9, Park Południowy.

W dziesięć minut potem, wezwany meldunkiem o podejrzeniu dokonania przestępstwa klasy A-A-A, zjawił się kapitan miejscowego komisariatu, godzinę po północy do Beaumont House przybył Lincoln Powell, nagłony rozpaczliwymi wezwaniami zastępcy inspektora:

– Panie Powell, mówię przecież, że to zbrodnia klasy potrójne A. Nie myślę się, przysięgam. Dosłownie mnie zatkało. Nie mam pojęcia, bać się czy cieszyć, wiem tylko, iż nikt z nas nie potrafi rozwikłać tej zagadki.

– A czego pan nie rozumie?

– Panie Powell, bez urazy. Morderstwo to odchyłka od normy. Jedyne człowiek o zdeformowanej psychice może zadać komuś gwałtowną śmierć. Czy nie mam racji?

– I owszem.

– Właśnie dlatego od ponad siedemdziesięciu lat nie zdarzył się przypadek udanej zbrodni klasy A-A-A. Planujący morderstwo człowiek o wypaczonej psychice nie pozostaje obecnie nie zauważony. Ma na to mniej więcej takie same szanse, jak cudak posiadający trzy ręce. Wy, wnikiwie, zawsze łapiecie go, zanim zabierze się do dzieła.

– Owszem, udaje nam się to... o ile staniemy z nim oko w oko.

– Ale w dzisiejszych czasach jest was zbyt wielu, żeby można było uniknąć spotkania. Aby tego dokonać, trzeba by zostać pustelnikiem. A jak pustelnik może zabić kogokolwiek?

– No właśnie, jak?

– I oto mamy zabójstwo, które musiało być starannie zaplanowane... a morderca pozostał nie zauważony. Nie mamy żadnych doniesień na jego temat. Nie spostrzegli niczego nawet sekretarze Marie Beaumont. Można więc wysnuć wniosek, że nie mieli powodu do podnoszenia alarmu. Patologiczna umysłowość mordercy z nie znanych nam powodów nie wpływała na jego telepatemy. Jak, u diabła, mamy uporać się z tą zagadką?

– No tak, jasne. Od czego zaczynamy?

– W tej sprawie jest zbyt wiele niekonsekwencji, mamy za mało punktów zaczepienia. Po

pierwsze, nie wiemy, czym zabito D’Courtney’a. Po drugie, zniknęła gdzieś jego córka. Po trzecie, ochroniarzy D’Courtneya ktoś okradł z jednej godziny życia i nie mamy pojęcia, jak tego dokonano. Po czwarte...

– Niech pan da spokój, starczy i tego. Już jadę.

Obszerny salon Beaumont House zalewało ostre białe światło. Wszędzie kręcili się mundurowi policjanci. Jak pracowite pszczoły, tu i tam uwijali się technicy w białych kitlach laboratoryjnych. Na środku salonu zebrano (ubranych już) gości, którzy stłoczyli się niby stado przerażonych baranów w rzeźni.

Schodzący w dół po wschodnich schodach wysoki, smukły, odziany w smoking Powell z miejsca wyczuł emitowaną ku niemu falę wrogości. Szybko zasięgnął więc informacji u Jacksona Becka, inspektora policji i espera-2.

– *Jack, jak wygląda sytuacja?*

– *Jest dość skomplikowana.* – Równocześnie, przechodząc na nieoficjalny żargon policyjny, składający się ze zniekształconych symboli, dwuznaczników i systemu znaków umownych, Beck kontynuował: – *Proszę uważać, są tu wnikacze.* – Nie potrzebował nawet mikrosekundy, by wprowadzić Powella w sytuację.

– *No tak, sprawa wygląda paskudnie. Dlaczego zebrał pan wszystkich pośrodku sali? Ma pan jakiś pomysł?*

– *Zamierzałem zabawić się w Siepacza i Zbawcę.*

– *Czy to konieczne?*

– *To dość obrzydliwe towarzystwo. Brać rozpieszczona, przekupna, przekonana o przemożnej sile forsy. Prędzej pan skona, niż doczeka się od nich jakiegokolwiek formy współdziałania. Trzeba jakimś podstępem zdobyć ich przychylność, a wydaje mi się, że gra warta jest świeczki. Ja wezmę na siebie rolę Siepacza. Pan zostanie ich Zbawcą.*

– *Niech będzie. Dobrze się pan spisał. Zaczynamy.*

W połowie schodów Powell zatrzymał się. Zacisnął wargi jak człowiek w najwyższym stopniu niezadowolony. Z jego głęboko osadzonych, ciemnych oczu zniknęły resztki ciepła. Na twarzy detektywa pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Beck! – zabrzmiało to niczym chłaiście bata. Głos Powella echem odbił się od pułapu salonu. Zapadła martwa cisza. Wszystkie oczy zwróciły się na prefekta.

Przed Powellem stanął inspektor Beck. W głosie policjanta zabrzmiało wyzwanie.

– Słucham, sir.

– Czy to pan odpowiada za to wszystko?

– Owszem, sir.

– Ma pan dość oryginalne metody śledcze. Niewinnych ludzi spędził pan w kupę niczym stado bydła.

– Niewinni ludzie, dobre sobie! – warknął Beck. – Zabito tu człowieka.

– Beck, wszyscy w tym domu są niewinni. I za takich mają być uważani. Dopóki jednemu z nich nie udowodni się winy, wszystkich należy traktować z jednakową uprzejmością.

– Co? – prychnął Beck. – Mam traktować uprzejmie tych notorycznych łgarzy? Mam zwracać się łagodnie do tych gnid, do tych hien z wyższych sfer...

– Beck, jak pan śmie! Proszę natychmiast przeprosić tych ludzi!

Beck zaczerpnął tchu i z wściekłością zacisnął pięści.

– Inspektorze Beck, pan mnie chyba nie słyszał? Natychmiast przeprosicie panie i panów.

Beck rzucił Powellowi gniewne spojrzenie i odwrócił się ku obserwującym całą scenkę gościom.

– Przepraszam państwa – wymamrotał.

– Ostrzegam pana, Beck – ciągnął Powell lodowatym tonem. – Jeśli choć raz jeszcze przyłapię pana na czymś takim, zniszczę pana. Wróci pan do rynsztoka, który niedawno pan opuścił. A teraz precz mi z oczu.

Powell zszedł ze schodów i uśmiechnął się do gości. W całej jego postaci zaszła błyskawiczna przemiana. W zachowaniu prefekta pojawiła się teraz nieuchwytna sugestia, że właściwie jest jednym z nich. Nawet w jego głosie rozbrzmiewały teraz nutki poufałości.

– Panie i panowie. Znam was wszystkich z telewizji i z pierwszych stron gazet. Ponieważ sam nie jestem osobą tak popularną, niechże wolno mi będzie przedstawić się. Lincoln Powell. Prefekt Parapsychologicznego Wydziału Policji Federalnej. Prefekt i parapsychologiczny. Dwa starożytne słówka, nieprawdaż? Nie dajmy się zwariować. – Z wyciągniętą dłonią podszedł do Marie Beaumont. – Droga madame, cóż za podniecające zakończenie tego wspańskiego przyjęcia. Zazdroszczę państwu. Wszyscy przejdziecie do historii.

Wśród ujętych tym pochlebstwem gości rozległ się szmerek zadowolenia. Mroczna chmura wrogości zaczęła się rozwiewać. Marie, machinalnie poprawiając strój, jak zaczarowana ujęła dłoń Powella.

– Madame... – Powell dopełnił miary jej zmieszania, pocieszając ją delikatnym i ciepłym pocałunkiem w czoło. – Przeżyła pani ciężkie chwile, współczuję. Te draby w mundurach...

– Drogi prefekcie – niczym mała dziewczynka, uczepiła się jego ramienia. – Tak się przestraszyłam...

– Czy jest tu jakieś spokojne miejsce, gdzie możemy się rozgościć i jakoś przebrnąć przez to przykre doświadczenie?

– Owszem, drogi prefekcie. Możemy przejść do mojego gabinetu.

Powell strzelił palcami. Kapitanowi, który wystąpił do przodu, polecił:

– Proszę przeprowadzić madame i jej gości do gabinetu. Żadnych strażników. Panów i panie należy zostawić w spokoju.

– Mr Powell... sir... – Kapitan odchrząknął. – Co się tyczy gości madame... Jeden z nich przybył na miejsce już po doniesieniu o przestępstwie. To prawnik, mister Quatermain.

Powell odszukał w tłumie Jo Quatermaina, adwokata-2. Przesłał mu telepatyczne powitanie.

– *Jo?*

– *We własnej osobie.*

– *Co pana sprowadziło do tego legowiska bestii?*

– *Interesy. Wezwał mnie kli(Ben Reich) ent.*

– *Ten rekin? Budzi to moją podejrzliwość. Proszę tu z nim pozostać. Jakoś się w tym pozbieramy.*

– *Zręcznie rozegraliście to z Beckiem.*

– *Do licha. Rozgryzł pan nasz żargon?*

– *Skądże! Po prostu znam was obu. Łagodny Jax w roli gliny-ordynusa to chwyt z podręcznika.*

Beck, który z ponurą miną sterczał w oddalonym kącie salonu, nadał ze swego miejsca:

– *Jo, niech nas pan nie zdradza.*

– *Czy pan oszalał?* – Adwokat poczuł się tak, jakby proszono go, by nie wdeptywał w błoto najświętszych zasad Ligi. Posłał Beckowi taki impuls oburzenia, że inspektor aż się uśmiechnął. Wszystko to trwało nie dłużej niż sekundę, podczas której Powell ponownie złożył niewinny pocałunek na skroni Marie i delikatnie uwolnił się od uścisku kurczowo wczepionej w jego dłoń rączki gospodyni.

– Panie i panowie, spotkamy się w gabinecie.

Pod przewodnictwem kapitana tłum gości ruszył ku wyjściu. Wszyscy z ożywieniem wymieniali pomiędzy sobą opinie. Cała sprawa zaczynała nabierać posmaku bajecznie podniecającej nowej zabawy. Wśród śmiechów i gwaru Powell nagle wyczuł żelazne ramy bloku telepatycznego. Rozpoznał blok i pozwolił sobie na okazanie zaskoczenia.

– *Gus! Gus Tate!*

– *O! Dobry wieczór, Powell.*

– *To pan? Czaimy się i wężymy?*

– *Gus? – niemal podskoczył Beck. – Tutaj? Jakże się stało, że go nie wyczulem?*

– *Czemu, u diabła, pan się kryje?*

Otrzymali dość chaotyczną odpowiedź, w której mieszały się ze sobą gniew, wstyd, poczucie winy, obawa o reputację i samokrytyka.

– *Gus, niech pan przestanie. Pańską telepatemę tłumią odbicia wtórne. Czego pan się obawia? Otarcie się o niewielki skandal wcale nie zaszkodzi pańskiej reputacji. Przeciwnie, przybliży to pana pańskim klientom. Proszę zostać i pomóc. Choć mam przeczucie, że przydałby mi się inny pierwszak. To potrójne A wszystkim nam da do wiwatu.*

Gdy sala opustoszała, Powell uważnie przyjrzał się trójce pozostałych z nim mężczyzn. Jo Quatermain był przysadzistym, tęgim, poważnym człowiekiem o lśniącej łysinie i otwartej, szczerzej, grubo ciosanej twarzy. Mały Tate był podekscytowany i zachowywał się nerwowo... nieco bardziej niż zwykle.

I wreszcie sam znany szeroko i daleko Ben Reich. Powell po raz pierwszy miał okazję zetknięcia się z tym człowiekiem. Wysoki, dobrze zbudowany, pewny siebie. Promieniuje od niego urok osobisty i siła. Siłę tę łagodziła uprzejmość zachowania, był w niej jednak i odcień despotyzmu. Oczy Reich miał piękne, patrzące przenikliwie i bystro, usta jednak jakby za małe i zbyt delikatne, przypominające nieco wąską bliznę. Ten człowiek niewątpliwie ma wiele uroku osobistego, jest w nim jednak coś mrocznego i odpychającego.

Uśmiechnął się do Reicha. Ten również odpowiedział uśmiechem. I, dość nieoczekiwanie dla obu, uścisnęli sobie dłonie.

– Panie Reich, czy każdego pan tak rozbiera?

– To sekret moich sukcesów – uśmiechnął się Reich. Dobrze pojął znaczenie słów

Powella. Obaj zajęli pozycję *en rapport*.

– No cóż, niech się pan przynajmniej postara, by inni nie zorientowali się, w czym rzecz. Zaczną podejrzewać, że jesteśmy w zмовie.

Obaj się roześmiali. Popychał ich ku sobie niespodziewany chemotropizm. Było to niebezpieczne i Powell podjął próbę uwolnienia się spod uroku Reicha. Zwrócił się więc do Quatermaina:

– I co dalej, Jo?

– *Link, chciałbym umówić się co do czytania myśli...*

– Proszę niczego nie kryć przed panem Reichem – przerwał Powell. – Nie mamy przed nikim żadnych sekretów.

– Pan Reich wezwał mnie, abym reprezentował jego interesy. Link, żadnego czytania myśli. Wszyscy muszą mieć jednakowe prawa. Mam tego dopilnować. Będę obecny przy wszystkich przesłuchaniach.

– Jo, nie może pan zabronić nam czytania. Nie ma pan do tego uprawnień. Mamy wyjaśnić wszystko, co się da...

– Owszem, jeśli uzyskacie zgodę przesłuchiwanego. Ja będę dbać o to, byście nie robili tego bez jego wiedzy.

– Co tu się stało? – Powell zwrócił się z tym pytaniem do Reicha.

– Czyżby pan nie wiedział?

– Chciałbym usłyszeć pańską wersję.

– Dlaczego pyta pan właśnie pana Reicha? – szybko wtrącił Quatermain.

– Chciałbym wiedzieć, dlaczego pan Reich tak szybko sprowadził adwokata. Czyżby był w coś zamieszany?

– I jak jeszcze – uśmiechnął się Reich. – Nie można kierować taką firmą jak Monarch nie grzęznąc w sieci sekretów, których jakoś trzeba strzec.

– Ale morderstwo chyba do nich nie należy?

– *Link, wynoś się stąd!*

– *Jo, niech pan przestanie mnie blokować. Czytam pańskiego klienta z czystej sympatii.*

– *A tej sympatii nie mógłby pan okazywać kiedy indziej i w innym miejscu?*

– Zdaje się, że Jo mnie nie lubi. – Powell obdarzył Reicha uśmiechem. – Szkoda, że wezwał pan adwokata. Budzi to we mnie podejrzenia.

– Czyżby choroba zawodowa? – parsknął śmiechem Reich.

– A skądże. – Inicjatywę przejął teraz Niegodziwy Abe. – Nie uwierzy pan, ale chorobą zawodową detektywów jest lateralność. Niektórzy z nas robią wszystko tylko lewą, inni tylko prawą ręką. Najbardziej przykrym aspektem tej choroby są niespodziewane zmiany polaryzacji. Ja sam, aż do sprawy Parsonsa, byłem mańkutom, potem zaś...

Zorientowawszy się nagle, co mówi, Powell urwał w połowie zdania. Opuścił na moment zafascynowanych słuchaczy, odszedł dwa kroki w bok i głęboko odetchnął. Gdy wrócił do sprawy, Niegodziwy Abe odszedł w niebyt.

– Dokończę może innym razem – powiedział prefekt. – Proszę mi opowiedzieć, co zaszło po tym, jak Marie i pozostali goście ujrzeli krew kapiącą na pański mankiet.

Reich spojrział na krwawe plamy.

– Marie zaczęła wrzeszczeć o morderstwie i wszyscy pobiegli po schodach do Apartamentu Orchidei.

– Jak znalazł pan drogę po ciemku?

– Nie po ciemku. Marie zawołała o światło.

– I przy świetle nie miał pan żadnych trudności z odnalezieniem apartamentu?

Reich uśmiechnął się krzywo.

– Nie ja go znalazłem. Jego położenie było tajemnicą. Prowadziła Marie.

– Byli tam ochroniarze... ogłuszeni, czy coś w tym rodzaju, tak?

– Dokładnie tak. Wyglądali, jakby byli martwi.

– Niczym kamienie, co? Nie mogli nawet drgnąć?

– A skąd ja mam to wiedzieć?

– No właśnie, skąd? – Powell spojrział Reichowi prosto w twarz. – A D’Courtney?

– Też wyglądał niczym trup. Do diabła, *był* trupem.

– I co, wszyscy stali i gapili się?

– Niektórzy, szukając córki, rozeszli się po pozostałych pokojach.

– Szukaliście Barbary D’Courtney? Myślałem, że nikt nie wiedział o tym, iż w domu jest D’Courtney i jego córka.

– Rzeczywiście, nikt o tym nie wiedział. Powiedziała nam Marie i stąd pomysł, żeby szukać.

– Zdziwiliście się, gdy jej nie znaleźliście?

– Na tym etapie nic nas już nie dziwiło.
– Nie domyśla się pan, dokąd mogła uciec?
– Marie powiedziała, że dziewczyna zabiła staruszkę i prysnęła.
– Uważa pan, że ma rację?
– Skądże mam to wiedzieć? Cała ta historia pachnie szaleństwem. Jeśli dziewczynie odbiło tak, że potajemnie wymknęła się z domu i nago wybiegła wprost na ulicę, to mogła zabrać ze sobą i skalp tatusia.

– Czy zgodziłby się pan, abym pana odczytał i wyjaśnił kilka szczegółów?
– Oddaję się w ręce mojego prawnika.
– Sprzeciwiam się – rzucił sucho Quatermain. – Zgodnie z Konstytucją, każdy ma prawo odmówić pozwolenia na przesłuchanie przez espera i odmowy tej nie wolno traktować jako dowodu winy. Niech pan zakłada, że mister Reich odmawia.

– I oto siedzę po uszy w bagnie – westchnął Powell i wzruszył ramionami. – Cóż, bierzmy się do śledztwa.

Odwrócili się i ruszyli w stronę gabinetu Marie. Stojący po drugiej stronie salonu Beck przeszedł na żargon policyjny i spytał:

– *Link, dlaczego pozwolił pan Reichowi wystrychnąć się na dudka?*
– *Sądzi pan, że zrobił mnie w konia?*
– *Ależ oczywiście. Ten rekin w każdej chwili struga z pana idiotę.*
– *Jax, może pan ostrzyć swój kordelas. Ten rekin dojrzał już do Przeróbki.*
– *Jak to?*
– *Nie słyszał pan, jak się zdradził, sądząc, że wodzi mnie za nos? Reich nie wiedział o obecności córki. Nikt o tym nie wiedział ani nikt jej nie widział. Uważa za możliwe, że towarzyszący morderstwu szok zmusił ją do ucieczki z domu. Taki wniosek może wysnuć każdy. Skąd jednak Reich wie, że dziewczyna była naga?*

Nastąpiła chwila głębokiej ciszy, a potem, gdy Powell przekraczał północny portyk, wiodący do gabinetu, doścignął go przepelniony podziwem przekaz:

– *Chylę czoło, Link. Chylę czoło przed mistrzem.*

„Gabinet” w Beaumont House zaprojektowano na kształt łaźni tureckiej. Podłogę wyłożono mozaiką z kamieni o jaskrawych barwach: hiacyntów, spineli i kwarcu. Wzdobne

złotą siatką ściany wprawiono mieniące się kamienie syntetyczne... rubiny, szmaragdy, granaty, chryzolity, ametysty, topazy... wszystkie zawierające w sobie różne warianty portretów pani domu. Wszędzie porozkładano też aksamitne dywaniki i rozstawiono mnóstwo krzeseł i otoman.

Powell wszedł do pomieszczenia i ruszył prosto ku jego środkowi, zostawiając Reicha, Tate'a i Quatermaina za sobą. Gdy zebrani spostrzegli prefekta, szum rozmów przycichł, a Marie pospiesznie zaczęła wstawać z miejsca. Powell skinieniem dłoni dał jej do zrozumienia, iż nie musi się fatygować. Powiódł dookoła spojrzeniem, dokładnie oceniając duchowy potencjał zebranych tu sybarytów i zastanawiając się nad wyborem taktyki dalszego postępowania. Wreszcie zaczął od stwierdzenia:

– Prawo głupio i niepotrzebnie komplikuje zjawisko śmierci. Ludzie umierają codziennie tysiącami, wystarczyło jednak, że ktoś wykrzesał z siebie dostateczną ilość energii i pomysłowości, by pomóc D'Courtneyowi przekroczyć metę, ku której i tak wszyscy zmierzamy, a prawo ogłasza go wrogiem publicznym. Osobiście uważam to za idiotyzm, proszę się jednak na mnie nie powoływać.

Przerwał na moment, by zapalić papierosa.

– Wszyscy państwo wiecie, oczywiście, że jestem wnikaczem. Niewykluczone, że fakt ten zaniepokoił niektórych z was. Oczyma wyobraźni postrzegacie mnie stojącego tutaj niczym potwora czytającego w myślach, który wykrada wam wasze tajemnice skryte głęboko na dnie duszy. Cóż... nawet jeśli potrafiłbym dokonać, nie pozwoliłby mi na to Jo Quatermain. Szczerze zaś mówiąc, gdybym umiał to robić, nie byłoby mnie tutaj. Siedziałbym sobie na tronie wszechświata, w praktyce niczym nie różniąc się od Pana Boga. Zakładam, że nikt z państwa mnie z Nim jeszcze nie pomylił.

Tu i ówdzie rozległy się stłumione chichoty. Powell uśmiechem rozbroił ostatnich nieprzychylnie nastawionych słuchaczy i mówił dalej:

– Nie, proszę państwa. Masowe czytanie myśli jest sztuczką, jakiej nie potrafi dokonać żaden wnikacz. Niełatwo jest przeniknąć psychikę pojedynczego osobnika. Gdy zaś obraz zakłócają tuziny innych telepatemów, rzecz staje się niewykonalna. W grupie takich jak wy, drodzy państwo, ludzi bardzo różnych od siebie, zawołanych indywidualistów, jesteście całkowicie zdani na waszą łaskę.

– I pomyśleć, że to on mnie zarzucał czarowanie rozmówców – mruknął do siebie Reich.

– Dziś w nocy – kontynuował Powell – bawiliście się państwo w SARDYNKI. Madame, szkoda, iż pani mnie nie zaprosiła. Czy zechciałaby pani pamiętać o mnie przy następnej okazji?

– Nie omieszkam! – zawołała Marie. – Nie omieszkam, drogi prefekcie...

– Podczas tej gry zabito starego D’Courtneya. Jesteśmy prawie pewni, iż było to zabójstwo umyślne. Upewnimy się ostatecznie, gdy swoją pracę skończą chłopcy z Lazedu, Laboratorium Zabezpieczania i Dokumentacji. Założmy jednak, iż jest to zbrodnia klasy „potrójne A”. Da nam to okazję do wzięcia udziału w kolejnej grze... zabawie zwanej MORDERSTWO.

Wśród gości rozległy się niespokojne szepty. Powell mówił dalej, tym samym beztróskim tonem, rozmyślnie przedstawiając najbardziej szokującą zbrodnię ostatniego siedemdziesięciolecia jako wydarzenie abstrakcyjne i nierealne.

– W grze MORDERSTWO popełnia się fikcyjne zabójstwo na wylosowanej ofierze. Grający rolę detektywa musi odkryć, kto jest mordercą. Zadaje więc pytania tym, którzy grają role podejrzanych. Wszyscy, z wyjątkiem zabójcy, muszą mówić prawdę. Zabójcy wolno kłamać. Detektyw porównuje odpowiedzi, odkrywa, kto kłamie, i tym sposobem znajduje mordercę. Pomyślałem sobie, że gra ta może państwa zainteresować.

Ktoś spytał: – Jak to?

Ktoś inny zawołał: – Jestem nietutejszy!

Rozległy się kolejne chichoty.

– Podczas dochodzenia – uśmiechnął się Powell – staramy się odkryć trzy aspekty zbrodni. Po pierwsze, motyw. Po drugie, sposób, czy, jak kto woli, metodę. Po trzecie, okoliczności przestępstwa. Nasi laboranci zajmą się drugim i trzecim z tych aspektów. Pierwszy odkryjemy sami, podczas naszej zabawy. Jeśli tak się stanie, będziemy mogli rozgryźć także problemy, z którymi borykają się laboranci. Wiecie państwo, na przykład, iż nie mamy pojęcia, czym zabity został D’Courtney? Wiecie, że zniknęła córka ofiary? Opuściła dom chyłkiem, gdy państwo graliście w SARDYNKI. A czy słyszeliście, że ochroniarzom D’Courtneya ktoś w tajemniczy sposób zrobił przerwę w życiorysie? Skradziono im całą godzinę życia. Wszyscy chyba chcielibyśmy wiedzieć, jak tego dokonano.

Słuchacze z zapartym tchem, zafascynowani, włązili już prawie w pułapkę. Aby ją jednak zatrzasnąć, trzeba było działać z ogromną ostrożnością.

– Śmierć, zniknięcie dziewczyny i kradzież godziny życia... wszystko to wyjaśnimy

sobie, jeśli uda nam się dotrzeć do motywów zbrodni. W naszej zabawie ja podejmę się roli detektywa. Państwu wypadło grać podejrzanych. Będziecie odpowiadać zgodnie z prawdą... wszyscy, z wyjątkiem – jakżeby inaczej – mordercy. Spodziewamy się, że będzie łągał. Ale przygwoździmy go i doprowadzimy do triumfalnego końca, jeśli udzielicie mi państwo zezwolenia na telepatyczne przesłuchanie każdego spośród was.

– Oo! – krzyknęła zaniepokojona Marie.

– Chwileczkę, madame. Proszę, byście zechcieli mnie państwo zrozumieć. Ja wcale nie będę musiał uciekać się do telepatii, ponieważ, jeśli wszyscy niewinni zgodzą się na to, ten, który odmówi, będzie winnym. Jedyne on ma powody, by obawiać się wnikaczy.

– Czy ten numer ma szanse powodzenia? – Reich spytał szeptem Quatermaina.

Quatermain skinął tylko głową.

– Wyobraźmy sobie przez moment taką sytuację – mówiąc to Powell wciągnął gości w rozgrywany przez siebie spektakl i przekształcił gabinet w scenę. – Zwracam się formalnie do wszystkich tu obecnych i zadaję pytanie:

„Czy zgadza się pan (lub pani) na przesłuchanie telepatyczne”? Następnie ruszam wokół pokoju... – Mówiąc to rzeczywiście zaczął obchodzić gabinet, kłaniając się kolejno wszystkim gościom. – Otrzymuję odpowiedzi: „Owszem... Tak... Proszę bardzo... Czemu nie... Tak... Tak...” I nagle nastąpiła dramatyczna pauza! – Powell, wyprostowany i groźny, zatrzymał się przed Reichem. – „A pan?”, pytam... „Czy pozwoli pan, bym odczytał jego myśli?”

Scenę tę wszyscy obserwowali z zapartym tchem. Nawet Reich zbladł jak ściana, unieruchomiony groźnym spojrzeniem i wycelowanym w niego palcem Powella.

– Zapytany waha się. Czerwienieje na twarzy, potem blednie, gdy krew martwieje mu w żyłach. Słyszycie państwo pełną udręki odpowiedź: „Nie!”... – Prefekt odwrócił się i objął całą salę elektryzującym gestem. – I w tej niezapomnianej chwili dowiemy się, że ujęliśmy zabójcę!

Prawie mu się udało. Prawie. Pomysł wydał się obecnym świeży, podniecający, zuchwały... było to niczym nagła zmiana ultrafioletowych okien w ubraniu, pozwalająca jednak zajrzeć komuś w duszę. Ale goście Marie taili w swych duszach wiele draństw... krzywoprzysięstwa... zdrady... krył się tam sam Diabeł. I u wszystkich ciekawość została zdominowana przez wstyd i strach.

– Nie! – krzyknęła Marie. Wszyscy, opanowani jednym pragnieniem, zerwali się na równe nogi wołając: – Nie! Nie! Nie!

To był kawał dobrej roboty, Link, ale oto i pańska odpowiedź. Szukając motywu, od tych hien nie doczeka się pan żadnej pomocy.

Powell nie stracił uroku i w odwrocie.

– Panie i panowie, jest mi przykro, ale nie mogę was winić. Tylko głupiec zaufałby słowu gliniarza. – Westchnął ciężko. – Jeden z moich asystentów zbierze ustne zeznania od tych z państwa, którzy zechcą je złożyć. Będzie przy tym obecny mister Quatermain. Zadba on o to, aby wszystko odbywało się zgodnie z prawem, a w razie potrzeby posłuży państwu radą.

– *I wkopie mnie po same uszy* – dodał spoglądając żałośnie na Quatermaina.

– *Link, niech pan nie bierze mnie na litość. To pierwsza od ponad siedemdziesięciu lat zbrodnia klasy „potrójnego A”. Muszę dbać o swą karierę. Na tej sprawie mogę wyrobić sobie reputację.*

– *Jo, ja też muszę dbać o swe stanowisko. Jeśli mój wydział nie rozwikła tej zagadki, moją renomę porwą diabli.*

– *Niech więc każdy troszczy się o samego siebie. To najlepsze, co mogę panu poradzić.*

– Psiakrew! – zaklął Powell. Mrugnął do Reicha i niepostrzeżenie wymknął się z gabinetu.

W apartamencie dla nowożeńców technicy zakończyli już pracę. De Santis, zdenerwowany, zmartwiony i przepelniony poczuciem winy, podał Powellowi wyniki badań i głosem, w którym wyczuwało się przemęczenie, powiedział:

– Gównno.

Powell spojrzął z góry na ciało D’Courtneya.

– Samobójstwo? – spytał nie bez sarkazmu w głosie. De Santisa nieustannie trzeba było opieprzać, bez tego czułby się nieswojo.

– Ba! W tym sęk. Niemożliwe. Brak jakiegokolwiek broni.

– No to czym go zabito?

– Nie mamy pojęcia.

– Ciągłe jeszcze nie macie pojęcia? Grzebiecie się tu już od trzech godzin!

– A jednak nie mamy pojęcia! – wściekł się De Santis. – Dlatego powiedziałem: „Gównno”.

– Czy tak trudno ustalić przyczynę śmierci człowieka, który ma we łbie dziurę, przez jaką

można by przesypywać piasek?

– Tak, tak, oczywiście! Otwór wejściowy w podniebieniu jamy ustnej. Otwór wyjściowy na karku. Natychmiastowa śmierć. Ale co otworzyło taką ranę? Czym przewiercono dziurę przez całą czaszkę? Dalej, niech pan pyta!

– Promieniowanie twarde?

– Brak oparzeń.

– Krystalizacja?

– Brak wymrożenia.

– Ładunek par azotu?

– Brak pozostałości amonowych.

– Kwas?

– Zbyt rozległe uszkodzenia mechaniczne. Teoretycznie taką dziurę można by zrobić rozpylaczem kwasowym, ale ten nie rozsądziłby tak karku ofiary.

– Broń biała?

– Myśli pan o nożu czy sztylecie?

– Mniej więcej

– Niemożliwe. Ma pan pojęcie, jakiej siły trzeba na to, by w taki sposób przebić czaszkę?

Mowy nie ma.

– Hm... zdaje się, że braknie mi pomysłów. Zaraz, proszę poczekać. A broń palna?

– Co takiego?

– Antyk. Przodkowie używali pocisków, miotanych za pomocą ładunków wybuchowych.

Sposób hałaśliwy i smrodliwy.

– I to wykluczone.

– A to dlaczego?

– Dlaczego? – De Santis splunął sążnięcie. – Bo nie ma tu żadnego pocisku. W ranie, w pokoju... nigdzie go nie ma.

– Szlag by trafił!

– A owszem.

– I nie ma pan dla mnie niczego? W ogóle niczego?

– Coś tam mam. Przed śmiercią denat zjadł cukierek. W jego ustach znaleźliśmy resztki żelatyny... to standardowe opakowanie na słodycze.

– I co z tego?

– W całym apartamencie nie ma żadnych łakoci.

– Mógł zjeść wszystkie.

– W jego żołądku nie ma śladu po słodyczach. Zresztą, człowiek mający gardło w takim stanie, jak ten tutaj, i tak nie mógłby jeść słodczy.

– Dlaczegoż to?

– Rak krtani, psychogeniczny. Stan ciężki. Denat nie mógł mówić, a cóż dopiero jeść.

– Piekło i szatani! Musimy mieć tę broń... czymkolwiek by była.

Powell bębnił palcami w stos raportów, patrzył na zeszywniałe ciało i pogwizdywał zawiłą melodyjkę. Przypomnił sobie, że kiedyś słyszał audioksiążkę o esperze, który potrafił odczytywać zwłoki... jak w tej starej legendzie o fotografowaniu obrazu utrwalonego na siatkówce oczu nieboszczyka. Teraz dałby wiele, aby jedna z tych rzeczy okazała się prawdą.

– No cóż – westchnął w końcu. – Poszukiwania motywu spęły na niczym, podobnie rzecz się ma i ze sposobem popełnienia tej zbrodni. Pozostaje nam tylko nadzieja, że przygwoździmy Reicha, udowadniając mu sposobność... w przeciwnym razie możemy mu nagwizdać.

– Jaki Reich? Ben Reich? Co on ma do tej sprawy?

– Najbardziej jednak martwi mnie obecność Gusa Tate'a – mruknął Powell. – Jeśli jest on w to zamieszany... Co? A, Reich. To on jest mordercą, De Santis. Tam, w gabinecie Marie, okpiłem Jo Quatermaina. Reich zdradził się już wcześniej. Odegrałem całą scenkę rodzajową i wywiodłem w pole Jo, a równocześnie dla uzyskania całkowitej pewności niepostrzeżenie odczytałem Reicha. Oczywiście, nie zostanie to uznane za dowód w sądzie, ale mnie wystarczy. To Reich.

– Dobry Boże! – sapnął De Santis.

– Ale daleko nam do zebrania dowodów, które przekonałyby ławę przysięgłych. Do Przeróbki jeszcze dalej, brachu. O wiele dalej.

Pełen ponurych myśli Powell pożegnał szefa techników i poczłapał poprzez przedpokój, by zejść do galerii obrazów, gdzie założył sztab operacyjny.

– I na domiar wszystkiego ten gość da się lubić – mruknął sam do siebie.

Powell i Beck naradzali się w galerii, obok apartamentu dla nowożeńców, gdzie założyli

kwaterę polową. Wymiana myśli zajęła im dokładnie trzydzieści sekund typowej błyskawicznej rozmowy telepatów.

No cóż, Jax, to Reicha czeka Przeróbka. Przylapaliśmy go podczas tej rozmowy, a w gabinecie Marie zapuściłem węć żurawia, ot tak, aby się upewnić. To Ben jest niegrzecznym chłopcem.

Nigdy nie zdoła pan tego dowieść, Link.

Czy ochroniarze mogą złożyć zeznania, które w czymś nam pomogą?

Nie ma mowy. Zgaszono ich na całą godzinę. De Santis powiada, że uszkodzono rodopsynę w siatkówkach ich... aha... oczu. To purpurowy barwnik, odpowiedzialny za postrzeganie świata zewnętrznego. Ochroniarze będą twierdzić, że cały czas czujnie pełnili służbę.

Niewiele tego.

Z ich punktu widzenia nie działo się nic, dopóki do przedpokoju nie wdarł się rozwrzeszczany tłum wiedziony przez Marie oskarżająca ich z krzykiem o zaśnięcie na służbie, czemu oni energicznie zaprzeczają. A Pozłacana Mumia potrafi wrzeszczeć co się zowie.

Ale my wiemy, że to Reich.

Pan wie. Oprócz pana nikt w to nie uwierzy.

Jak?

Poszedł na górę, podczas gdy goście grali w SARDYNKI. Udało mu się jakoś zniszczyć rodopsynę w siatkówkach ochroniarzy i zgasić ich na godzinę. Wdarł się do apartamentów i zabił D'Courtneya.

Czym?

Dziewczyna w jakiś sposób miała w tym swój udział i dlatego uciekła. I ostatnie pytanie: dla jakich powodów zabił D'Courtneya?

*Nie mam pojęcia. Nie znam
odpowiedzi na żadne z tych pytań...
przynajmniej w tej chwili.*

Takim sposobem nigdy nie dowiedzie pan konieczności Przeróbki dla Reicha.

Tyle to i ja wiem.

*Musi pan ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że miał powód i możliwości, musi pan też
pokazać, jak tego dokonał.*

Mmm.

Wszystko zaś, czym pan dysponuje, to przekonanie wnikaacza, iż D'Courtneya zabił Reich.

Mmmm..

Czy odczytał pan, jak tego dokonał... i dlaczego to zrobił?

Nie mogłem... miałem na karku

Quatermaina.

A druga okazja prawdopodobnie się nie trafi. Jo jest bardzo skrupulatny.

*Piekło & Przeróbka! Jackson,
musimy mieć tę dziewczynę.*

Barbarę D'Courtney?

Tak.

Ona jest kluczem do tej zagadki.

*Jeśli mogłaby zeznać, co widziała
i dlaczego uciekła, mielibyśmy
dość, by sprawę pozostawić
sędziom.*

Racja.

*Zbierzmy wszystko, co uzyskaliśmy
do tej pory i załóżmy akta sprawy.*

*Bez dziewczyny jednak niczego nie
wskóramy.*

Będziemy musieli wrócić do Reicha...

*zobaczyć, czy nie możemy
wygrzebać dowodów pośrednich,*

ale...

Ale...

...guzik wskóramy bez dziewczyny.

Zaczynam jej nie lubić.

*Kolego Beck, bywają chwile,
w których i ja nie cierpię kobiet.*

*Dlaczegoż, na miłość boską,
wszystkie chcą wyjść za mąż za
mnie?*

Obraz wybuchającego śmiechem konia.

Sar (wycięte przez cenzurę)

kastyczna odpowiedź.

Sar (wycięte przez cenzurę) kastyczna replika.

(Wycięte przez cenzurę)

Pozostawszy przy ostatnim słowie, Powell wstał i opuścił galerię obrazów. Schodami w dół zszedł do saloniku muzycznego i wkroczył do głównego holu. Zastał tam pogrążonych w rozmowie Reicha, Quatermaina i Tate'a. Na ten widok ponownie zasępił się, rozmyślając o niewesołych perspektywach czekających Tate'a. Jeśli mały wnikacz związał się z Reichem, jak Powell podejrzewał już od tygodnia, kiedy to spotkali się na przyjęciu u prefekta, można przypuszczać, że jest zamieszany również w zbrodnię.

Myśl o tym, że esper klasy pierwszej, jeden z filarów Ligi, wdepnął w sprawę o morderstwo, wydawała się absurdalna; jeżeli jednak miałyby się to okazać faktem, zjadłby pierwej diabła ten, kto cokolwiek by mu udowodnił. A jeśli Tate (niewiarygodne... niemożliwe... szansa jedna na sto) współdziałał z Reichem, mogłoby się okazać, że i Reicha nie da się przywieść na hak. Powell po raz ostatni, zanim rzeczy potoczą się rutynowym torem dochodzenia policyjnego, postanowił odwołać się do lepszej strony natury Reicha i podszedł do małej grupki.

Podchwycił ich spojrzenia i wydał wnikaczom szybkie polecenie:

– Jo, Gus. Panowie, oddalcie się. Pragnę powiedzieć mister Reichowi coś, co chciałbym zachować w tajemnicy przed wami. Nie będę go czytał, nie zapiszę też jego słów na taśmie. Macie na to moje słowo.

Quatermain i Tate skinęli głowami, przyciszonymi głosami powiedzieli coś do Reicha i niespiesznie odeszli na stronę. Reich patrzył na to wszystko nie bez zainteresowania, potem zajrzał Powellowi w twarz.

– Przegonił ich pan? – zapytał.

– Poprosiłem, by zostawili nas samych. Proszę usiąść, panie Reich.

Obaj przysiedli na krawędzi fontanny i przez chwilę spoglądali na siebie, milcząc niczym dwaj przyjaciele.

– Nie – pierwszy odezwał się Powell. – Nie czytam pana.

– Nie żywię takich podejrzeń. Ale tam, w gabinecie Marie... co?

– Wyczuł pan?

– Nie. Odgadłem. Sam skorzystałbym z takiej okazji.

– Żaden z nas dwu nie zasługuje na zbyt wielkie zaufanie, co?

– Tfu! – gniewnym tonem powiedział Reich. – Nie bawimy się w piaskownicy. Sprawa idzie na ostre i obaj o tym wiemy. Zasady fair play potrzebne są mięczakom, tchórzom i cherlakom.

– A gdzie miejsce dla honoru i etyki?

– Nie jesteśmy ich pozbawieni, ale sami stanowimy własne kodeksy i nie korzystamy z tych umownych zasad, które jakiś tchórzliwy człek małego ducha ułożył dla takich samych jak on karłów. Każdy ma swą własną etykę i własny honor, i dopóki się ich trzyma, nikt nie ma prawa go potępiać. Wolno panu nie zgadzać się z tymi zasadami, nie może pan jednak nazywać ich nieetycznymi.

Powell ze smutkiem potrząsnął głową.

– Reich, w pańskiej skórze siedzi dwu ludzi. Jeden z nich to wspaniały człowiek, drugi jest łajdakiem. Gdyby pan był tylko mordercą, nie byłoby źle. Sęk w tym, że w panu pomieszali się święty i potępieniec.

– Gdy pan do mnie mrugnął, zorientowałem się, że wpadłem – uśmiechnął się Reich. – Podstępny z pana gość, panie Powell. Napędził mi pan stracha. Diabli wiedzą, z której strony pan walnie i w którą stronę zrobić unik.

– Na litość boską, niechże więc pan zrezygnuje z uników i skończmy z tą sprawą – powiedział Powell z żarem w głosie. Taki sam żar zapłonął w jego oczach. Raz jeszcze wywołał zamęt i panikę w myślach Reicha. – Ben, proszę mi uwierzyć, że pana dopadnę. Zamierzam

zdusić w panu tego groszowego zbója, ponieważ zachwyca mnie tkwiący w panu święty. Dla pana to początek końca. Sam pan to czuje. Dlaczego nie darować sobie udręki?

Niewiele brakowało, a Reich byłby się poddał. Zebrał się jednak w sobie i odparł atak.

– Zrezygnować z największej gry mojego życia? Nie, Link. Choćby miało to trwać i miliony lat, rozegramy tę partię do końca.

Powell wzruszył ramionami nie bez uczucia gniewu i zawodu. Obaj wstali z miejsc, na których przysiedli. Potem, poddając się impulsowi, obaj uścisnęli sobie dłonie w ostatnim przyjaznym geście.

– Tracę w panu wspaniałego partnera – powiedział Reich.

– To w sobie samym traci pan wspaniałego człowieka.

– Cóż więc, wojna?

– Wojna.

W ten oto sposób dokonano pierwszego kroku ku Przeróbce.

Prefekt policji miasta, liczącego sobie siedemnaście i pół miliona mieszkańców, nie może spędzać dnia pracy przykuty do biurka. Nie trzyma on w swoim gabinecie stosów akt, zapisków, stert notatek czy taśm. Ma za to trzech esper-sekretarzy, czarodziejów pamięci, którzy w swoich szarych zwojach prowadzą cały interes. Dokądkolwiek uda się w obrębie gmachu komendy, podążają oni za nim, niczym chodzący notatnik w trzech tomach. Otoczony swym lotnym sztabem (współpracownicy ochrzcili sekretarzy przezwiskami Trzy, Cztery i Bęc) Powell jak burza szalał na Center Street, zbierając materiał do oczekującej go walki.

Na użytek komisarza Crabbe'a raz jeszcze nakreślił ogólny plan sytuacji.

– Komisarzu, musimy wiedzieć dlaczego, jak i w jakich okolicznościach popełniono zbrodnię. Do tej pory udało nam się częściowo wyjaśnić te ostatnie, na tym jednak kończą się nasze osiągnięcia. Zna pan Starucha Mojżesza. Będzie nalegał na zdobycie dowodów nie do obalenia.

– Jaki znów Staruch Mojżesz? – zdumiał się Crabbe.

– Staruchem Mojżeszem – uśmiechnął się Powell – nazywamy między sobą Mozaikowy Wielozakresowy Komputer Śledczy. Nie chciałby pan chyba używać jego pełnej nazwy? Można się nią udławić.

– A, ma pan na myśli to zwariowane liczydło? – parsknął Crabbe.

– Nie inaczej, sir. Wracając do sprawy, zamierzam dobrać się do Bena Reicha i firmy Monarch, aby zdobyć dowody satysfakcjonujące Starucha. Chciałbym zadać panu jedno proste pytanie. Czy i pan tego pragnie?

Crabbe, który nienawidził esperów, poczerwieniał na twarzy i jak ukłuty żądłem podskoczył na swoim hebanowo czarnym fotelu, ustawionym za hebanowoczarnym biurkiem w wyłożonym srebrem i hebanem biurze.

– Powell, do cholery, co pan sugeruje?

– Sir, proszę nie doszukiwać się ukrytych znaczeń w moim pytaniu. Chciałbym po prostu wiedzieć, czy ma pan jakiegokolwiek powiązania z Reichem albo firmą Monarch. Czy nie postawimy pana w niezręcznej sytuacji, jeśli zaczniemy dobierać się Reichowi do skóry? Czy w takim przypadku nie stałoby się tak, że zażądałby od pana, aby pan nas utemperował?

– Nie, szlag by was trafił, nie.

– *Sir* – przekazał Trzy Powellowi – *w ubiegłym roku, czwartego grudnia komisarz Crabbe omawiał z panem sprawę „Monolit”. Oto fragmenty tej rozmowy:*

POWELL: *Komisarzu, mamy tu do czynienia z dość oryginalnym podejściem do sprawy. Ci z firmy Monarch mogą nas pogrzebać pod stosem zarzutów proceduralnych.*

CRABBE: *Reich dał mi słowo, że do tego nie dojdzie; a ja zawsze mogłem na nim polegać. Poparł mnie, gdy starałem się o urząd prokuratora okręgowego.*

Koniec cytatu.

– *Dobra robota, Trzy. Tak właśnie myślałem, że jest coś w aktach Crabba.*

Powell zmienił taktykę i zmierzył Crabbe’a ostrym spojrzeniem.

– *Sir, co, u licha, usiłuje mi pan wcisnąć? A pańska kampania wyborcza, gdy ubiegał się pan o urząd P.O. Czy to nie Reich popierał pana wtedy?*

– *Owszem.*

– *I mam uwierzyć, że na tym się skończyło?*

– *Szlag by pana trafił, Powell – tak, powinien pan w to uwierzyć. Popierał mnie ongiś. Teraz już nie.*

– *Mam przez to rozumieć, że w sprawie Reicha daje nam pan wolną rękę?*

– *Dlaczego upiera się pan, że to Reich zabił tamtego jegomościa? To śmieszne. Nie ma pan żadnych dowodów, sam pan to przyznaje.*

Powell nadal mierzył komisarza nieruchomym spojrzeniem.

– *On go nie zabił. Ben Reich nikogo nie mógłby zabić. To szlachetny człowiek, który...*

– *Mamy wolną rękę czy nie?*

– *Niech pana... Owszem, macie wolną rękę.*

– *Ale w bardzo ściśle określonych granicach. Chłopcy, zapamiętajcie sobie. Komisarz śmiertelnie boi się Reicha. Zapamiętajcie coś jeszcze. Ja też.*

Do swego sztabu Powell wygłosił następujące przemówienie:

– *Słuchajcie. Wiecie, jakim zimnym draniem jest Staruch. Zawsze skrzeczy o fakty – fakty – dowody – nie odparte i nie do podważenia. Aby przekonać tę przeklętą maszynę, że powinna kontynuować śledztwo, będziemy musieli dostarczyć tych dowodów. Aby tego dokonać, napuścimy na Reicha Cwaniaków i Przygłupów. Znać tę metodę. Każdym z tropów rusza dwu wywiadowców: jeden niezręczny i tępawy, drugi bystry i przebiegły. Tępawy nie wie,*

że tą samą pracą zajmuje się bystrzak. Nie wie o tym również podmiot śledztwa. Gdy uda mu się zwieść Przygłupa, zaczyna sobie wyobrażać, że już ma kłopot z głowy, i odsłania się przed Cwaniakiem. W taki właśnie sposób będziemy rozpracowywać Reicha.

– Szach królowi – powiedział Beck.

– Przejdźcie się po wydziałach. Zbierzcie z setkę glin niższych stopni. Przebierzcie ich w cywilne łachy i skierujcie do sprawy Reicha. Z laboratorium weźcie wszystkie wybrakowane roboty śledcze, jakie wcisnęliście im podczas ostatnich dziesięciu lat. Wszystkie te... gadgety puśćcie tropem Reicha. Hałastrą ta odegra rolę Przygłupów... takich, których wykiwa on z łatwością, ale tak czy owak zajmie mu to trochę czasu.

– Na co mają zwracać baczniejszą uwagę? – zapytał Beck.

– Dlaczego bawili się właśnie w SARDYNKI? Kto zaproponował tę zabawę? Sekretarze madame Beaumont zeznali, że nie mogli odczytać Reicha, ponieważ jego umysł nieustannie blokowała jakaś piosenka. Jaka? Kto ją skomponował? Gdzie Reich ją usłyszał? Technicy z laboratorium twierdzą, że ochroniarzy oślepieno jakimś środkiem, rozkładającym rodopsynę. Niech ktoś sprawdzi wszystkie źródła, w których można znaleźć coś na ten temat. Czym zabito D’Courtneya? Niech nie żałują trudu przy poszukiwaniu broni. Mają zbadać stosunki, łączące Reicha i D’Courtneya. Wiemy, że rywalizowali ze sobą w interesach. Czy jednak byli śmiertelnymi wrogami? Czy było to morderstwo dla zysku? Może powodem był strach? Co i w jakim stopniu zyskał Reich na śmierci D’Courtneya?

– Jezu – jęknął Beck. – To wszystko zwałamy na Przygłupów? Link, spieprzymy sprawę.

– Niewykluczone. Myślę jednak, że nie. Reich to człowiek sukcesu. Ma za sobą pasmo zwycięstw, które sprawiły, że zbytnio ufa we własne siły. Według mnie, połknie przynętę. Za każdym razem, kiedy przechytrzy jednego z naszych Przygłupów, pomyśli, że przechytrzył nas. Niech tak sobie myśli na zdrowie. My zaś będziemy musieli poddać się publicznej krytyce. Gazety nie zostawią na nas suchej nitki. Wtedy dolejemy oliwy do ognia. Będziemy się irytować, wygłaszać oświadczenia i publikować przedwczesne opinie. Innymi słowy, będziemy zachowywać się tak, jak tego można oczekiwać od otumanionych i przechytrzonych glin... I gdy Reich już się odpasie na naszym tłuszczyku...

– Pan schrupie Reicha – uśmiechnął się Beck. – A co z dziewczyną?

– Ona jedna stanowi wyjątek w zabawie Cwaniaków i Przygłupów. W jej wypadku gramy otwarcie. Chcę, by jej rysopis i fotografia w ciągu godziny dotarły do każdego policjanta w kraju,

proszę ogłosić przy tym, iż człowieka, który ją odnajdzie, czeka awans o pięć stopni.

– *Sir, regulamin nie pozwala za jednym razem awansować pracownika wyżej niż trzy stopnie.* – odezwał się Bęc.

– Pal licha regulamin – uciął Powell. – Awans o pięć stopni dla tego, kto odnajdzie Barbarę D’Courtney. Muszę mieć tę dziewczynę.

W Monarch Tower Ben Reich strącił z biurka wszystkie kryształki pamięciowe w drżące dłonie swoich sekretarek.

– Wynoście się stąd do diabła i zabierajcie z sobą to gówno – warknął. – Od tej chwili całą papierkową robotę wykonujcie beze mnie. Czy to jasne? Nie zawracajcie mi głowy!

– Mister Reich, odniosłyśmy wrażenie, że po śmierci D’Courtneya rozważa pan możliwość przejęcia jego interesów. Jeśli zamierza pan...

– Zamierzam się zająć tym właśnie teraz. Oto dlaczego nie życzę sobie, by mi przeszkadzano. Koniec, kropka. Wynocha!

Przegonił przerażoną świtę i wypchnął na zewnątrz, po czym zamknął drzwi i przekręcił klucz w zamku. Podszedł do wifonu, wybrał BD-12,232 i niecierpliwie czekał na połączenie. Wreszcie na ekranie ukazał się Jerry Church na tle antykwarycznych rupieci.

– Pan? – prychnął Church i wyciągnął dłoń, by wyłączyć swój aparat.

– We własnej osobie. I nie bez powodu. Nadal jest pan zainteresowany odzyskaniem uprawnień?

Church spojrział na Reicha ze zdumieniem i niedowierzaniem.

– O co chodzi?

– Pańska sprawa dojrzała do rozpatrzenia. Natychmiast przystąpię do działań, mających na celu przywrócenie panu utraconej pozycji. A zapewniam pana, Jerry, że mogę tego dopiąć. Mam w kieszeni Związek Esper Patriotów. Ale przysługa za przysługę...

– Ben, na miłość boską! Niech pan żąda wszystkiego co możliwe!

– Otóż to.

– Wszystko co możliwe?

– I niemożliwe. Owszem. Zrobi pan dokładnie wszystko to, o co go poproszę. Zna pan cenę, jaką gotów jestem zapłacić. Umowa stoi?

– Stoi.

– Będzie mi potrzebny i również Keno Quizzard.

– Nie, lepiej niech pan to przemyśli. To nie jest człowiek, któremu można zaufać. Nikt jeszcze nie wyszedł dobrze na układach z Quizzardem.

– Niech pan nas umówi. W dawnym punkcie o tej samej porze. Jak za dawnych czasów, co, Jerry? Tym razem jednak sprawa zakończy się po naszej myśli.

Gdy Lincoln Powell wszedł do sali recepcyjnej Instytutu Esper Ligi, jak zwykle kłębiła się tam kolejka oczekujących. Tworzyły ją setki ludzi w najróżniejszym wieku, mężczyzn i kobiet, przedstawiciele wszystkich klas społecznych, połączonych jedną nadzieją: znalezienia w sobie owego magicznego daru, dzięki któremu ich życie może przekształcić się w jedno pasmo fantastycznych przygód. Nie towarzyszy temu, niestety, świadomość ciężaru odpowiedzialności, jaką ów dar nakłada na jego posiadacza. Naiwność tych marzeń zawsze wywoływała uśmiech na ustach Powella. *Będę czytał myśli i wykończę konkurentów z giełdy...* (Regulamin Ligi zabrania jej członkom zajmowania się spekulacjami pieniężnymi czy grami hazardowymi). *Czytanie myśli pozwoli mi zapoznać się z treścią pytań egzaminacyjnych...* (Dla ustrzeżenia się przed tym rodzajem oszustw wszystkie komisje egzaminacyjne korzystają z usług esper-inspektorów). *Będę czytał myśli i dowiem się, co ludzie sądzą o mnie naprawdę... która z dziewczyn byłaby chętna... będę niczym król...*

Siedząca przy biurku znużona już recepcjonistka nieustannie nadawała w szerokim zakresie fal ESP jedno i to samo posłanie: *Ci, którzy mnie słyszają, niech wejdą w drzwi po lewej stronie z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Powtarzam: ci, którzy mnie słyszają...*

Jednocześnie tłumaczyła cierpliwie pewnej sobie światowej osobce, stojącej przed nią z książeczką czekową w dłoni:

– Niestety, madame. Liga nie prowadzi kursów ani lekcji za opłatą. Nie interesują nas pani pieniądze i proszę nie nalegać, bo nic pani nie wskóra.

Kobieta, która nie poradziła sobie nawet z podstawowymi testami, odwróciła się z wyrazem gniewu na twarzy i odeszła. Jej miejsce natychmiast zajął ktoś inny.

Ci, którzy mnie słyszają, niech wejdą w drzwi po lewej...

Zdumiony własną śmiałością, z kolejki wyszedł młody Murzyn, spojrzawszy niepewnie na recepcjonistkę i podszedł ku drzwiom z napisem TYLKO DLA PERSONELU. Otworzył je i wszedł do środka. Powell poczuł ogarniającą go falę podniecenia. Nieczęsto znajdowano

skrytych esperów. Miał szczęście, że trafił na taki właśnie moment.

Skinął głową recepcjonistce i poszedł w ślad za Skrytym. W sali dwaj pracownicy Ligi entuzjastycznie witali i poklepywali młodego człowieka po plecach. Powell również pogratulował nowemu członkowi – bowiem odkrycie kolejnego espera uważano w Lidze za święto.

Potem ruszył w stronę gabinetu rektora. Po drodze minął przedszkole, gdzie trzydzieścioro dzieci i dziesięścioro dorosłych mieszało myśli i słowa w okropnym, chaotycznym rozgardiaszu. Instruktor zaś cierpliwie nadawał: *Posługujcie się myślą. Słowa są zbędne. Posługujcie się myślą. Pamiętajcie o przełamaniu odruchu mowy. Powtórzcie za mną pierwszą z zasad...*

Cała klasa ryknęła zgodnym chórem:

– Zapomnijmy o krtani!

Powell skrzywił się i ruszył dalej. Całą ścianę naprzeciwko sali przedszkolnej pokrywała złota tablica, na której wyryto święte słowa Przysięgi Espera:

Ślubuję, iż tych, którzy nauczyli mnie Sztuki czcić będę na równi z ojcem i matką. Podzielę się z nimi majątkiem i w razie konieczności zadbam o ich utrzymanie. Ich potomstwo będę traktował niczym własne rodzeństwo i wszelkimi dostępnymi sposobami nauczę Sztuki: będę też wykładał Sztukę innym.

Nabyte przeze mnie umiejętności wykorzystam w miarę moich zdolności i wiedzy dla dobra ludzkości, i nie skorzystam z nich w złym celu. Nigdy też nie zaszkodzę nikomu myślą, nawet gdyby sam mnie o to prosił.

Jeśli będę wnikał w czyjąś świadomość, zrobię to kierując się ogólnym dobrem i nie ulegnę pokusom; powstrzymam się też od czynienia szkód. Zawsze kiedy odczytam lub usłyszę w umyśle jakiegoś człowieka to, co nie powinno być ujawnione, zachowam milczenie, chroniąc najświętszą z tajemnic.

W czytelni grupa trzeciaków żwawo tkła plecionkę myśli, omawiając jednocześnie wydarzenia międzynarodowe. Pośród starszych znalazł się tu utalentowany dwunastolatek, który ozdabiał nudną dyskusję celnymi a niespodziewanymi uwagami, umieszczając je w wątkach osnowy, każdy zaś splot komentował głosem. Całość była zabawna i bardzo interesująca.

W gabinecie rektora Powell zastał sytuację graniczącą z wybuchem paniki. Wszystkie drzwi otwarte były na oścież, na przemian wbiegali i wybiegali przez nie sekretarze i urzędnicy. Staruszek Tsung H'sai, prezydent i rektor Ligi, przysadzisty mandaryn o ogolonej czaszce i szlachetnej twarzy, stał pośrodku gabinetu i grzmiał jak burza. Był tak rozjuszony, że posługiwał się głosem, co z kolei wprawiało w stan szoku jego współpracowników.

– Guzik mnie obchodzi, jaką nazwę ci łajdacy raczyli sobie wymyślić! – szalał Tsung H'sai. – Nie są nikim innym, jak tylko bandą samolubnych, dbających jedynie o własne sprawy zacofańców. Byli uprzejmi zatroszczyć się o czystość rasy, dobre sobie! Mówią mi o arystokracji, ha! Pogadam ja z nimi! Zadam im bobu! Miss Prinn! Miss Pr-i-nnn!

Miss Prinn, przerażona perspektywą pisania pod ustne dyktando, wśliznęła się do gabinetu.

– Proszę wysłać list do tych łobuzów! Do Związku Esper Patriotów. Dżentelmeni... *Witam, Powell. Nie widziałem pana od wieków. Jak tam Niegodziwy Abe? Zorganizowana przez waszą szajkę akcja, mająca na celu obniżenie podatków płaconych przez członków Ligi, które przeznaczają się na kształcenie młodych esperów i rozszerzanie treningu ESP na pozostałą część ludzkości, trąci zdradą i graniczy z faszyzmem. Akapit...*

Oderwawszy się na moment od swej filipiki, T'sung w myślach zrobił oko do Powella.

– *Znalazł już pan teledziwczynę swoich marzeń?*

– *Jeszcze nie, sir.*

– Niech pana diabli, Powell! Ożeń się, człowieku! – ryknął T'sung. – Nie mam zamiaru tkwić tu do końca świata. Akapit, miss Prinn. Skarżycie się na uciążliwość podatków, rozprawiacie o elitarności grupy środowiska wnikaczy, powołujecie się na opinię, głoszącą nieprzydatność treningu esperów dla większości ludzi... *O co chodzi, Powell?*

– *Chciałbym skorzystać z sieci, sir.*

– *To niech pan nie zawraca mi głowy. Proszę pomówić z moją drugą sekretarką. Miss Prinn, od nowego wiersza. Dlaczego nie raczyacie, panowie, otwarcie przyznać się do tego, co was naprawdę boli? Jesteście pasożytami, chcącymi zachować umiejętności ESP dla ograniczonego kręgu osób, by móc maksymalnie wykorzystywać pozostałą część ludzkości. Niczym pijawki, pragniecie...*

Powell delikatnie zamknął za sobą drzwi i zwrócił się do drugiej sekretarki T'sunga, która

niczym osika trzęsła się w kącie.

– *Naprawdę macie takiego pietra?*

Wizerunek zmrużonego oka. Dygocącego znaku zapytania.

– *Gdy Papa T'sung tak się rozjuszy, pozwalamy mu myśleć, że konamy ze strachu. To znacznie poprawia jego samopoczucie. On nie cierpi występować w roli Świętego Mikołaja.*

– *No cóż, ja także jestem Świętym Mikołajem. Oto coś, co może pani włożyć do pończochy.*

Położył na biurku rysopis i fotografię Barbary D'Courtney.

– *Jaka piękna dziewczyna!* – zachwyciła się sekretarka.

– *Chcę, by rozesłano to siecią. Nadajcie to jako pilne. Podkreście wysokość nagrody. Przekażcie, że wnikacz, który odkryje mi miejsce pobytu Barbary D'Courtney, przez rok zwolniony będzie z podatku na rzecz Ligi.*

– *Juhuuu!* – sekretarka aż podskoczyła. – *Ale czy będzie pan mógł przeprowadzić tę uchwałę?*

– *Myślę, że mam dostateczne wpływy w Radzie, by to przegłosowano.*

– *Taka nagroda pobudzi całą sieć.*

– *Właśnie o to mi chodzi. Chcę, by każdy wnikacz poderwał się na nogi. Jedyne prezent pod choinkę, o jakim marzę – to informacje o tej dziewczynie.*

Kasyno Quizzarda wysprzątano i doprowadzono do połysku podczas przerwy popołudniowej – jedynej chwili wypoczynku, na jaką pozwalają sobie gracze. Ze stołów bilardowych i stołów do ruletki starto kurz, wypolerowano wszystkie okucia, oczyszczono zielone stoliki do gry w karty. W kryształowych kubkach lśniły już białe jak cukier sześciany kości. Na ladach kas poustawiano też kuszące słupki suwerenów, monet cieszących się jednakową estymą i wśród graczy, i w przestępczym podziemiu. Ben Reich zasiadł za jednym ze stołów w towarzystwie Jerry'ego Churcha i niewidomego krupiera, Keno Quizzarda. Quizzard był potężnym grubasem o nieco sflaczałych już mięśniach, płomiennoczerwonej brodzie, chorobliwie bladej cerze i złych, nieruchomych, pokrytych bielmem oczkach.

– *Zna pan już cenę – odezwał się Reich do Churcha. – Ale, Jerry, ostrzegam pana. Jeśli nie lubi pan kłopotów, proszę nie próbować we mnie czytać. Jestem chodzącą trucizną. Jeśli dowie się pan, jakie są moje myśli, pozostanie panu już tylko jedno – Przeróbka. Proszę, niech*

pan rozważy moje słowa.

– Jezu – kwaśnym tonem mruknął Quizzard. – Sprawy stoją aż tak źle? Panie Reich, nie tęskno mi do Przeróbki.

– A komu tęskno? Pan, Keno, o czym na przykład marzy?

– Też pytanie! – Keno sięgnął za siebie, pewnym ruchem dłoni zdjął z kasy rulon suwerenów i przesypał je z ręki do ręki. Monety zadźwięczały. – Oto przedmiot moich pragnień.

– Keno, niech pan wymieni najwyższą cenę, jaka przyjdzie panu do głowy.

– Cenę za co?

– Do diabła! Kupuję u pana nieograniczone usługi z pokryciem kosztów. Niech mi pan powie, ile muszę za to zapłacić... za gwarancję dostania tego, o co poproszę.

– Sporo.

– Mam trochę grosza.

– A czy w pańskiej sakiewce znajdzie się sto kawałków?

– Sto tysięcy? Dobra. Płacę.

– Na miłość... – Jerry aż podskoczył i zdumiony wybałuszył oczy na Reicha. – Sto tysięcy?

– No, Jerry, proszę się zdecydować, co pan woli? – warknął Reich. – Forsa czy odzyskanie praw?

– Taki majątek... Nie. Jeszcze nie zwariowałem. Niech pan przywróci mi moje prawa.

– To niech pan przestanie skomleć. – Reich odwrócił się do Quizzarda. – A więc płacę sto tysięcy.

– W suwerenach?

– Jakżeby inaczej? Jeszcze jedno, chcecie forszę z góry, czy też od razu przystępujemy do sprawy?

– Panie Reich, na miłość boską – zachnął się Quizzard.

– Niech pan da spokój – uciął Reich. – Znam pana, Keno. Postanowił pan wywęszyć, o co mi chodzi, a potem targować się o cenę. A mnie zależy na tym, by pan od razu zabrał się do roboty. Dlatego pozwoliłem, żeby pan sam ustalił cenę.

– M-m-m... – Quizzard jakby przeżuwał te słowa. – Owszem, panie Reich, przyznaję, że miałem na to chrapkę. – Uśmiechnął się i jego pokryte bielmem oczy zniknęły całkowicie wśród fałdów skóry. – Przyznam też, że nie wyzbyłem się jej do końca.

– No to powiem panu, kto prócz mnie weźmie udział w przetargu. Facet nazwiskiem Lincoln Powell. Problem w tym, że nie wiem, o ile podbije cenę.

– Nie jestem zainteresowany. – Keno prawie wypluł te słowa.

– Reich przeciwko Powellowi. Ot i cała aukcja. Ja swoją cenę potwierdziłem. Pański ruch.

– Umowa stoi – odparł Quizzard.

– Doskonale – rzekł Reich. – Teraz słuchajcie. Pierwsze zadanie. Potrzebna mi dziewczyna. Nazywa się Barbara D’Courtney.

– A, to morderstwo... – Quizzard pochylił ciężki łeb. – Tak myślałem.

– Ma pan jakieś wątpliwości?

Quizzard przerzucił złoto z ręki do ręki i potrząsnął głową.

– Chcę mieć tę dziewczynę. Wczoraj w nocy prysnęła z Beaumont House i nikt nie wie, gdzie się podziała. Muszę ją dostać, Quizzard, zanim dorwie ją poliga.

Quizzard skinął głową.

– Wiek: około dwudziestu pięciu lat. Wzrost: nieco ponad sto sześćdziesiąt cztery centymetry. Waga: mniej więcej pięćdziesiąt pięć kilogramów. Dobrze zbudowana. Wąska w talii, długie nogi i tak dalej...

Na tłustych wargach Keno wykwitł tęskny uśmiezek. Zza powiek błysnęło bielmo.

– Lniane włosy. Ciemne oczy. Owalna twarz. Pełne usta i lekko orli nos. Twarz, której się nie zapomina. Spojrzysz na nią – i czujesz się, jakby poraził cię prąd.

– A ubranie?

– Ostatnim razem, kiedy ją widziałem, miała na sobie coś w rodzaju jedwabnej nocnej koszuli. Śnieżnobiałej i przejrzystej... niczym zamrażnięte okno. Była bez butów i bez pończoch. Kapelusza też nie miała. Żadnej biżuterii. Miałem wrażenie, że oszalała... na tyle przynajmniej, by wyskoczyć na ulicę i gdzieś przepaść. Jest mi potrzebna. – Coś zmusiło go, by dodał: – Nie wolno jej krzywdzić. Czy to jasne?

– Taki towar mamy dostarczyć nietknięty? Panie Reich, niechże pan będzie człowiekiem.

– Quizzard obliznął swe tłuste wargi. – Nie da rady. Zresztą ktoś już mógł ten skarb uszkodzić.

– Sto kawałków ekstra. Jeśli się pospieszycie, może zdążycie przed innymi.

– Pewnie będę musiał przekopać całe miasto?

– To niech pan tak zrobi, Ślepy Tygrysie. Proszę sprawdzić wszystkie burdele, domy

schadzek... i tak dalej. Przekażcie to siecią. Zapłacę za wszelkie informacje, tylko nie róbcie zbytniego hałasu. Potrzebna mi wyłącznie dziewczyna. Jasne?

Quizzard skinął głową, nadal bawiąc się dźwięczącym złotem.

– Rozumiem.

Nieoczekiwanie Reich sięgnął ponad stołem i trzasnął kantem dłoni po tłustych łapach Quizzarda. Suwereny brzęknęły po raz ostatni i rozprysnęły się we wszystkie kąty pokoju.

– Tylko nie próbujcie prowadzić podwójnej gry – warknął Reich głosem, w którym pobrzmiwała śmierć. – Ta dziewczyna jest mi bardzo potrzebna.

8

Nastąpiło siedem dni potyczek i utarczek.

Cały tydzień działań i przeciwdziałań, ataków i obrony, podczas których walkę toczono na powierzchni, a w głębi, pod wzburzonymi wodami, krążyli i czaili się Powell i Tate, niczym dwa wielkie rekiny, czyhające aż rozgorzeje prawdziwa bitwa.

Szeregowy policjant z patrolu postawił na atak z zaskoczenia. Zaczaił się na Marie Beaumont podczas przerwy w spektaklu i ku zgrozie jej przyjaciół nagle wybuchnął oskarżycielskim rykiem:

– Umówiliście się! Była pani w zмовie z mordercą! To pani wystawiła D’Courtneya! Dlatego urządziliście tę zabawę w SARDYNKI! No, proszę odpowiedzieć!

Pozłacana Mumia kwiknęła i rzuciła się do ucieczki. Przyglup pognał za nią, ani podejrzewając, że podczas pościgu został wnikliwie odczytany.

Tate do Reicha: – Glina mówił prawdę. W jego wydziale wierzą, iż Marie należała do spisku.

Reich do Tate’a: – No i dobrze. Rzucimy ją wilkom na pożarcie. Zostawmy ją glinom.

W rezultacie Marie Beaumont pozostawiono samej sobie. Ze wszystkich możliwych miejsc na schronienie wybrała giełdę – gmach Loan Brokerage – kamień węgielny fortuny Beaumontów. Tam po trzech godzinach odnalazł ją nieubłagany posterunkowy i zawiódł na bezlitosne przesłuchanie, które odbyło się w biurze espera-szefa GWM (Grupy Wyjaśniania Motywów). Policjant nie zdawał sobie sprawy z tego, iż podczas przesłuchania Marie szef porozumiewał się ze stojącym tuż za ścianą biura Powellem.

Powell do pomocników: – Grę w SARDYNKI znalazła w jakiejś starej książce, otrzymanej w prezencie od Reicha. Prawdopodobnie Reich nabył ją w „Century”. Oni tam mają takie rzeczy. Przekażcie w teren, niech sprawdzą, czy prosił specjalnie o tę książkę? Sprawdźcie także Grahama, rzeczoznawcę. Jak to jest możliwe, że jedynym i nietkniętym fragmentem został opis zabawy w SARDYNKI? Staruch powinien znać odpowiedź na to pytanie. I gdzie ta dziewczyna?

Policjant z drogówki, ubrany po cywilnemu, był zwolennikiem metod pośrednich i stał przed swoją Wielką Szansą. Zjawiwszy się w salonie antykwarycznym „Century”, zaczął z daleka i okrężnie:

– Poszukuję starych książek, dotyczących gier i zabaw. Takich jak ta, o którą w zeszłym tygodniu pytał mój przyjaciel, Ben Reich.

Tate do Reicha: – Zwiad telepatyczny wykazał, że interesuje ich książka, którą posłał pan Marie.

Reich do Tate’a: – Z tamtej strony jestem kryty. Musimy skupić się na dziewczynie.

Szef sprzedaży i pozostali pracownicy tak długo i z taką cierpliwością odpowiadali na inkwizytorskie pytania Przygłupa, że prawie wszyscy pozostali klienci wkurzyli się i opuścili salon. Jeden tylko nadal stał spokojnie w kącie i zaszuchany w jakieś kryształkowe nagranie, sprawiał wrażenie, jakby nie spostrzegł się wcale, że zostawiono go samemu sobie. Nikt nie wiedział o tym, iż słuch muzyczny Jacksona Becka potrafił mu tylko zasygnalizować, czy grają coś, czy nie.

Powell do swych pomocników: – Wszystko wskazuje na to, iż Reich natknął się na tę książkę dzięki przypadkowi. Trafił na nią, gdy szukał odpowiedniego prezentu dla Marie. Powiadomcie o tym pozostałych. Co z dziewczyną?

Podczas narady w agencji, która miała prowadzić kampanię reklamową Skoczka Monarch (Jedyna Na Rynku Rakieta Dla Całej Rodziny), Reich wystąpił z nowym pomysłem programu promocji.

– Zwróćcie państwo uwagę na to – powiedział – że ludzie skłonni są do antropomorfizacji przedmiotów, którymi posługują się na co dzień. Przydają im ludzkie cechy. Obdarzają je pieszczotliwymi imionami i traktują jak zwierzęta domowe. Klient chętniej kupi skoczka, jeśli ten potrafi wzbudzić w nim uczucie. Zapomni wówczas o mocy silnika i prędkości. Nabywca chce kochać swój pojazd.

– Trafił pan w sedno, panie Reich! Trafił pan w sedno!

– Uczłowieczmy zatem naszą rakieta – ciągnął dalej Reich. – Ogłosimy konkurs na Dziewczynę Skoczka. Gdy klient go kupi, poczuje się tak, jakby nabył także i dziewczynę. Jadąc będzie miał wrażenie, że towarzyszy mu ona w podróży.

– Bingo! – krzyknął księgowy. – Mister Reich, pański pomysł to rewelacja na skalę Systemu Słonecznego, czujemy się nim przytłoczeni! Kręci nam się w głowach, poraziło nas po prostu.

– Natychmiast startujcie z kampanią, której celem będzie znalezienie Dziewczyny Skoczka. Zagońcie do niej każdego sprzedawcę. Niech przekopią całe miasto. Osobiście wyobrażam ją sobie tak: mniej więcej dwadzieścia pięć lat, waga około pięćdziesięciu pięciu kilogramów. Doskonale zbudowana. Mnóstwo uroku.

– Uwzględnimy, mister Reich. Obowiązkowo!

– Niech będzie blondynką o ciemnych oczach. Pełne, zmysłowe usta. Klasyczny nos. Tak właśnie wyobrażam sobie Dziewczynę Skoczka. Przemyślcie to, spróbujcie na podstawie tego opisu wykonać portrety i roześlijcie swoim ludziom. Na tego, który trafi najlepiej i odnajdzie dziewczynę najbliższą nakreślonego przeze mnie wizerunkowi, czeka awans.

Tate do Reicha: – Podczytuję policjantów. Wysyłają kogoś do pańskiej firmy. Ten ktoś ma zbadać pańskie powiązania z Grahamem, tym ekspertem od staroci.

Reich do Tate'a: – A niech tam. Niczego nie wyniuchają, bo i nie ma nic do wyniuchania, Graham zresztą wyjechał z miasta na połów eksponatów. Ja miałbym mieć coś wspólnego z Grahamem! Powell nie zidiociał chyba jeszcze na tyle, aby tak myśleć. A może oceniłem go zbyt pochlebnie?

Przebrany po cywilnemu plutonowy, w przypływie służbowego natchnienia zapomniawszy o kosztach, uciekł się do chirurgii plastycznej. Nie tracąc czasu zafundował sobie nową twarz o nieco mongolskich rysach i podjął pracę w księgowości firmy Monarch Utilities, gdzie spodziewał się odnaleźć nić łączącą Reicha z rzeczoznawcą staroci, Grahamem. Nie domyślił się nawet, iż jego zamiar został odczytany przez esper-szefa kadr firmy, który zameldował o tym wyżej, gdzie tylko się uśmiechnięto.

Powell do swego sztabu: – Jeden z naszych Przygłupów usiłuje znaleźć w księgach finansowych firmy ślady, świadczące o przekupstwie. Obniży to w znacznym stopniu opinię

Reicha o naszej przebiegłości, i o tyleż zwiększy nasze szanse na przyłapanie go. Przekażcie pytanie do sieci: co z dziewczyną?

Na posiedzeniu redakcyjnym w THE HOUR, jedynej na Ziemi gazecie wychodzącej co godzinę (dwadzieścia cztery numery na dobę), Reich oznajmił o nowej filantropijnej inicjatywie społecznej firmy Monarch.

– Projekt startuje pod nazwą „PRZYTUŁEK” – powiedział Reich. – Milionom rozbitków życiowych w naszym mieście ofiarujemy pomoc, schronienie i przyjazną dłoń. Ci, których pozbawiono mieszkania, padli ofiarą oszustwa, zostali bankrutami lub ograbiono ich siłą czy podstępem... ci, którzy dla jakichkolwiek powodów są przerażeni i nie wiedzą dokąd się udać... niech przyjdą do „PRZYTUŁKU”.

– Początek robi duże wrażenie – orzekł naczelny. – Cała akcja będzie jednak diabelnie kosztowna. Po co to panu?

– Reklama i poprawienie *image'u* firmy – uciął Reich. – Chcę, by to wszystko znalazło się już w następnym numerze. Natychmiast zabierajcie się do roboty!

Wyszedł z pomieszczeń redakcyjnych, zjechał na ulicę i odszukał najbliższą budkę foniczną. Wybrał numer działu rekreacji i nie zdradzając się z niczym, przekazał instrukcje Ellery'emu Westowi.

– Chcę, by w każdym biurze „PRZYTUŁKU” na terenie całego miasta znalazł się nasz człowiek. Żądam, by niezwłocznie przekazywano mi dokładny rysopis i fotografię każdego, kto przychodzi z prośbą o pomoc. Podkreślam, Ellery, natychmiast. Gdy tylko przekroczą próg biura.

– Ben, nie będę panu zadawał pytań, chciałbym jednak pana odczytać.

– Żywimy jakieś podejrzenia? – prychnął Reich.

– Skądże. Jestem tylko ciekaw...

– Niechże pan uważa, ciekawość niejednego zgubiła. Gdy Reich opuszczał budkę foniczną, z nieco przesadnym pośpiechem rzucił się ku niemu jakiś facet.

– Och, panie Reich, jakie to szczęście, że na pana wpadłem. Przed chwilą usłyszałem o projekcie „PRZYTUŁEK” i pomyślałem sobie, że wywiad z autorem tej pięknej i przepojonej miłosierdziem idei byłby znakomitym studium ludzkiej dobroci i...

Wpadł na niego przypadkiem, dobre sobie! Ten nieco dziwaczny typ był jednym z bardziej znanych reporterów INDUSTRIAL CRITIC i prawdopodobnie zjechał za nim z góry.

Raz i dwa, i trzy, i cztery...

– Żadnych komentarzy – wymamrotał Reich...*Lubi wezyr bajadery...*

– Jakież to epizod z dzieciństwa rozbudził w pańskim sercu palącą potrzebę odpowiedzi na.....*trzy i cztery, pięć i sześć...*

– Czy kiedykolwiek w pańskim życiu zdarzyła się taka chwila, w której nie miał pan dokąd pójść? Czy kiedykolwiek obawiał się pan śmierci w wyniku morderstwa? Czy kiedykolwiek...

...lubi wezyr dobrze zjeść!

Reich dał nura do publicznego skoczka i uciekł.

Tate do Reicha: – Gliny naprawdę zabrały się za Grahama. Pracuje nad nim całe to ich Lazedo. Nie mam pojęcia, co Powellowi strzeliło do głowy, ale najwyraźniej idzie on błędnym tropem. Wydaje mi się, że wzrasta margines naszego bezpieczeństwa.

Reich do Tate'a: – Niech się pan nie łudzi. Nie stanie się tak, dopóki nie odnajdę tej dziewczyny.

Marcus Graham nie zostawił żadnego adresu kontaktowego, w jego ślady trzeba więc było wysłać z pół tuzina niepraktycznych robotów śledczych, dostarczonych przez chłopców z pionu technicznego. Każdemu z robotów towarzyszył jego wiecznie błędzący w chmurach wynalazca i całe to towarzystwo rozpełzło się po najrozmaitszych częściach Systemu Solarnego. Marcus tymczasem pojawił się na Ganimedzie, gdzie błyskawicznie, dzięki pomocy wnikacza-licytatora przydybał go Powell. Sprzedawane na tamtejszej aukcji książki wchodziły w skład Kolekcji Drake'ów, która po matce przypadła Reichowi i dość niespodziewanie, a ku uciesze zbieraczy, wystawiona została na sprzedaż.

Powell dopadł i starannie przepytał Grahama w foyer sali aukcyjnej. Znajdowała się ona obok kryształowego kosmoportu, wznoszącego się pośród ganimedańskiej tundry pod czarnym niebem, na którym dominował pasiasty, czerwono-brązowy masyw Jowisza. Następnie Lincoln ruszył ku Ziemi, a podczas dwutygodniowej podróży uroda stewardes zmusiła Niegodziwego Abe'a do zaprezentowania się z jak najlepszej strony. Do swej kwatery głównej Powell wrócił nieco sfatygowany, czego nie omieszkali zauważyć mrugający ku sobie sprośnie Trzy, Cztery i Bęc.

Powell do swego sztabu: – Chybiony strzał. Nie mam pojęcia, po kiego grzyba Reich wysłał tego rzeczoznawcę na Ganimeda.

Beck do Powella: – Czy wyjaśniło się coś w związku z książką?

Powell do Becka: – Reich po prostu ją kupił, dał do wyceny i przesłał Marie. Książka była fatalnie zniszczona i jedyną grą, której opis był kompletny, okazały się SARDYNKI. Oczywiście, Staruchowi to nie wystarczy. Wiem dobrze, jak pracują jego obwody logiczne. Niech to gęś kopnie! Gdzie podziewa się ta dziewczyna?

Trzej przebrani za cywilów wywiadowcy próbowali kolejno podejść Duffy Wyg&, ale zostali przez nią bezlitośnie wykpieni i jak niepyszni z powrotem wskoczyli w swoje mundury. W końcu sprawę wziął w swe ręce Powell i spotkał się z dziewczyną na Balu Czterech Tysięcy. Miss Wyg& złożyła zeznania ochoczo, acz nie bez pewnej przyjemnej rekompensaty.

Powell do współpracowników: – Rozmawiałem z Ellery’em Western i potwierdza on to, czego dowiedzieliśmy się od panny Wyg&. West istotnie skarżył się Reichowi na karciarzy i ten postanowił kupić psychopiosenkę, by położyć kres hazardowi wśród pracowników swej firmy. Wygląda na to, iż podłapał tę blokadę myślową zupełnie przypadkowo. Czy wyjaśniono już, jaka sztuczka pozwoliła Reichowi unieszkodliwić ochroniarzy? I gdzie jest dziewczyna!

Odpowiadając na ostrą krytykę i drwiny prasy, komisarz Crabbe zwołał konferencję i wyjawiał na niej, iż w laboratoriach Komendy Policji opracowano nową technikę śledczą, dzięki której sprawa D’Courtneya znajdzie swój finał w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Technika owa polegać miała na analizie rodopsyny w siatkówce oczu ofiary, co pozwalało uzyskać fotografię mordercy. Policja zagoniła do roboty wszystkich naukowców zajmujących się rodopsyną.

Reich, któremu wcale nie uśmiechała się perspektywa przesłuchania przez policję Wilsona Jordana, twórcy jonizatora rodopsynowego firmy Monarch, zadzwonił do Keno Quizzarda i poprosił o pomoc w wyprawieniu Jordana poza planetę. Aby to osiągnąć, wymyślił dla naukowca przynętę.

– Mam pewną posiadłość na Kallisto – oznajmił Reich Quizzardowi. – Zrzeknę się praw do niej i urządzę wszystko tak, że przypadnie ona Jordanowi.

– A ja mam go o tym powiadomić? – zapytał zgryźliwie Quizzard.

– Nie, Keno, nie możemy działać aż tak otwarcie. Nie wolno nam pozostawić żadnych śladów wiodących w naszą stronę. Zrobmy tak: proszę – udając pośrednika, który chce zarobić na transakcji – anonimowo zadzwonić do Jordana. Resztę pozostawmy Jordanowi.

Wynikiem tej narady była rozmowa foniczna, podczas której anonimowy agent o niemiłym głosie usiłował za niewielką sumę nabyć od Jordana jego część posiadłości Drake'ów na Kallisto. Wszystko to wzbudziło ciekawość doktora Jordana, który nigdy w życiu nie słyszał o posiadłości Drake'ów. Natychmiast więc zadzwonił do swego prawnika. Ku swojemu bezgranicznemu zdumieniu dowiedział się, iż został właśnie spadkobiercą majątku, szacowanego na pół miliona kredytek. Po upływie godziny oszołomiony fizjolog był już w drodze na Kallisto.

Powell do swego sztabu: – Jednego ptaszka już wyciągnęliśmy na otwartą przestrzeń. Jordan powinien doprowadzić nas do rozwiązania zagadki rodopsyny. Jest jedynym zajmującym się budową narządów wzroku fizjologiem, który przepadł gdzieś po rewelacjach Crabbe'a. Przekażcie wiadomość Beckowi; niech podąży za nim na Jowisza i niech to wyjaśni. Co z dziewczyną?

Równocześnie cicho, spokojnie i owocnie rozwijała się druga część gry w Przygłupa i Cwaniaka. Podczas gdy Reich świetnie się bawił obserwując pełną wrzasku ucieczkę Marie Beaumont, z wydziału radców prawnych firmy Monarch zρέcznie wyjęto i przewieziono na Marsa młodego prawnika, którego przetrzymano tam bez rozgłosu, przedstawiając mu zarzuty nieco wprawdzie przedawnione, ale posiadające nadal moc prawną. Obowiązki służbowe prawnika przejął na siebie młody człowiek, bliźniaczo do niego podobny.

Tate do Reicha: – Niech pan sprawdzi naszych jurystów. Nie mogę połapać się w czym rzecz, ale coś tam brzydko pachnie. Niebezpieczeństwo.

Reich za pośrednictwem espera pierwszej klasy, specja od efektywności zarządzania, przeprowadził pozoracyjny przegląd kadr i odkrył podmianę. Natychmiast do akcji wkroczył Keno Quizzard. Niewidomy krupier wyszukał człowieka, który złożył skargę na młodego adwokata, zarzucając mu wykorzystywanie stanowiska służbowego dla celów prywatnych. Obiecująca kariera w firmie skończyła się szybko, bezboleśnie i zgodnie z prawem.

Powell do pomocników: – Do diabła! Znowu nas wyrolowano. Reich zatrzaskuje przed nami wszystkie drzwi, ale trudno – gramy nadal. Dowiedźcie się, kto zbiera dla niego informacje. I znajdźcie wreszcie tę dziewczynę!

Podczas gdy plutonowy obnosił po Monarch Tower swą nowiutką, jak spod igły, mongolską twarz, jeden z naukowców firmy, który niedawno doznał paskudnych obrażeń podczas wybuchu w laboratorium, opuścił szpital o tydzień wcześniej i zameldował się w pracy. Facet miał obandażowaną gębę, ale zgłaszał gotowość do wykonywania obowiązków. Był to kolejny przejaw starego ducha ożywiającego pracowników firmy.

Tate do Reicha: – W końcu się połąpałem. Powell nie jest głupcem. Prowadzi śledztwo dwutorowo. Niech pan nie zwraca uwagi na tych agentów, których widać na milę. Proszę się rozglądać za tymi, którzy nie rzucają się w oczy. Wywęszyłem coś, co ma związek ze szpitalem. Trzeba byłoby to sprawdzić.

Reich oczywiście postąpił zgodnie z radą i ponownie odwołał się do usług Keno Quizzarda. Natychmiast nastąpiło włamanie do laboratorium firmy, gdzie prowadzono badania nad platyną: w sumie straty wyniosły pięćdziesiąt tysięcy kredytów, zniszczono też całkowicie wydział prac tajnych. Gorliwy naukowiec został zdemaskowany, oskarżony o współudział we włamaniu i wydany policji.

Powell do swego zespołu: – W praktyce oznacza to, iż nigdy nie dowiedzimy, że Reich zabrał rodopsynę ze swego laboratorium. Jak, u licha, rozszyfrował naszą grę? Czyżbyśmy mieli ponieść klęskę na obu frontach? Gdzie jest ta dziewczyna?

Podczas gdy Reich pysznie się bawił, obserwując niezdarny pościg robotów za Marcusem Grahamem, sztab jego najbliższych współpracowników witał kontynentalnego inspektora podatkowego, espera-2, który był uprzejmy złożyć od dawna zapowiadaną wizytę księgom rachunkowym firmy. Jednym z nowych nabytków zespołu inspektora była telepatka, pisząca za niego raporty. Była bardzo biegła w swej pracy, którą... wykonywała jednocześnie dla komendy policji.

Tate do Reicha: – Żywię niejakię podejrzenia co do składu zespołu kontrolerów. Lepiej niech pan nie ryzykuje.

Reich, uśmiechając się złośliwie, przekazał do sprawdzenia ogromną kupę papierów. Zaraz potem wysłał szefa Wydziału Szyfrów, Hassopa, na dawno obiecany urlop do Spacelandu. Wraz ze swym normalnym sprzętem fotograficznym zgodził się on zabrać maleńką rolkę wywołanego mikrofilmu. Na taśmie tej znajdowała się cała dokumentacja firmy, zamknięta w termitowej obudowie, gotowej do samozniszczenia w razie próby nieumiejętnego wyjmowania zawartości. Druga i jedyna kopia leżała zamknięta w „nieprzemakalnym” sejfie Reicha.

Powell do współpracowników: – No i proszę, koniec zabawy. Ale tak czy owak, poślijcie za Hassopem Cwaniaka i Przygłupa. Prawdopodobnie uwiózł ze sobą jakiś istotny dowód, dlatego też Reich tak go chroni. Powiem wam, że to kłapa totalna. Staruch prawdopodobnie powie to samo. Zresztą nie trzeba wam tego mówić, sami wiecie. Na miłość boską! Jakie piekło, psiakrew, pochłonęło tę dziewczynę?

Świat podziemia i świat wnikaczy oplatały społeczeństwo niczym krwiobieg na anatomicznej planszy, na której żyły i tętnice oznaczono czerwonymi i niebieskimi liniami. Z kwatery głównej Ligi przekazano instrukcje wykładowcom i studentom, ich przyjaciółom i przyjaciółom przyjaciół, wszyscy zaś razem wypytywali przypadkowych znajomych i obcych, z którymi mieli do czynienia na co dzień. W kasynie Quizzarda krupierzy indagowali graczy, konfidentów policyjnych, wszelkiej maści opryszków, doliniarzy, dziwki i alfonsów, żigolaków i całą brać, kryjącą się w cieniu prawa i żyjącą... niemal ucziwie.

W piątek rano Fred Deal, esper-3, obudził się, wstał, umył, zjadł śniadanie i udał do pracy. Zajmował stanowisko szefa ochrony piętra w Mars Exchange Bank na Maiden Lane. Zatrzymując się, by kupić bilet na pneumatyk, przez chwilę wymieniał myśli z dziewczyną z biura informacji (również esper-3), która przekazała mu wieści o poszukiwaniu Barbary D’Courtney. Fred zapamiętał sobie osobę ze zdjęcia, które wyświetliła mu dziewczyna. W jego pamięci obraz ten otaczały wizerunki banknotów.

Tego samego dnia, też rano, Snima Asję obudziły głośne wrzaski właścicielki domu, Choki Frood, która domagała się natychmiastowej zapłaty czynszu.

– Na miłość boską, Choka – wymamrotał Snim. – Mało ci forsy, którą zarabiasz na tej szumniętej żółtówłosej dziewczynie z dołu? Wasz szemrany interesik w piwnicy to kopalnia czystego złota. Odczep się ode mnie!

Choka Froot natychmiast zaczęła mu udowadniać, iż po pierwsze, jasnowłosa dziewczyna nie jest wariatką, ale prawdziwym medium; po drugie ona (Choka Froot) nie prowadzi żadnych szemranych interesów, przeciwnie, jest zarejestrowaną i przestrzegającą prawa wróżką; po trzecie wreszcie jeśli on (Snim) nie zapłaci dziś za mieszkanie i żarcie, z których korzystał w ciągu ostatnich sześciu tygodni, ona (Choka) nie będzie miała najmniejszych trudności z przepowiedzeniem jego (Snima) przyszłości. Po prostu wyleci on na zbity pysk na ulicę.

Snim podniósł się z pościeli i tak jak stał, ruszył w miasto, by zdobyć choć parę kredytek. Było jeszcze za wcześnie, żeby iść do kasyna Quizzarda i podjąć próbę wyżebrania kilku żetonów u któregoś z fartownych graczy. Spróbował wcisnąć się na gapę do pneumatyku, jednak przepędził go esper-konduktor i dalej musiał iść pieszo, choć do lombardu Churcha pozostał jeszcze kawał drogi. Snim zastawił tam złote, ozdobione perełkami pianino kieszonkowe i miał teraz nadzieję, że uda mu się wyłudzić dodatkowo choć suwerena.

Nie zastał jednak Churcha, a sprzedawca sam nie mógł podjąć decyzji. Aby zabić czas, pogawędzili o tym i owym. Snim zaczął użalać się przed sprzedawcą na Chokę Froot – wredna suka sama kąpie się w złocie, od kiedy otworzyła ten swój dęty wróżebny interesik, ale z niego drze forszę jak łyko. Gruboskórny sprzedawca nie zmiękł nawet na tyle, by postawić Snimowi kawę. W końcu Snim zmył się z lombardu.

Gdy wkrótce potem wrócił Church, który zmęczył się nieco biegając po mieście w gorączkowych poszukiwaniach Barbary D’Courtney i postanowił tu odsapnąć, sprzedawca opowiedział mu o wizycie Snima i zrelacjonował przebieg pogawędki z pechowcem. Church z łatwością wyczytał to, czego sprzedawca mu nie przekazał. Bliski omdlenia ze szczęścia podreptał do fonu i zadzwonił do Reicha. Ponieważ nie zastał go w domu, odetchnął głęboko i wybrał numer Keno Quizzarda.

Snim w tym czasie zaczął już wpadać w panikę. Z tej właśnie paniki zrodziła się jego desperacka decyzja, by podjąć próbę oskubania frajera w jakimś banku. Poniosło go na Maiden Lane. Tam ujrzał miły dla oka szereg banków przy Bomb Inlet. Snim był człowiekiem o niezbyt skomplikowanej psychice, w dodatku pech prześladował go nadal. Jako pole działania wybrał Mars Exchange Bank. Skusił go skromny i nieco prowincjonalny wygląd budynku. Nigdy nie podejrzewał, że instytucje naprawdę potężne i wpływowe mogą sobie pozwolić na luksus zapuszczonego wyglądu.

Wszedł więc do banku i przeciskając się przez zatłoczony parter dotarł do szeregu biur, ustawionych naprzeciwko kabin kasjerów. Tamże świsnął plik blankietów i pisak. Gdy wychodził z banku, Fred Deal obrzucił go tylko jednym spojrzeniem i skinął na swoich ludzi.

– Widzicie tę małą gnidę? – wskazał na znikającego właśnie w drzwiach wyjściowych Snima. – Szykuje się do skoku z „przeliczeniem”.

– Bierzemy go?

– Po jaką cholere? Nie wyjdzie mu u nas, spróbuje gdzie indziej. Weźmiemy go, gdy odbierze pieniądze, będziemy mieli dowód i pójdzie siedzieć. Niech sobie odpocznie. W Kingston jest sporo pustych cel.

Snim, który nie miał pojęcia o zastawionej już pułapce, zaczął się u wejścia do banku i pilnie obserwował kasy. Oto jakiś solidnie wyglądający mieszczuch podejmował gotówkę przy kasie Z. Kasjer wręczał mu właśnie grube pliki banknotów. Rybka dojrzała do podrywki. Snim pospiesznie zdjął marynarkę, zawiązał rękawy i założył pisak za ucho.

Gdy klient licząc pieniądze opuszczał bank, Snim niepostrzeżenie przemknął za plecami jelenia i trącił go w ramię.

– Proszę wybaczyć, sir – przemówił z tupetem. – Pracuję w kasie Z. Obawiam się, że zaszła pomyłka i źle policzono pieniądze. Czy nie zechciałby pan wrócić, żebyśmy mogli przeliczyć je jeszcze raz? – Machnąwszy plikiem blankietów, zręcznie wyjął pieniądze z rąk ofiary i zawrócił do wejścia. – Tędy, sir – zaprosił uprzejmie. – Dostanie pan całą setkę więcej.

Gdy zdumiony mieszczuch ruszył potulnie za nim, Snim udając ogromnie zajętego przemknął w głąb sali i skierował się do drugiego wyjścia. Niewiele brakowało, a zniknąłby, zanim klient zdążyłby się zorientować, że został orznięty. I właśnie w tej chwili na karku Snima zamknęła się potężna łapa. Został błyskawicznie odwrócony do tyłu, po to tylko, aby stanąć twarzą w twarz ze strażnikiem bankowym. W jednej chwili przez mózg Snima przeleciały myśli o walce, ucieczce, wręczeniu strażnikowi łapówki, zamajaczyła wizja celi w szpitalu Kingston; wspomniał też Chokę Froot i jej Inianowłosą niesamowitą pomocnicę, swoje kieszonkowe pianino i jego poprzedniego właściciela. Potem oklapnął i wybuchnął płaczem.

Dyżurny esper popchnął go ku drugiemu mundurowemu i zawołał:

– Przytrzymajcie go, chłopaki! Zdaje się, że właśnie zarobiłem na maselko do chlebka.

– Fred, czyżby za tego gnojka była nagroda?

– Za niego nie. Ale za to, co ma we łbie – i owszem. Muszę zadzwonić do Ligi.

I oto prawie w tej samej chwili, w piątkowe popołudnie, do Bena Reicha i Lincolna Powella dotarła jednakowo brzmiąca informacja:

DZIEWCZYNE, KTÓREJ WYGLĄD ZGADZA SIĘ Z RYSOPISEM POSZUKIWANEJ BARBARY D'COURTNEY, MOŻNA ZNALEŹĆ U WRÓŻBIARKI CHOKI FROOD, 99 BASTION WEST SIDE.

9

Bastion West Side, słynną ostatnią redutę obrońców Nowego Jorku, swego czasu postanowiono zachować jako miejsce pamięci. Jego dziesięć akrów rozdartej wybuchami ziemi miało na zawsze przypominać ludziom o szaleństwie, które wywołało ostatnią wojnę. Ale ostatnia wojna, jak zwykle, okazała się wojną przedostatnią i stopniowo wśród potrzaskanych budynków i przepastnych jarów ulic West Side pojawili się mieszkańcy, którzy przekształcili je w niesamowite slumsy.

Pod numerem 99 była wypatroszona niegdyś eksplozją fabryka ceramiczna. Podczas wojny seria pocisków, które wybuchły pośród stert ceramicznych pojemników wypełnionych chemikaliami, stopiła je wszystkie i utworzyła coś w rodzaju księżycowego krateru o tęczowych barwach. Na kamiennych ścianach zastygły wielkie rozbryzgi żółtych, jaskrawoczerwonych, fioletowych, wściekle zielonych i burych kleksów. Wyrzucone przez okna i odrzwia strumienie purpury, szkarłatu i sepii niczym maźnięcia gigantycznego pędzla splamiły okoliczne ulice i ruiny. W ten sposób powstał Tęczowy Dom Choki Frood.

Wyższe piętra połatano jakoś i podzielono na pokoje, przekształcając je w przypominający królikarnię labirynt tak skomplikowany, że tylko Choka potrafiła się w nim połapać, a i ona sama niekiedy traciła tam orientację. Poszukiwanie kogokolwiek w tym domu było sprawą całkowicie beznadziejną, ponieważ uciekinier mógł bez wysiłku przemykać się z pomieszczenia do pomieszczenia, dopóki prześladowcy nie zwątpili w sens swych działań. Ten niezwykle kompleks co roku przysparzał właścicielce sporych dochodów.

Niższe piętra Choka przeznaczyła na osławiony Dziedziniec Cudów, gdzie za odpowiednią opłatą kwalifikowane specjalistki i specjaliści zaspokajali wszystkie potrzeby gnanych tu żądzą amatorów najróżniejszych wrażeń; niekiedy na użytek szczególnie znudzonych gości na poczekaniu wymyślano całkiem nowe zboczenia. Ale najbardziej dochodowy interes Choka Frood prowadziła w podziemiach.

Eksplozje, które zamieniły budynek w tęczowy krater, stopiły także w całej fabryce emalię, szkło, metal i ceramikę, a zespolona w jeden strumień masa spłynęła z pięter do najniżej położonych piwnic, gdzie zastygła w lśniąca posadzkę o twardości kryształu, fosforyzującą i wydającą pod uderzeniami kroków dziwne dźwięki.

Wycieczka do Bastionu West Side była niebezpieczna, ale warta ryzyka. Aż do samego

pasma ochry, które wskazywało wejście do Tęczowego Domu, trzeba było przemykać się labiryntem krętych uliczek. U drzwi witał gościa odziany w dwudziestowieczną liberię osobnik, który zadawał pytanie: – Przyszłość czy przyjemność, sir? Jeśli otrzymał odpowiedź „przyszłość”, wiódł go ku nobliwie wyglądającym drzwiom, gdzie od klienta pobierano kosmicznie wysoką opłatę i wręczano mu fosforyzowaną świecę. Trzymając ją w podniesionej ręce, ciekawy własnej przyszłości schodził w dół po stromych schodach. Nisko w dole skręcały one ostro i nagle wprowadzały do rozległej, łukowo sklepionej piwnicy, której dno wypełniało jezioro śpiewającego ognia.

Gość wstępował na powierzchnię tego jeziora, by stwierdzić, że jest gładka i szklista. Nieustanna gra świateł pod taflą przypominała zorzę polarną. Każdy z kroków budził w szkle krystalicznie czyste dźwięki, splatające się w harmonijne tony spizowych dzwonek. Nawet jeśli klient stawał w bezruchu, posadzka śpiewała nadal, odpowiadając na wibracje odległych ulic.

Na kamiennych ławach pod ścianami siedzieli już inni goście, każdy ze świecą w dłoni. Gdy tak czekali, milczący i przestraszeni, przybysz spoglądał na nich i nagle docierało do niego, iż każdy z nich, oświetlony aurą posadzki, wyglądał niczym święty, każdemu też ruchowi ich ciał towarzyszyła nieziemska muzyka. Świece zaś przypominały gwiazdy podczas mroźnej nocy.

Przybysz pogrążał się więc w drżącej, napiętej ciszy i siedział w milczeniu, dopóki nie rozległ się wysoki, powtarzający się ton uderzeń w srebrny dzwonek. Cała posadzka natychmiast odpowiadała rezonansem, a niespotykane połączenie dźwięków i świateł sprawiało, że rozpętywała się niezwykła feeria lśnienia i blasków. I oto, otulona kaskadami płomiennej muzyki, wkraczała do piwnicy Choka Froid i przechodziła ku środkowi pomieszczenia.

W tym też momencie diabli biorą złudzenia – powiedział do siebie Lincoln Powell. Patrzył właśnie na wypraną z myśli twarz Choki: płaski nos, oczy bez wyrazu i niekształtne usta. Lśnienia zorzy polarnej, które migotliwym płaszczem otaczały jej twarz i całą figurę, ciasno owiniętą w jakąś chlamidę, nie mogły ukryć tego, że starucha, przy całej swej nieprzeciętnej pomysłowości, ambicji i chciwości, nie miała w sobie za grosz wyczucia ni wrażliwości.

– Być może, jest choćby przeciętną aktorką – z nadzieją w głosie mruknął do siebie Powell.

Choka zatrzymała się pośrodku posadzki, gdzie niczym wulgarna Meduza z rynsztoka uniosła ręce w geście, który miał naśladować płynne ruchy kapłanów.

– I owszem – ocenił Powell.

– Przybyłam do was – zaintonowała Choka ochryplym głosem – aby pomóc wam zajrzeć w głąb waszych serc. Zajrzyjcie do swoich serc, gdzie... – Choka zawahała się na krótko, po chwili jednak gładko ciągnęła dalej: – ...gdzie jeden z was pożąda zemsty na człowieku z Marsa o nazwisku Zerlen... drugi pragnie miłości czerwonoookiej kobiety z Callisto... inny pragnie uszczknąć grosz z konta swego starego wuja z Paryża... inny jeszcze...

– *A niech mnie kule biją! Ta baba jest wnikaczką!* Choka zeszywniała nagle. Jej dolna szczęka opadła.

Choka Froot, odbiera mnie pani, nieprawdaż? Telepatyczna odpowiedź nadeszła w postaci sygnałów chaotycznych i nieukierunkowanych. Powell pojął i to, że wrodzonych zdolności Choki Froot nigdy nie ćwiczone.

– *Co?... Kto?... Który z... was?*

Ostrożnie, jakby porozumiewał się z dzieckiem-trzeciakiem, Powell przekazał wolno i wyraźnie:

– *Nazwisko: Lincoln Powell. Zawód: prefekt policji. Powód przybycia: przesłuchanie dziewczyny o nazwisku Barbara D'Courtney. Słyszałem, że bierze udział w pani spektaklach.* – W tym momencie Powell przesłał wróżbiarce wizerunek dziewczyny.

Chooka w żalośnie niefachowy sposób usiłowała założyć blok myślowy.

– *Precz stąd! Wynoś się! Precz... wynocha... a kysz!*

– *Dlaczego nie zgłosiła się pani do Ligi? Dlaczego nie obraca się pani wśród swoich?*

– *Paszoł won! Wynoś się, wnikaczu... Precz!*

– *Pani także jest wnikaczem. Dlaczego nie pozwoliła pani, byśmy ją wyszkolili? Cóż to za życie dla osoby o pani zdolnościach? Szamaństwo... Czyta pani myśli naiwnych klientów i udaje, że przepowiada los. Choka, u nas znajdzie pani zajęcie godne siebie.*

– *I zarobię prawdziwą forszę?*

Powell zdusił w sobie narastającą falę desperacji. Nie winił o to Choki. Obudził się w nim gniew na bezmyślną i ślepią ewolucję, która obdarzała ludzi potężnymi mocami, nie uwalniając ich jednocześnie od przywar, przeszkadzających pełnemu wykorzystaniu tych umiejętności.

– *Choka, porozmawiamy o tym później. Gdzie dziewczyna?*

– *Nigdzie. Nie ma tu żadnej dziewczyny.*

– *Choka, niechże pani nie udaje idiotki. Odczytajmy sobie razem pani klientów. Ten stary*

cap ma bzika na punkcie czerwonoookiej damy... – Powell wniknął w głąb jaźni łagodnie i fachowo. – Bywał tu i wcześniej. Oczekuje na pojawienie się Barbary D’Courtney. Ubiera ją pani w suknię z cekinami. Sprowadzi ją tu pani za pół godziny. Ten staruch lubi na nią patrzeć. W rytm muzyki dziewczyna wykonuje jakiś numer taneczny. Jej suknia rozsuwa się podczas tańca, a staremu to się podoba. Ona...

– Staruch jest stuknięty! Ja nigdy...

– Teraz zajmijmy się damą, której facet nazwiskiem Zerlen zrobił takie świństwo... Ona dość często widywała tę dziewczynę. Wierzy jej. I teraz na nią czeka. Choka, gdzie jest ta dziewczyna?

– Nie ma jej tu!

A, no tak. Na górze. Gdzie mianowicie? Choka, niech pani nie próbuje mnie zwiść. Sięgnę po prostu głębiej. Nie jest pani w stanie przeciwstawić się doświadczonemu pierwszakowi... O właśnie... Czwarte piętro i za zakrętem wlewo... Tam na górze ma pani prawdziwy labirynt. Jeszcze raz, ot, dla pewności... Nagle Choka, bezsilna i upokorzona, wrzasnęła:

– Wynoś się stąd, przeklęty glino. Idź do diabła!

– Proszę mi wybaczyć, łaskawa pani – powiedział Powell. – Znikam w tej chwili.

Podniósł się i wyszedł.

Cała ta telepatyczna rozmowa trwała jedną sekundę, tę właśnie sekundę, której potrzebował Reich, by schodząc do Tęczowej Piwnicy Choki Froot, przestawić stopę z osiemnastego na dwudziesty stopień schodów. Usłyszał wrzask Choki i odpowiedź Powella. Zawrócił na pięcie i skoczył pod górę.

Przemykając obok odźwiernego, wsunął mu w dłoń suwerena i syknął:

– Nie było mnie tu, kapujesz?

– Nikogo tu nie było, panie Reich.

Szybko zatoczył krąg na poziomie Dziedzińca Cudów. *Raz i dwa, i trzy, i cztery... Lubi wezyr bajadery... Nie zwracając uwagi na dziewczyny, które w najróżniejszy sposób usiłowały zainteresować go swymi wdziękami, odszukał budkę foniczną, zamknął się w niej i wybrał numer BD-12,232. Na ekranie ukazała się zaniepokojona twarz Churcha.*

– O co chodzi, Ben?

– Mamy kłopoty. Jest tu Powell.

– O Boże!

– Gdzie u diabła, podziewa się Quizzard?

– A tam go nie ma?

– Nie mogę go odnaleźć.

– Miał być w piwnicy. On...

– W piwnicy jest Powell, który właśnie odczytał Chokę. Idę o zakład, że Quizzarda tam nie było. Gdzie go diabli noszą?

– Nie mam pojęcia, Ben. Wyszedł z żoną i...

– Jerry, proszę posłuchać. Powell z pewnością dowiedział się już, gdzie jest dziewczyna. Jeśli się postaram, mogę go wyprzedzić, nie więcej jednak niż o pięć minut. Liczyłem na pomoc Quizzarda. Ale nigdzie go nie ma – ani w piwnicy, ani w rejonie dziedzińca.

– Musi być gdzieś na górze, w Mateczkach.

– Ja też doszedłem do takiego wniosku. Przy okazji, czy jest jakiś skrót na górę, z którego mogę skorzystać, by zdążyć przed Powellem?

– Jeśli Powell odczytał Chokę, dowiedział się i o skrócie.

– Wiem, psiakrew. Ale może na to nie wpadł. Może skoncentrował się tylko na dziewczynie. Muszę podjąć to ryzyko.

– Proszę więc posłuchać. Za głównymi schodami znajdzie pan marmurową płaskorzeźbę. Niech pan przekręci głowę kobiety w prawo. Rzeźby rozsuną się i odsłonią drzwi do pneumatycznej windy.

– Świetnie.

Reich rozłączył się, wyszedł z budki i pospieszył ku głównym schodom. Okrążył podest, odnalazł płaskorzeźbę, energicznie przekręcił w prawo głowę kobiety i popatrzył na rozsuwające się postacie. W głębi ukazały się metalowe drzwi z płytką, w której osadzono rząd przycisków. Reich nacisnął położony najwyżej, szarpnięciem otworzył drzwi i wkroczył do otwartego szybu. W tejże samej chwili podeszwa jego buta brzęknęła na metalowej, pozornie stworzonej w ułamku sekundy płycie, i Reich, z towarzyszeniem syku powietrza, frunął o osiem pięter w górę, na najwyższy poziom. Gdy otwierał drzwi i wychodził z windy, płytę przytrzymały uchwyty magnetyczne.

Trafił do korytarza, który prowadził w lewo, pod kątem trzydziestu może stopni w górę.

Podłoga była wyłożona brezentem. Pod sufitem co parę metrów lśniły migotliwie małe sfery, wypełnione radonem. Na drzwiach, widniejących w bocznych ścianach, nie zaznaczono żadnych numerów.

– Quizzard! – ryknął Reich. Żadnej odpowiedzi.

– Keno Quizzard! Znowu cisza.

Reich pobiegł korytarzem w górę i, mniej więcej w jego połowie, na chybił trafił spróbował otworzyć jakieś drzwi. Odnalazł za nimi niewielki pokój, prawie całkowicie wypełniony przez ogromne, owalne łóżko hydropatyczne. Potknął się o jego brzeg i runął jak długi. Jakoś udało mu się przepełznąć przez pienisty materac, dotrzeć do drzwi po drugiej stronie łóża, otworzyć je jednym pchnięciem i przeturlać się za próg. Trafił na podest schodów, wiodących w dół, ku małemu kolistemu holowi, w którego ścianach znajdowało się wiele drzwi.

– Quizzard! – zawołał jeszcze raz – Keno Quizzard!

Usłyszał dobiegającą zza którychś drzwi stłumioną odpowiedź. Odwrócił się na pięcie, podbiegł i otworzył je jednym szarpnięciem. Tuż za drzwiami wpadł na stojącą tam kobietę o czerwonych oczach. Kobieta ni z tego, ni z owego wybuchnęła nagle śmiechem i podniósłszy zwinięte w pięści dłonie, oburącz rąbnęła Reicha w twarz. Na wpół oślepiony i zaskoczony, Reich odskoczył poza zasięg ramion krzepkiej niewiasty, wyciągnął rękę ku kłamce, chybił i gdy wydostał się wreszcie z tego pokoju, okazało się, że nie trafił ponownie do kolistego holu. Jego stopy ugrzęzły w trzycalowej grubości tkaninie ze sztucznego włókna. Szarpnął się w tył i runął na wznak; padając zatrzasnął za sobą drzwi i tak łupnął głową o brzeg piecyka z porcelitu, że niemal stracił przytomność.

Gdy odzyskał zdolność normalnego widzenia, odkrył, iż patrzy wprost w oblicze wścieklej Choki Froot.

– Co, u licha, robi pan w moim pokoju! – wrzasnęła Choka.

Reich poderwał się na nogi.

– Gdzie dziewczyna? – spytał.

– Reich, idź pan do diabła!

– Pytałem, gdzie ona jest? Gdzie jest Barbara D’Courtney? No, gdzie?

Choka odwróciła głowę i wrzasnęła: – Magda!

Do pokoju weszła czerwonoooka. W dłoni trzymała dezintegrator neuronów. Nadal chichotała, ale broń wymierzona w głowę Reicha nawet nie drgnęła.

– Wynoś się pan! – powtórzyła Choka.

– Choka, ta dziewczyna jest mi potrzebna. Chcę ją mieć, zanim dorwie ją Powell. Gdzie ją znajdę?

– Magda, wywal go stąd! – wrzasnęła w odpowiedzi Choka.

Kantem dłoni Reich ciął walkirię przez oczy. Runęła do tyłu, wypuściła broń z ręki i odpełzła w kąt, nie przestając histerycznie chichotać. Reich przestał zwracać na nią uwagę, podniósł dezintegrator i wcisnął wylot jego lufy w skroń Choki.

– Gdzie ta dziewczyna?

– Idź do cholery, ty...

Reich nacisnął spust do pierwszego oporu. W nerwowy system Choki Froot uderzyło promieniowanie indukcyjne o niskim natężeniu. Kobieta zeszywniała nagle i zaczęła się trząść. Na jej skórze szybko pojawiły się kropelki potu, nadal jednak potrząsała głową odmawiając informacji. Reich wcisnął spust do drugiego oporu. Teraz ciałem staruchy szarpnęły konwulsje wyłamujące niemal kości ze stawów. Oczy Choki prawie wyskoczyły z orbit, a gardło wypełnił nie kontrolowany charkot dręczzonego zwierzęcia.

Reich pozwolił jej chłonąć ból przez pięć sekund, po czym wyłączył broń.

– Trzeci opór oznacza śmierć – warknął. – Duże Ś.

I nie zawaham się, Choka. Jeśli nie dostanę dziewczyny, tak czy inaczej czeka mnie Przeróbka. Gdzie ona jest?

Choka była niemal sparaliżowana.

– Czwarty pokój... na lewo. Za zakrętem – wycharzczała.

Reich puścił swą ofiarę. Przebiegłszy przez sypialnię, wypadł na spiralnie skręcone schody. Pokonał je kilkoma susami, skręcił ostro, policzył drzwi i zatrzymał się przed czwartymi z lewej. Przez chwilę nasłuchiwał. Żadnych dźwięków. Otworzył jednym pchnięciem ramienia i wpadł do środka. Wewnątrz znalazł puste łóżko, małą gotownię, pustą komodę i jedno krzesło.

– Piekło i szatani! Okpiono mnie! – ryknął. Podszedł do łóżka. Wydawało się, iż nikt go nie używał. Podobnie rzecz miała się z komodą. Już miał wyjść z pokoju, kiedy coś go tknęło i pociągnął ku sobie środkową szufladę.

Leżała w niej srebrzysta, niczym szron, nocna koszula i splamiony czerwienią stalowy

przedmiot, wyglądający jak złowieszczy kwiat. Było to narzędzie zbrodni.

– Boże mój! – sapnął Reich. – O mój Boże!

Chwyił broń i obejrzał ją pospiesznie. W magazynku nadal tkwiły jeszcze ślepe naboje. Ten, którym rozwalil czerep D'Courtneya, pozostał pod spuszczoneym kurkiem.

– O, do Przeróbki jeszcze daleko – mruknął do siebie Reich. – Cholernie daleko. Na rany Chrystusa, nie dostaną mnie. – Złożył broń i wsunął ją do kieszeni. I w tej samej chwili usłyszał odległy dźwięk... okrutny, złośliwy chichot.

Śmiech Keno Quizzarda.

Skoczył szybko ku spiralnym schodom i wiedziony tym śmiechem skierował się do obitych pluszem drzwi, które na wpół uchylone chygotały się jeszcze na osadzonych głęboko w ścianie brązowych zawiasach. Ściskając w dłoni gotowy do strzału i nastawiony na „Ś” dezintegrator, Reich przekroczył próg. Rozległ się syk sprężonego powietrza i drzwi zamknęły się za jego plecami.

Znalazł się w niewielkim, okrągłym pokoju, którego ściany i sufit wyłożono czarnym jak noc aksamitem. Posadzka jednak była przejrzysta i przez jej gładź widać było położony niżej buduar. Choka wykorzystywała to pomieszczenie, by podglądać gości Dziedzińca Cudów.

Reich zobaczył w dole Quizzarda, który rozsiadł się wygodnie w głębokim krześle i łyskając swymi oczyma ślepcą, trzymał na kolanach Barbarę D'Courtney. Dziewczyna miała na sobie dziwaczną, ozdobioną cekinami suknię z głębokimi rozcięciami. Siedziała spokojnie, nie poruszając nawet gładko uczesaną głową patrzyła przed siebie, podczas gdy Keno bezceremonialnie zabierał się do amorów.

– Jaką ma minę? – Reich usłyszał zupełnie wyraźnie zadane kwaśnym tonem pytanie krupiera. – Co odczuwa?

Pytanie to skierowane było do mizernie wyglądającej, drobnej kobiety, która oparłszy się plecami o ścianę, stała naprzeciwko ślepcy po drugiej stronie buduaru. Na jej twarzy malował się wyraz skrajnej udręki. Kobieta owa była żoną Quizzarda.

– No? Jaką ma minę? – po raz drugi spytał ślepiec.

– Nie wie, co się dzieje – odpowiedziała kobieta.

– Ależ wie! – ryknął radośnie Keno. – Aż tak dalece jej nie odbiło. Nie mów mi, że ona nie wie, co się dzieje. Jezu! Gdybym tylko miał oczy!

– To ja jestem twoimi oczami, Keno – odezwała się kobieta.

– No to patrz! I mów mi wszystko!

Reich zaklął i wymierzył dezintegrator w głowę Quizzarda. Mógł zabić nawet przez szklaną podłogę. Dezintegrator zabijał niezależnie od rodzaju przeszkody dzielącej broń od celu. Życie Quizzarda zawisło na włosku. W tym momencie do pokoiku wszedł Powell.

Pierwsza spostrzegła go kobieta. Jej wrzask: – Uciekaj, Keno! Uciekaj! – mógł mniej odpornym ściąć krew w żyłach. Oderwawszy się od ściany, skoczyła na Powella, wyciągając zgięte w szpony palce ku oczom detektywa. Nieoczekiwanie potknęła się i runęła jak długa. Upadek najwyraźniej pozbawił ją przytomności, bo legła bez ruchu. Gdy jednak obok żony runął Keno, który uparcie trzymając dziewczynę w ramionach nie bez trudu podniósł się z krzesła i usiłował uciec z dzikim błyskiem w ślepiach, Reich doszedł do wniosku, że zasłabnięcie obojga małżonków nie było dziełem przypadku. Dziewczyna wymknęła się z bezwładnych łap ślepcy i opadła na krzesło.

Nie ulegało wątpliwości, że Powell zastosował jakąś sztuczkę znaną tylko esperom... Po raz pierwszy od momentu wypowiedzenia wojny Reich poczuł strach, namacalny wprost strach przed Powellem. Ponownie wymierzył dezintegrator, tym razem w głowę podchodzącego właśnie ku krzesłu wnikacza.

– Dobry wieczór, miss D’Courtney – mówił tymczasem Powell.

– Żegnam pana, panie detektywie – mruknął Reich, usiłując utrzymać głowę Powella na skrzyżowaniu kresek celownika rewolweru, ujętego w roztrzęsione dłonie.

– Czy pani dobrze się czuje, miss D’Courtney? – spytał prefekt. Gdy dziewczyna nie odpowiedziała, pochylił się i spojrzał w jej nie wyrażającą żadnych uczuć, spokojną twarz. Dotknął jej ramienia i powtórzył: – Miss D’Courtney, czy pani nic nie jest? Miss D’Courtney! Nie trzeba pani pomocy!?

Usłyszawszy to ostatnie słowo, dziewczyna raptownie usiadła prosto i zamarła w bezruchu, jakby czegoś nasłuchiwała. Potem zerwała się na równe nogi. Przebiegła obok Powella, zatrzymała się nagle i wykonała dłonią ruch sięgania po klamkę. Nacisnąwszy wyimaginowaną klamkę, pchnęła nie istniejące drzwi i z dzikim błyskiem w oczach, z rozwianą lniącą grzywą wybiegła za istniejący tylko w jej wyobraźni próg... Patrzącym przez moment mignęła tylko jej niczym nie osłonięta uroda.

– Ojcie! – krzyczała dziewczyna. – Ojcie! Na miłość boską!

Ruszyła przed siebie, zatrzymała się i cofnęła, jakby unikając czyjegoś chwytu. Skoczyła w lewo i z dzikim krzykiem, utkwivszy oczy w jednym punkcie, pobięła półkulię po pokoju.

– Nie! – krzyknęła ponownie, – Nie! Na Boga, ojcie! Znów ruszyła przed siebie, zatrzymała się i zaczęła szarpać, walcząc jakby z niewidzialnym przeciwnikiem. Wrywała się i krzyczała, jej oczy nadal skierowane były w ten sam co poprzednio punkt. Nagle dziewczyna sprężyła się i obiema dłońmi zakryła uszy, pragnąc jakby odgrodzić się od jakiegoś okropnego dźwięku. Opadła na kolana i zaczęła czołgać się po podłodze, jęcząc przy tym z bólu. Następnie zatrzymała się, chwyciła coś, co – w jej wizji – leżało na podłodze i znieruchomiła na klęczkach z twarzą znów martwą, niczym spokojna twarz manekina.

Reich z przeraźliwą jasnością pojął to, co się stało. Dziewczyna odtworzyła scenę śmierci jej ojca. Odtworzyła ją przed Powellem. A jeśli ten ją przejrzał...

Powell podszedł do dziewczyny i podniósł ją z podłogi. Wstała, a w ruchu tym był wdzięk tancerki i obojętność lunatyczki. Telepata objął ją jedną ręką i powiódł ku drzwiom. Reich trzymał go przez cały czas na muszce, wybierając najlepszy kąt strzału. Był dla nich niewidzialny. Ci, którzy mu zagrozili, nie podejrzewali niczego i znajdowali się pod nim – łatwy cel dla śmiertelnego ładunku. Jeden strzał mógł zapewnić mu zwycięstwo. Powell otworzył drzwi, niespodziewanie odwrócił się razem z dziewczyną, przytuliwszy ją do siebie, i spojrzał w górę.

– No, dalej! – zawołał. – Stoimy. Łatwy strzał. Jeden dla obojga. Dalejże! – Jego pociągłą twarz skaził wyraz gniewu. Gęste, krzaczaste brwi zjeżyły się niemal nad ciemnymi oczyma detektywa. Przez pół minuty stał nieruchomo w postawie pełnej nienawiści i wyzwania, wpatrując się w niewidzialnego wroga. I to Reich pierwszy opuścił wzrok i odwrócił twarz od człowieka, który nie mógł go widzieć.

Wreszcie Powell poruszył się i wyprowadził nadal posłuszną dziewczynę za drzwi, Reich zaś pojął, iż bezpowrotnie wypuścił z rąk szansę zapewnienia sobie bezpieczeństwa. Znalazł się tym samym w połowie drogi ku Przeróbce.

Proszę sobie wyobrazić zepsuty aparat fotograficzny z tkwiącą w nim kliszą. Jest na niej zarejestrowane ujęcie, przy dokonywaniu którego uszkodzono przyrząd. Proszę pomyśleć o kawałku kryształu pamięciowego, tak nieodwracalnie zmiażdżonym, iż może odtwarzać jedynie ten sam fragment muzyczny, jedyną przerażającą frazę, której nie sposób zapomnieć.

– Popadła w stan natręctwa wspomnień – wyjaśniał Powellowi i Mary Noyes doktor Jeems z Kingston Hospital, gdy siedzieli we trójkę w salonie domku Powella. – Reaguje tylko na kluczowe słowo „pomoc” i odtwarza jedno przerażające wydarzenie...

– Śmierć ojca – rzekł Powell.

– Czyżby? A, rozumiem. Poza tym znajduje się w stanie katatonii.

– Czy nie da się jej z tego wyciągnąć? – spytała Mary Noyes.

Młody doktor spojrział na nią ze zdziwieniem i pewną urazą. Choć nie posiadał daru ESP, w Kingston Hospital należał do gwiazd pierwszej wielkości i był oddany swej pracy niemal fanatycznie.

– W naszych czasach i przy takim rozwoju nauk? Miss Noyes, nie ma dziś stanu, z którego nie dałoby się wyciągnąć pagenta – oprócz oczywiście samej śmierci – a i nad tym prowadzi się badania. Rozpatrując bowiem symptomy śmierci, dochodzimy do wniosku...

– Doktorze, może innym razem – przerwał Powell. – Nie mamy dziś głowy do wykładów. Najważniejsze jest dla nas pewne zadanie, przed którym stoimy. Czy można wykorzystać tę dziewczynę?

– Jak mam to rozumieć?

– Chcę odczytać jej pamięć.

Jeems rozważył tę propozycję.

– Nie widzę przeszkód. Leczę ją z katatonii metodą *deja eprouve*. To nie powinno sprawić panu kłopotów.

– Metoda *deja eprouve*? – spytała Maria.

– Wspaniałe nowe narzędzie. – Jeems zaczął zdradzać oznaki entuzjazmu. – Wszystko jest dziełem Gar-ta... jednego z waszych telepatów. Pacjent popada w katatonię. To nic innego jak ucieczka od rzeczywistości. Świadomość chorego nie jest w stanie znieść konfliktu pomiędzy światem zewnętrznym a tym, co wpisano w jego podświadomość. Pacjent wolałby nigdy się nie

urodzić. Usiłuje wrócić do stanu embrionalnego. Pojmuje pani?

– Jak dotąd owszem, tak – skinęła głową Mary.

– To świetnie. *Deja eprouve* to stary termin psychiatryczny, wymyślili go lekarze jeszcze w dziewiętnastym wieku. Oznacza dosłownie „coś, co już się przeżyło, coś, czego doświadczamy powtórnie”. Wielu chorych pragnie czegoś z taką siłą, iż w końcu istotnie zaczynają sobie wyobrażać, że dokonali albo uczestniczyli w dokonaniu tego, czego pragnęli. Rozumie pani?

– Chwileczkę – niezbyt pewnym głosem odezwała się Maria. – Chce pan powiedzieć, że ja...

– Proszę sobie na przykład wyobrazić – przerwał jej żwawo Jeems – że opanowuje panią... paląca potrzeba wyjścia za mąż za pana Powella i urodzenia mu dzieci. Nie uraziłem pani?

Mary zapłonęła rumieńcem.

– Nie – powiedziała nieco napiętym głosem. W tej samej chwili Powell zwalczał w sobie nieodparte pragnienie, by posłać do wszystkich diabłów tego przepelnionego dobrymi chęciami młodego doktora.

– Tak więc – kontynuował pogrążony w błogiej nieświadomości popełnionego nietaktu Jeems – gdyby pani równowaga psychiczna uległa zachwianiu, mogłaby pani zacząć wyobrażać sobie, iż wyszła za mąż za pana Powella i urodziła mu troje dzieci. To właśnie byłoby *deja eprouve*. Wszystko, czego musimy dokonać, to stworzyć sztuczne *deja eprouve* – na użytek pacjentki. Pomożemy, na przykład, umysłowi tej dziewczyny uciec przed rzeczywistością w katatonię. Upragnione stanie się prawdziwym przeżyciem. Oddzielimy jej świadomość od podświadomości, cofniemy do stanu embrionalnego i stworzymy warunki, które pomogą jej uważać się za noworodka otwierającego się ku nowemu życiu. Rozumie pani?

– I owszem – w miarę jak wracała jej zdolność samokontroli, Mary zdobyła się nawet na uśmiech.

– Co zaś do świadomości... pacjent powtórnie, choć w przyspieszonym tempie, przechodzi przez wszystkie fazy rozwoju. Przeżywa niemowlęstwo, dzieciństwo, młodość i wreszcie wchodzi w wiek dojrzały.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że Barbara D’Courtney przekształci się w niemowlę... które trzeba nauczyć mowy... i chodzenia?

– Tak. Cały ten proces zajmie około trzech tygodni.

Do czasu, kiedy jej świadomość dojrzeje do wieku ciała, ona sama dojdzie ze sobą do ładu na tyle, iż potrafi uporać się z rzeczywistością, której teraz woli unikać. Dorośnie do niej, mówiąc obrazowo. Tak jak powiedziałem, wszystko to odbędzie się na poziomie świadomości. Głębsze pokłady jej jaźni pozostaną nietknięte. Może więc pan czytać ją do woli. Jedynym problemem jest to, że musiała zostać potężnie przestraszona. I wszystko jej się pomieszało. Będzie pan miał kłopoty z wydobyciem z niej tego, co panu potrzebne. Ale, oczywiście, to już pańska specjalność. Powinien pan wiedzieć, czego się podejmuje.

Jeems nagle wstał.

– Muszę wracać do swych zajęć – powiedział. – Rad jestem, że mogłem panu pomóc. Zawsze miło mi jest spełniać prośby esperów. Zupełnie nie pojmuję przyczyn ostatniego wzrostu niechęci do was. – I z tymi słowami wyszedł.

– *Uhm... to się nazywa wyjście z brawkiem.*

– *Link, co on miał na myśli?*

– *Nasz wpływowy przyjaciel, Ben Reich... to on nakręca te skierowane przeciwko esperom nastroje. No wiesz, chodzi o te wszystkie brednie... wnikacze popierają się nawzajem... nie można im ufać... obcy jest im patriotyzm... są osiłą intryg, międzyplanetarnych spisków... pożerają niemowlęta ludzi normalnych...*

– *Brrr... W dodatku on popiera Związek Patriotów. To odrażający i niebezpieczny człowiek.*

– *Niebezpieczny... i owszem, ale nie odrażający, Mary. Trudno oprzeć się jego urokowi i to czyni go podwójnie groźnym. Ludzie zawsze uważają, iż łajdak powinien mieć również łajdacki wygląd. No cóż, może zdołamy powstrzymać Reicha, zanim będzie za późno. Przyrowadź tu Barbarę.*

Mary sprowadziła Barbarę po schodach i usadowiła na niewysokim podwyższeniu. Barbara siadła i znieruchomiła jak posąg. Mary przebrała ją w błękitny dres, błękitną wstążką upięła jej lniane włosy w koński ogon. Lśniącą czystością Barbara przypominała woskową lalkę.

– *Piękna zewnątrz, ale w środku... Diabli niech porwą Reicha!*

– *Co z nim?*

– *Mówiłem już. Tam, w „królikarni”, byłem tak wściekły, że z całego serca poczęstowałem tę rudą świnię Quizzarda i jego żonę... a kiedy wyczułem, że na górze czai się Reich, rzuciłem mu wyzwanie. Ja...*

– Coś ty zrobił Quizzardowi?

Rąbnąłem go GNAT-em. Gruntowny Neuronowy Atak Teleszokiem. Zajrzyj kiedyś do laboratorium, pokażemy ci, jak to działa w praktyce. Nowinka. Kiedy zostaniesz specjalistą pierwszego stopnia, nauczę cię. Razi podobnie jak dezintegrator, ale uderza tylko w psychikę.

– Czy tym sposobem można zabić?

– Zapomniałaś o Ślubowaniu Espera? Oczywiście, że nie!

– I poprzez podłogę wyczuliś obecność Reicha? Jak tego dokonałeś?

– Odbicia telepatyczne. Aby lepiej odbierać dźwięki, nie ekranowano górnego pomieszczenia, służącego podglądaniu gości, a w ścianach porobiono kanały, przewodzące głosy. Reich nie wziął tego pod uwagę. Niczego się nie domyślając, emitował tymi kanalikami swe telepatemy i przysięgam ci, Mary, że miałem nadzieję, iż starczy mu determinacji, by strzelić. Poczestowałbym go GNAT-em i z traskiem wszedłbym do historii kryminalistyki.

– A dlaczego nie strzelił?

– Nie wiem, Mary. Nie wiem. Uważał, że ma wystarczająco wiele powodów, by zabić mnie i Barbarę. Sądził, iż jemu samemu nic nie grozi... Nie wiedział o tym, że mam w rezerwie GNAT-a, choć wyłączenie z gry... państwa Quizzardów mocno go zdumiało. Ale nie mógł zdobyć się na strzał.

– Bał się?

– Reich nie jest tchórzem. Nie bał się. Po prostu nie mógł zdobyć się na strzał. Nie mam pojęcia dlaczego. Być może, następnym razem sprawa przyjmie inny obrót. Dlatego zatrzymałem Barbarę u siebie. Tu będzie bezpieczna.

– To samo można powiedzieć o Kingston Hospital.

– Owszem, ale tam nie ma warunków do pracy, która mnie czeka.

-???

– Gdzieś w głębi jej chorej jaźni zamknięta jest szczegółowa wizja sceny morderstwa. Muszę ją z niej wydobyć, jeśli będzie trzeba, choćby kawałek po kawałku... I gdy już to zrobię, będę miał Reicha.

Mary wstała.

– I z tymi słowy Mary Noyes opuszcza scenę.

– Siadaj! I ty nazywasz siebie telepatką! Jak myślisz, po co cię wezwałem? Zamieszkaś tu i dotrzymasz dziewczynie towarzystwa. Nie można zostawić jej samej. We dwie zajmiecie

sypialnię. Ja sam jakoś pomieszczę się w gabinecie.

– Link, poczekaj, nie tak szybko... Jesteś zakłopotany. Zobaczmy, czy potrafię zapuścić żurawia za ten twój blok wnikacza pierwszego stopnia.

– Mary, posłuchaj...

– No nie, mister Powell! – Mary wybuchnęła śmiechem. – A więc to tak? Chcesz, bym odgrywała rolę przyzwoitki? To słowo z epoki wiktoriańskiej, nieprawdaż? Taki więc jesteś... Link. Sympatyczny zacołaniec.

– Potwarz! Wśród złotej młodzieży i playboyów słynę jako jeden z najbardziej rozwiązłych...

– A tam, głębiej, co to takiego? No proszę, oto rycerz Okrągłego Stołu... sir Galahad Powell. I jeszcze coś... Czekajże... – Nagle przestała się śmiać i zbladła.

– Czegoś się dogrzebała?

– Lepiej nie pytaj.

– Mary, daj spokój...

– Link, powtarzam, nie pytaj. I nie próbuj tego ze mnie wyciągnąć, Jeśli sam się nie zorientowałeś, lepiej żebyś nie dowiadywał się o tym z drugiej ręki... szczególnie ode mnie.

Powell przez chwilę spoglądał na Mary podejrzliwie, w końcu wzruszył ramionami.

– Niech i tak będzie. Zajmijmy się pracą.

Zwrócił się do Barbary D’Courtney: – Pomoc.

Dziewczyna natychmiast wyprostowała się na podwyższeniu, on zaś zaczął ostrożnie badać jej odczucia... dotyk pościeli... nawołujący, niewyraźny głos... – Czyj głos... Z głębin podświadomości dobiegło go jej pytanie: – Kto mówi? – Przyjaciel. – Kogoś takiego nie ma. Jestem sama. Samiuteńka. – I tak też było, gdy pędziła korytarzem, by otworzyć drzwi i wpadając do apartamentu dla nowożeńców zobaczyć... – Cóż takiego zobaczyłaś, Barbaro? – Mężczyznę. Dwu mężczyzn. – Kim byli? – Proszę mnie zostawić. Proszę odejść. Nie chcę słyszeć głosów. Ktoś krzyczy. Przerażliwie głośno krzyczy mi wprost do ucha. – I sama wybuchnęła krzykiem, gdy zrodzona ze strachu reakcja kazała jej uchylić się i umknąć tej mrocznej sylwetce, która starała się odciągnąć ją od ojca. Skręciła więc w bok... Barbaro, co robi twój ojciec? – Ależ ciebie tu nie ma. Jesteśmy tu we trójkę, ja ojciec i... – I ta mroczna figura ją dopadła. Mignęła jej twarz nieznanego... Mgnienie oka, nie dłużej. – Barbaro, proszę, spójrz jeszcze raz. Gładko zaczesane włosy. Duże oczy. Pięknie rzeźbiony, orli nos. Wąskie, ładnie

wykrojone usta. Zaciśnięte. Czy to ten? Spójrz na jego wizerunek. Czy to ten mężczyzna? – Tak. Tak. Tak. – I nastąpiła cisza i mrok.

Dziewczyna znów klęczała, spokojna i obojętna na wszystko niczym lalka.

Powell otarł pot z twarzy i odprowadził Barbarę ku podwyższeniu. Był wstrząśnięty... bardziej niż Barbara D’Courtney. U dziewczyny emocje zostały zamortyzowane przez histerię. On nie mógł odwołać się do tego sposobu. Przeżył jej przerażenie, panikę i ból niczym nie chroniony.

– To był Ben Reich. Mary, czy ty też to odebrałaś?

– Nie mogłam wytrzymać zbyt długo. Musiałam się wycofać, by chronić swą psychikę.

– W porządku, to Reich. Pozostaje pytanie, jak, u licha, zabił jej ojca. Co było narzędziem zbrodni? Dlaczego stary D’Courtney nie podjął prób obrony? Muszę spróbować jeszcze raz. Nienawidzę tego, co muszę jej zrobić...

– Nienawidzę tego, co robisz sobie samemu.

– Nie mam wyjścia – nabrał tchu w piersi. – Barbara, pomoc.

Dziewczyna na podium ponownie zastygła, tak jakby czegoś nasłuchiwała. Powell szybko wśliznął się do jej jaźni. – *Moja droga, spokojnie. Nie spiesz się. Mamy mnóstwo czasu.* – To znów ty? – *Pamiętasz mnie, Barbaro?* – Nie, nie, nie znam cię. Wynoś się. – *Barbaro, przecież jestem częścią ciebie samej. Razem biegniemy korytarzykiem. Widzisz? Razem otwieramy drzwi. Razem jest o wiele łatwiej. Pomagamy sobie nawzajem.* – *My?* – *Ależ tak, Barbaro. Ty i ja.* – To dlaczego mi nie pomagasz... teraz? – *Jak mam ci pomóc?* – Spójrz na ojca! Pomóż mi powstrzymać tamtego! Powstrzymaj go! Powstrzymaj! Pomóż mi wołać o pomoc! Pomóż mi! Na miłość boską, pomóż mi!

I znów miał przed sobą spokojny, martwy manekin.

Powell poczuł pod ramieniem czyjaś dłoń i zorientował się, że przecież wcale nie miał klęczeć. Powoli zniknęło rozciągnięte przed nim na podłodze ciało, zniknęła Orchideowy Apartament i poczuł, że Mary Noyes usiłuje podnieść go na nogi.

– Tym razem padłeś pierwszy – powiedziała ponurym głosem.

Potrząsając głową, spróbował pomóc Barbarze D’Courtney. I upadł na podłogę.

– No już, sir Galahadzie. Ochłoń trochę.

Mary podniosła dziewczynę i odprowadziła ku podwyższeniu. Potem wróciła do Powella.

– Teraz mogę zająć się tobą. Jak sądzisz, zachowuję się jak mężczyzna?

– Użyłbym raczej określenia „mężnie”. Nie trać czasu na pomoc dla mnie, muszę zebrać myśli, nie siły. Mamy problem.

– Czego się dogrzebałeś?

– D‘Courtney chciał, żeby go zabito.

– Nie!

– I owszem. Chciał umrzeć. O ile dobrze zrozumiałem, mogło być i tak, że popełnił samobójstwo, a Reich był tylko obserwatorem. Wspomnienia Barbary są straszliwie zagmatwane. Trzeba to wyjaśnić ponad wszelką wątpliwość. Muszę zobaczyć się z lekarzem D‘Courtneya.

– To znaczy z Samem @kinsem. Razem z Sally w ubiegłym tygodniu powrócili na Wenus.

– To i ja będę musiał się tam przelecieć. Może zdążę na raketę o dziesiątej? Zadzwoń do portu Idlevild.

Sam @kins, doktor nauk medycznych i esper klasy pierwszej, pobierał tysiąc kredytów za godzinną analizę. Wszyscy wiedzieli, że Sam zarabia dwa miliony rocznie, ludzie nie domyślali się jednak, iż tenże Sam haruje jak wół lecząc za darmo pacjentów, których nie stać było na zapłatę honorarium. @kins był też jednym z najbardziej zagorzałych zwolenników długofalowego planu edukacyjnego Ligi i przywódcą Frakcji Środowiskowej. Jej członkowie hołdowali pogładowi, że zdolności telepatyczne nie są zjawiskiem wyjątkowym, lecz drzemią ukryte w każdym żywym organizmie, a dzięki odpowiedniemu treningowi mogą zostać obudzone i rozwinięte.

W rezultacie dom Sama, leżący na jałowej pustyni nie opodal Wenusburga, zapełniali najrozmaitsi nieudacznicy. Gospodarz domu zapraszał do siebie wszystkich, którzy popadli w tarapaty czy biedę i zajmował się ich problemami, sam zaś w tym czasie usiłował wykrzesać ze swoich pacjentów iskrę telepatii. Rozumowanie Sama biegło torem dość prostym. Jeśli, powiedzmy, telepatia była kwestią wytrenowania nie używanych mięśni, mogło być i tak, że większość ludzi leniła się po prostu lub nie miała po temu okazji. Gdy jednak człowiek zostanie przyparty do muru przez jakiś kryzys, nie może sobie pozwolić na lenistwo. Sam musiał więc zadbać o okazję i trening. Jak do tej pory, rezultatem jego działalności było odkrycie około dwu procent ukrytych esperów, co – biorąc pod uwagę fakt, iż przeciętna ujawnień w poczekalni Esper Ligi okazywała się wyższa – nie należało do szczególnych osiągnięć. Sam jednak nie tracił wiary w sens swych poczynań.

Powell odnalazł go szalejącego w skalnym ogródku obok jego pustynnego domu, gdzie pod pozorem pielęgnacji zaciekle niszczył wszelkie piaskowe rośliny. Równocześnie z tą hekatombą @kins prowadził symultaniczną konwersację z tuzinem przygnębionych osobników, którzy podążali za nim jak stadko szczeniąt. Jak zawsze na Wenus, zachmurzone niebo emitowało rozproszone światło. Łysinę Sama rozjaśniał różowawy blask. Niedzielny ogrodnik wściekle pokrzykiwał i na pacjentów, i na rośliny.

– Niech to licho! Nie mówcie mi, że to światłotrawa. To chwast. Uważacie, że nie potrafiłbym rozpoznać chwastu? Bernardzie, niech mi pan poda, z łaski swojej, grabie.

Niewysoki facecik w czerni podał mu narzędzie i rzekł: – Panie doktorze, mam na imię Walter.

– Nic na to nie poradzę – warknął @kins wydzierając z ziemi kłąb sprężystej czerwieni. Kłąb w napadzie hysterii zmieniał kolory i popiskiwał z oburzeniem, udowadniając, iż nie jest ani chwastem, ani światłotrawą, ale tworem wprawiającym w zakłopotanie wszystkich przyrodników – wenusjańskim puchowierzbem. @kins łytał gniewnie okiem, przyglądając się, jak z płaczliwym dźwiękiem pękają pęcherze powietrzne stworu. Potem spopielił małego człowieka spojrzeniem.

– Bernardzie, ucieka pan w semantykę. Żyje pan nie w świecie zjawisk, a w świecie ich nazw. To pańska ucieczka od rzeczywistości. Bernardzie, przed czym pan ucieka?

– Doktorze @kins, miałem nadzieję, iż dowiem się tego od pana – odparł Walter.

Powellowi niespieszno było ujawnić swą obecność i sycił się spektaklem, który miał przed oczyma. Wszystko to przypominało mu patriarchalną scenę biblijną. Rozwścieczony Mesjasz Sam, otoczony tłumem pokornych uczniów. Tło stanowiły lśniące kwarcyty skalnego ogródka, pomiędzy którymi płożyły się suche, plamiaste rośliny wenusjańskie. Nad głowami obecnych perłowo lśniło niebo, a w dali, jak okiem sięgnąć, rozciągały się purpurowe pustkowia planety. @kins tymczasem mówił do Waltera-Bernarda:

– Przypomina mi pan naszą rudowłosą. Przy okazji, gdzież to podziała się nasza pseudokurtyzana?

Bardzo ładna, czerwonowłosa dziewczyna przepchnęła się do przodu i odezwała z afektacją w głosie:

– Oto jestem, doktorze @kins.

– Widzę, iż bezpodstawnie pyszni się pani przezwiskiem, które jej nadałem – gniewnie ofuknął ją doktor i kontynuował na poziomie telepatycznym: – *Zachwyca panią to, iż jest kobietą? Uważa to pani za esencję swego istnienia? Ale to tylko gra wyobraźni. „Jestem kobietą – wmawia pani sobie – i dlatego mnie pożądacie. Dość mi wiedzieć, iż gdybym zechciała, mogłabym mieć tysiące mężczyzn. To sprawia, iż rzeczywistość lepiej mi smakuje „. Bzdura! Nie uda się pani uciec od prawdy. Seks nie jest wymysłem pani ducha. Nie jest nim też samo życie. I niech pani nie stawia dziewictwa na piedestale.* @kins niecierpliwie oczekiwał repliki, dziewczyna jednak milczała i uśmiechała się sztucznie. W końcu doktor nie wytrzymał i wypalił:

– *Czy nikt z was nie słyszał tego, co jej przekazałem?*

– *Mistrzu, jam słyszał.*

– *Lincoln Powell! Nie może być! Co tu porabiasz? Jakie wiatry cię tu przygnały?*

– *Sam, przyjechałem po poradę i mam niezbyt wiele czasu. Muszę wracać następnym lotem.*

– *Nie mogłeś skorzystać z międzyplanetarnego łącza wifonicznego?*

– *To skomplikowana sprawa, Sam. Potrzebna mi porada mądrego wnikacza. Chodzi o sprawę D'Courtneya.*

– *Ach tak... No dobrze. Wejść do domu i znajdź sobie coś do picia, przyłącz się do ciebie za minutkę* – tu @kins ryknął ostrzegawczo: – *SALLY, MAMY GOŚCIA!*

Jeden z trzódki @kinsa mrugnął niespodziewanie i Sam zwrócił się ku niemu, ożywiony nową nadzieją.

– *Słyszał mnie pan, prawda?*

– *Nie, sir. Niczego nie słyszałem.*

– *Ależ tak. Zareagował pan na przesłanie telepatyczne.*

– *Skądże znowu, doktorze.*

– *To dlaczego pan podskoczył?*

– *Uciał mnie jakiś owad.*

– *Wcale nie!* – ryknął @kins. – *W moim ogrodzie nie ma żadnych owadów! Słyszał pan, jak wołałem do żony. – I Sam poszedł na całość – WSZYSCY MNIE SŁYSZYCIE, NIE WMAWIAJCIE MI, ŻE TAK NIE JEST. DLACZEGO NIE CHCECIE, BYM WAM POMÓGŁ? ODPOWIADAJCIE! NO, DALEJ! ODPOWIEDZCIE MI!*

Powell znalazł Sally @kins w chłodnym, obszernym salonie. Sufit pomieszczenia otwarto

ku niebu. Na Wenus nigdy nie padało. Plastikowa kopuła była wszystkim, czego było trzeba, aby ocienić mieszkańców przed żarem zionącym z nieba w ciągu całego siedmusetgodzinnego wenusjanskiego dnia. Gdy zaś zapadała siedmusetgodzinna noc, przynosząca z sobą śmiertelne chłody, @kinsowie pakowali się po prostu i wracali do ogrzewanego bloku w Wenusburgu. Każdy na Wenus żył według trzynastodniowych cykli.

Sam wpadł jak bomba do salonu i jednym haustem pochłonął kwartę lodowatej wody.

– *Fiuuu! Poleciało dziesięć kredytów według czarnorynkowej ceny – rzucił oskarżycielsko w stronę Powella. – Czy zdajecie sobie z tego sprawę? Tu, na Wenus, rozwinął się czarny rynek handlu wodą. I co, do cholery, robi w tej sprawie policja? Daj spokój, Link. Wiem, że to nie leży w twoich kompetencjach. Cóż tam z D’Courtneyem?*

Powell przedstawił mu problem. Histeryczną relację Barbary o śmierci ojca można interpretować w dwojaki sposób. D’Courtneya prawdopodobnie zabił Reich, który jednak równie dobrze mógł okazać się tylko świadkiem jego samobójczej śmierci. Staruch Mojżesz z pewnością będzie nalegał, aby to wyjaśnić.

– *Widzę, w czym rzecz. Odpowiedź brzmi – „tak”. D’Courtney zamierzał popełnić samobójstwo.*

– *Jak mam to rozumieć?*

– *Popadł w głęboką depresję psychiczną. Zupełnie zachwiała się jego równowaga duchowa. Pod wpływem naporu czynników emocjonalnych doszedł aż do chęci samozniszczenia. Dlatego właśnie pospieszyłem na Ziemię, chciałem temu zapobiec.*

– *Hmmm... przyznaję, że to cios dla moich koncepcji. A więc mógł sobie strzelić w łeb?*

– *Co proszę? Rozwalił sobie głowę?*

– *Owszem. Oto zdjęcie. Nie wiemy, jakiej użyto broni, ale...*

– *Poczekaj. Teraz mogę już udzielić konkretnej odpowiedzi. Jeśli taka była przyczyna śmierci D’Courtneya, to na pewno nie zginął on z własnej ręki.*

– *A to dlaczego?*

– *Bo zamierzał użyć trucizny. Nastawił się, że przedawkuje narkotyk. Link, wiesz co nieco o typach samobójczych. Jeśli taki osobnik raz zdecyduje się na określony rodzaj śmierci, to nigdy nie zmieni postanowienia. D’Courtney z całą pewnością został zamordowany.*

– *Sam, zamieńmy się na chwilę rolami. Wyjaśnij mi, dlaczego D’Courtney uparł się, by umrzeć od trucizny?*

– *Żarty sobie stroisz? Gdybym to wiedział, nie dopuściłbym do tego. Reich sprawił, iż zawiodłem pacjenta. Mogłem uratować D’Courtneya. Ja...*

– *Próbowałeś dociec, dlaczego D’Courtneya zawiodła równowaga psychiczna?*

– *Owszem. Przyczyną jego desperacji było głęboko ukryte poczucie winy.*

– *Wobec kogo?*

– *Wobec jego dziecka.*

– *Barbary? Jak to? Dlaczego?*

– *Nie wiem. Dręczyły go potężne wyrzuty sumienia, których źródłem było poczucie opuszczenia kogoś... dezercji... wstydu... odrazy do samego siebie... tchórzostwa. Mieliśmy właśnie się tym zająć, kiedy... To wszystko, co mi wiadomo.*

– *Czy Reich mógł się tego domyślić i posłużyć się tym w realizacji swych planów? Gdy przygotujemy sprawę dla sądu, tego właśnie uczepli się Staruch.*

– *Reich mógłby się domyślić... Nie. To jednak niemożliwe. Do tego byłaby mu potrzebna pomoc specjalisty.*

– *Poczekaj, Sam. Coś ukrywasz. Wiele dałbym, aby...*

– *Proszę bardzo. Niczego nie taję.*

– *Nie staraj się mi pomóc. Wszystko pomieszales. Czekałże... skojarzenie z rozrywką... przyjęciem... rozmowa – u mnie! W zeszłym miesiącu Gus Tate, który sam jest specjalistą, potrzebował rady, bo – jak mówił – zetknął się z podobnym przypadkiem. Jeśli Tate potrzebuje pomocy, pomyślałeś sobie, to znaczy, że pacjentem z pewnością jest Reich. – Odkrycie to wytrąciło Powella z równowagi tak bardzo, iż przemówił głośno: – I cóż począć z tym fantem?*

– *Z jakim fantem?*

– *Tej nocy, na przyjęciu w Beaumont House, gdy zabito D’Courtneya, był tam Gus Tate. Przyszedł w towarzystwie Reicha, ale żywiłem nadzieję...*

– *Link, to nie do wiary!*

– *Mnie też się nie chce wierzyć, ale cóż począć. Specjalistą, który pracował dla Reicha, był mały Gus Tate. To on ubezpieczał Reicha i przygotował grunt pod działania zabójcy. Wyciągnął z ciebie informację i przekazał ją mordercy. Poczciwy, stary Gus. Najwyraźniej gwizdże na Ślubowanie Espera.*

– *I na Przeróbkę – z wściekłością wyrzucił z siebie @kins.*

Gdzieś z głębi domu dobiegło ich wezwanie Sally @kins: – Link, fon do ciebie!

– Do diabła! Jediną osobą, która wie, gdzie mnie szukać, jest Mary. Mam nadzieję, że Barbarze D’Courtney nie przydarzyło się nic złego.

Powell pomknął ku niszy, w której ustawiono vifon. Już z daleka na ekranie ujrzał twarz Becka. Zastępca zobaczył go w tej samej chwili i podniecony czymś pomachał ręką. Zaczął mówić, zanim jeszcze Powell znalazł się w zasięgu głosu.

– ...i dała mi ten numer. Całe szczęście, szefie, że udało mi się pana złapać. Mamy dwadzieścia sześć godzin.

– Zaraz, zaraz, Jax. Może zacząłby pan od początku?

– Człowiek, o którym pan wspominał, ten spec od rodopsyny, doktor Wilson Jordan, wrócił z Kallisto. Teraz, z łaski Reicha, jest on majątnym facetem. Przyleciałem razem z nim. Jordan pozostanie na Ziemi jeszcze w ciągu najbliższych dwudziestu sześciu godzin, dopóki nie zamknie tu swoich spraw i następną rakieta wraca na Kallisto, by już na zawsze cieszyć się swym nowiutkim, prosto spod igły, majątkiem. Jeśli chce pan coś z niego wyciągnąć, nie ma pan zbyt wiele czasu.

– Czy Jordan będzie zeznawał?

– A czy w takim wypadku zamawiałbym międzyplanetarkę? Nie, szefie. Forsa wylewa mu się wprost z uszu. I jest wdzięczny Reichowi, który (cytuję) „był łaskaw nagiąć nieco prawo na korzyść doktora Jordana i sprawiedliwości”. Jeśli chce pan coś z niego wyciągnąć, lepiej niech pan wraca na Ziemię i zajmie się tym osobiście.

– A to – rzekł Powell – doktorze Jordan, są pracowni naszej Ligi.

Doktor Jordan był zachwycony. Laboratoria zajmowały całe najwyższe piętro budynku Ligi. Znajdowali się w kolistej kopule o średnicy tysiąca stóp, której podwójną powłokę wykonano z kwarcu. Dało to możliwość stopniowej regulacji światła, od całkowitej jasności do absolutnego mroku, i pozwoliło uzyskać oświetlenie monochromatyczne z dokładnością do jednej dziesiątej angstroma. Teraz, w południe, nieco zredukowane światło słoneczne zalewało łagodnym perłowym blaskiem stoły laboratoryjne zastawione kryształowymi i srebrzystymi aparatami i krzątających się wokół pracowników w kitlach.

– Przejdźmy się – zaproponował uprzejmie Powell.

– Mister Powell, nie mam zbyt wiele czasu...

– Ależ rozumiemy. Bardzo to ładnie z pańskiej strony, że zechciał pan poświęcić nam choć godzinę, jednak bardzo potrzebujemy pańskiej porady.

– Jeśli wiąże się to w jakikolwiek sposób ze sprawą D’Courtneya... – zaczął Jordan.

– Jaką? A, mówi pan o tym morderstwie. Skąd taki pomysł?

– Byłem śledzony – nie bez gniewu wyjaśnił Jordan.

– Ależ doktorze, zapewniam pana, iż potrzebujemy tylko pańskiej porady zawodowej; chodzi o prowadzone w naszych pracowniach badania, nie o śledztwo w sprawie morderstwa. Cóż uczonemu do zabójstw? One nas nie interesują.

Jordan nieco się odprężył.

– Trafia pan w samo sedno. Aby zdać sobie z tego sprawę, wystarczy tylko rozejrzeć się po tej pracowni.

– Może się więc przejdziemy? – Powell kordialnym gestem ujął Jordana pod ramię. Do wszystkich zaś obecnych w pracowni nadał komunikat: – *Wnikacie, baczność! Zaczynamy operację „Branie pod włos”.*

Pracujący w pomieszczeniu telepaci, nie przerywając swych zajęć, odpowiedzieli wybuchem radosnej, choć niesłyszalnej dla postronnych wrzawy. Pośród licznych, pełnych kpinek telepatemów, wyróżnił się ochryply okrzyk jakiegoś żartownisia: – *Powell, kto zwędził pogodę?! – Retoryczne pytanie odnosiło się do pewnego, niezbyt szeroko znanego epizodu z popisów Niegodziwego Abe’a. Właściwie nikt nie wiedział dokładnie, o co chodzi, ale odwołanie się do tej sprawy nigdy nie zawodziło i prefekt zawsze stawał w pąsach. Podziałało i teraz: wśród bezgłośnego chichotu całej braci Powell zaczerwienił się jak burak.*

– *Śłuchajcie, wnikacze, sprawa jest poważna. Od informacji, które – być może – uda mi się wyciągnąć z tego gościa, zależy wynik prowadzonego przeze mnie śledztwa.*

Chichoty i kpinki ucichły jak ucięte nożem.

– *Przedstawiam wszystkim doktora Wilsona Jordana – oznajmił Powell. – Specjalizuje się w fizjologii wzroku i posiada informacje, które chciałbym z niego wydobyć, wolalbym jednak, by zrobił to dobrowolnie. Niech poczuje się jak mistrz, który trafił pomiędzy uczniów. Wymyślajcie jakieś dęte problemy i proście go o pomoc w ich rozwiązywaniu. Niech się rozgada.*

Podchodzili pojedynczo, po dwu i całymi grupkami. Czerwonowłosy badacz, aktualnie pracujący nad problemem linii przesyłowej, która mogłaby przewodzić impulsy TP, na poczekaniu wymyślił zjawisko astygmatyzmu optycznych. transmisji TP i pokornie prosił

o wyjaśnienie. Dwie urocze skądinąd dziewczyny, które badając sprawy łączności telepatycznej dalekiego zasięgu ugrzęzły – ku swej irytacji – w martwym punkcie, poprosiły doktora Jordana o wytłumaczenie, dlaczego przekazom obrazów wizyjnych zawsze towarzyszy przesunięcie barw, czego w rzeczywistości w ogóle nie zaobserwowano. Grupka naukowców japońskich, rozgryzających problemy podkorowego ośrodka telepatii, uparła się przy twierdzeniu, iż ośrodek ów tworzył z nerwem optycznym jeden obwód (w rzeczywistości odległość pomiędzy nimi w żadnym miejscu nie była mniejsza niż dwa milimetry) i teraz Japończycy zasypywali Jordana fachowym żargonem, mieszając do niego niezmiernie uprzejme syknięcia.

O pierwszej idyllę zakłócił Powell.

– Niechętnie przerywam, doktorze, ale godzina, jaką zechciał pan nam poświęcić, dobiegła końca, pan zaś ma do załatwienia pilne sprawy...

– Świetnie, świetnie – opędzał się Jordan niczym od muchy. – Tak więc, drogi doktorze, jeśli próbuje pan przeciąć płaszczyznę optyczną...

O pierwszej trzydziści Powell przypomniał ponownie: – Doktorze, jest już pół do drugiej. Odlatuje pan o piątej. Myślę, że naprawdę...

– Mamy mnóstwo czasu, mnóstwo czasu... Wie pan, rakiety są jak kobiety. Zawsze można przelecieć następną. – A do rozmowy: – Problem w tym, mój panie, że pańska świetna skądinąd metoda kryje w sobie poważny błąd. Nigdy nie próbował pan potraktować badanego ośrodka intensywną barwą. Dobra byłaby czerwień Ehrlaha lub gencjana. Proponowałbym...

O drugiej, aby nie przerywać uczty intelektualnej, podano zimne przekąski z bufetu.

O drugiej trzydziści zaróżowiony z podniecenia doktor Jordan wyznał, iż odrazą napębia go myśl o pędzeniu na Kallisto życia bogatego próżniaka. Nie ma tam żadnych naukowców. Nie ma z kim pogadać, a już na pewno nie na poziomie tego nadzwyczajnego seminarium.

O trzeciej wyznał Powellowi, jakim sposobem odziedziczył ten przeklęty majątek. Początkowo, jak się zdaje, należał on do Craya D'Courtneya. Stary Reich – ojciec Bena – w jakiś przebiegły sposób musiał wyślizgać Craya z praw własności i zapisał posiadłość na imię żony. Kiedy umarła, wszystko przeszło w ręce syna. Ben, mimo iż złodziej, miał przecież jakieś resztki sumienia, bo dręczony wyrzutami przekazał sprawę prawnikom, a ci grzebiąc w dżungli przepisów prawnych odkryli, iż majątek należy do Jordana.

– Oczywiście, nie jest to jedyna sprawka, która obciąża sumienie Reicha – powiedział

Jordan. – Czegóż ja się nie napatrzyłem, gdy pracowałem dla niego! Ale wszyscy ci finansisci to łajdacy. Zgadza się pan?

– Nie sędę, by pańska opinia o Benie Reichu była trafna – odparł Powell ze szlachetnym oburzeniem. – Sędę raczej, iż zasługuje on na podziw.

– Ależ tak, oczywiście – pospiesznie przyznał Jordan. – Ma przynajmniej nikłe poczucie rzeczywistości. To rzecz naprawdę godna podziwu. Wolałbym nie dawać mu powodu do mniemania, że ja...

– Naturalnie. – Powell był teraz współkonspiratorem i oczarował Jordana uśmiechem. – Jako ludzie światowi, musimy godzić się z tym, nad czym ubolewamy jako naukowcy.

– A więc pan rozumie – w tym momencie Jordan zaczął z uczuciem ścisnąć dłoń Powella.

I tak o czwartej po południu doktor Jordan oznajmił nie posiadającym się ze szczęścia Japończykom, iż w nadziei, że pomoże im to w ich pracy, chętnie i z dobrej woli przekaze młodym entuzjastom wyniki swych badań nad rodopsyną. Odda znicz w ręce następnego pokolenia. Z wilgotnymi oczyma i nieco zachrypniętym ze wzruszenia głosem, przez dwadzieścia minut szczegółowo opisywał jonizator rodopsyny, który wynalazł na użytek firmy Monarch.

O godzinie piątej naukowcy Ligi aeroskuterem dostarczyli doktora Jordana na jego raketę. Zasyпали przy tym jego kabinę mnóstwem prezentów i kwiatów; wypełnili mu uszy wrzawą pełną wyrazów wdzięczności, tak że podczas przyspieszania ku czwartemu satelicie Jowisza Jordan sycił się błogą świadomością, iż przysporzył kamyczek do ogródka wiedzy i nie zdradził swego dobroczyńcy, Beniamina Reicha.

W salonie Barbara z zapalem uczyła się raczkować. Karmiono ją niedawno i miała umazaną żółtkiem twarz.

– Hajajaja – powiedziała. – Hajaja.

– *Mary! Chodź tu zaraz! Ona mówi!*

– *Nie!* – Mary wybiegła z kuchni. – *I co powiedziała?*

– *Nazwała mnie tatą.*

– Hajaja – potwierdziła Barbara. – Hajajajaja. Mary niemal spopielila Powella emisją kpiny.

– *Nie powiedziała niczego, co mógłbyś tak interpretować. Powiedziała „hajaja”.* –

I wróciła do kuchni.

– *Chciała powiedzieć „tata”. To nie jej wina, że jest zbyt młoda, aby wymówić to słowo prawidłowo.* – Powell ukląkł obok Barbary. – Powiedz „tata”, dziecko. No, powiedz „tata”.

– Haja – powiedziała Barbara, śliniąc się uroczo. Powell zrezygnował z dalszych wysiłków. Omijając świadomość, odwołał się do podświadomości.

– *Halo, Barbaro.*

– *To znowu ty?*

– *Przypominasz mnie sobie?*

– *Nie bardzo.*

– *Ależ tak, na pewno mnie pamiętasz. To ja jestem tym facetem, który nie proszony włazi w twą duszę, by wespół z tobą uporać się z twymi problemami. Jesteśmy razem.*

– *Tylko we dwoje?*

– *Tylko we dwoje. Czy wiesz, kim jesteś? Chcesz, to opowiem ci, dlaczego zagrzebałaś się tutaj, w tej samotni.*

– *Nic o tym nie wiem. Opowiedz.*

– *Słuchaj, dziecko, kiedyś, dawno temu, przeżywałaś już podobny stan... po prostu istniałaś, nic więcej. Potem przyszłaś na świat. Urodziłaś się. Miałaś matkę i ojca.*

Wyrosłaś na piękną dziewczynę o jasnych włosach, ciemnych oczach i zachwycającej figurze. W towarzystwie swego ojca przyleciałaś na Ziemię z Marsa, gdzie zostałaś...

– *Nieprawda. Nie było nikogo oprócz ciebie. Tylko my dwoje i ciemności.*

– *Barbaro, twój ojciec istniał naprawdę.*

– *Nieprawda. Nie było i nie ma nikogo prócz ciebie.*

– *Przykro mi, moja droga, ale musimy jeszcze raz przejść przez ten koszmar. Muszę się czegoś dowiedzieć.*

– *Nie. Proszę... nie. Jesteśmy sami, tylko we dwoje. Niech tak zostanie... miły mój duszku.*

– *Pozostaniemy we dwoje. Pójdź tutaj, moja droga. Twój ojciec jest w drugim pokoju... pokoju z orchideami... i nagle coś usłyszeliśmy...* – Powell nabrał tchu w piersi i krzyknął: – Pomocy! Barbaro, pomocy!

I oboje zamarli w bezruchu, pilnie nasłuchując. Dotyk pościeli. Stopy biegnące nieskończenie długim korytarzem klaskają o zimną posadzkę... wreszcie oboje wpadają do Apartamentu Orchidei, wybuchają wrzaskiem i umykają łapom zaskoczonego Bena Reicha, który

wpycha coś ojcu do ust. Co to było? Poczekaj, Zatrzymaj obraz. Sfotografuj. Chryste! Ta straszna, przytłumiona eksplozja. Tył głowy rozbryzguje się okropnie i uwielbiany, kochany, podziwiany człowiek, dziwacznie zgięty, wali się na ziemię, widok ten rozdziera ich serca, z jękiem usiłują więc podpełznąć i podnieść ten złowrogi stalowy kwiat z nawoskowanej...

– *Link, na miłość boską! Wstań.*

Powell poczuł, że ktoś podnosi go na nogi, a powietrze wokół aż skrzy się od fal oburzenia.

– *Bałwan! Nawet na minutę nie można go zostawić samego!*

– *Mary, czy ja długo tak klęczałem?*

– *Co najmniej pół godziny. Wchodzę tu i znajduję was dwoje w takim stanie, że...*

– *Ale wydobyłem z niej to, co chciałem. To był rewolwer, Mary. Stara broń palna.*

Widziałem bardzo wyraźnie. Zobacz sama.

– *Mmmmm... Tak wygląda rewolwer?*

– *Owszem.*

– *Skąd Reich go wytrzasnął? Z muzeum?*

– *Nie sądzę. Zaryzykuję daleki strzał, może uda mi się ubić dwa ptaszki jednym ładunkiem. Czekaj, stań tak, aby nie było cię widać na ekranie...*

Powell podszedł do wifonu i wybrał numer BD-12,232. Prawie natychmiast na monitorze pojawiła się skrzywiona twarz Churcha.

– Hej, Jerry.

– Witam... mister Powell. – Church zachowywał skrajną powściągliwość.

– Jerry, czy Gus Tate kupował od pana rewolwer?

– Rewolwer?

– To taka dwudziestowieczna broń palna. Użyto jej do zamordowania D’Courtneya.

– Niemożliwe!

– Ależ tak. Jerry, myślę, iż naszym mordercą jest Gus Tate. Podejrzewam, że broń kupił u pana. Chciałbym przynieść panu wizerunek tej broni i sprawdzić tę hipotezę razem z panem. – Zawahał się na moment i cicho, ale z naciskiem dodał: – Jerry, bardzo by mi pan tym pomógł i umiałbym się odwdzięczyć. Byłbym naprawdę wielce zobowiązany. Proszę na mnie zaczekać. Zjawię się u pana za pół godziny.

Przerwał połączenie. Spojrzał na Mary, przesyłając jej obraz zmrużonego oka.

– Tyle powinno wystarczyć, aby mały Gus zdążył do lombardu Churcha – oczywiście, jeśli mocno się pospieszy.

– Ale skąd w tym wszystkim Gus? Myślałam, że to Ben Reich... – przechwyciła wizję planu, który Powell ułożył jeszcze u @kinsów. – A, pojmuję. To pułapka i na Tate'a, i na Churcha. To Church sprzedał broń Reichowi.

– Możliwe. Jak już mówiłem, to daleki strzał. Ale jest on właścicielem lombardu, a to prawie to samo co muzeum.

– I Tate pomagał Reichowi w zabójstwie D'Courtneya? Nie wierzę.

– Mary, to prawie pewne.

– Próbujesz więc napuścić jednego na drugiego?

– I obu na Reicha. Jako detektyw zawiodłem na całej linii. Teraz odwołam się do telepatii, jeśli i to niczego nie da, to leżę i kwiczę.

– Przypuścimy jednak, że nie uda ci się napuścić ich na Reicha. Co będzie, jeśli oni od razu wezwą go do lombardu?

– Nie uda im się. Wywabiliśmy Reicha poza miasto. Przestraszyliśmy Quizzarda tak, że prysnął, aby ratować życie, a Reich pognał za nim, by uciszyć go, zanim ten zacznie śpiewać.

– Link, drań z ciebie całą gębą. Założyłabym się, że ty świsnąłeś pogodę.

– Nie – powiedział. – To Niegodziwy Abe. – Zarumienił się, pocałował Mary, pocałował Barbarę, ponownie stanął w pąsach i czerwony jak rak, wielce zmieszany wyszedł z domu.

11

Lombard pogrążony był w półmroku. Na ladzie stała samotna, zapalona lampa, która rozjaśniała ciemności sferą nikłego światła. W jego kręgu to pojawiały się, to znikwały twarze i gestykulujące dłonie trójki pogrążonych w rozmowie mężczyzn.

– Nie – ostrym tonem powiedział Powell. – Nie zamierzam was czytać. Będę mówił wprost. Zwracanie się do was słowami możecie, jako telepaci, poczytać za obrazę, ale ja uważam to za dowód zaufania. Gdy mówię, to znaczy, że was nie czytam.

– To wcale nie jest takie pewne – odezwał się Tate. W kręgu światła pojawiła się jego drobna, niczym u gнома, twarz. – Jest pan znany z przebiegłości i finezji, Powell.

– Dajmy spokój podstępom. Jeśli chcecie, możecie mnie sprawdzić. Zamierzam porozmawiać z wami zupełnie otwarcie. Wiecie, że prowadzę śledztwo w sprawie o morderstwo. Telepatia niewiele mi pomoże.

– Czego pan chce, Powell? – przeszedł do sedna sprawy Church.

– Sprzedał pan rewolwer Tate'owi?

– Guzik prawda – odparł Tate.

– To dlaczego pan tu przyszedł, Gus?

– Czyżby uważał pan, że mam potulnie znosić takie bezczelne oskarżenia z pańskiej strony?

– Church zadzwonił do pana, ponieważ to on sprzedał panu broń i doskonale wie, do czego jej użyto.

W kręgu światła pojawiła się twarz Churcha.

– Nie sprzedawałem mu żadnego rewolweru, mądralo, i nie mam pojęcia o tym, kto i jak się nim posłużył. Oto moja szczerza odpowiedź. Dotarło?

– Dotarło, a jakże – zachichotał Powell. – Wiem, że nie sprzedał pan rewolweru Tate'owi. Sprzedał go pan Reichowi.

W kręgu światła mignęła twarz Tate'a.

– To dlaczego pan...

– Dlaczego? – Powell zajrzał Tate'owi w oczy. – Aby ściągnąć tu pana na rozmowę, Gus. Ale proszę poczekać minutę. Skończę z Jerrym. – Zwrócił się do Churcha. – Jerry, miał pan broń. Od czasu do czasu wpadają panu w ręce takie rzeczy. I Reich przyszedł tu właśnie po nią. To

jedyne miejsce, gdzie mógł ją zdobyć. Już przedtem wchodził pan z nim w konszachty. Nie zapomniałem o tym krachu na giełdzie...

– Idź pan do diabła! – wrzasnął Church.

– W rezultacie tych sprawek wyleciał pan z Ligi – ciągnął nieubłaganie Powell. – Ryzykował pan dla Reicha i stracił wszystko... tylko dlatego, że poprosił on pana o odczytanie myśli czterech maklerów giełdowych. Zarobił na tym figlu miliony... poprosiwszy o przysługę naiwnego wnikaacza.

– Zapłacił za tę przysługę! – krzyknął Church.

– Ja zaś proszę jedynie o odpowiedź na pytanie, czy sprzedał mu pan broń – odparł Powell.

– A zapłaci pan za odpowiedź?

– Jerry, przecież pan mnie zna. Wyrzuciłem pana z Ligi dlatego, że jestem zakłamanym Kaznodzieją Powellem, tak? Dlaczegoż miałbym wchodzić z panem w podejrżane układy?

– Czym więc zamierza pan zapłacić za informację o broni?

– Niczym, Jerry. Musi mi pan zaufać i odpowiedzieć szczerze, ale niech pan na nic nie liczy.

– A mnie już coś obiecano – mruknął Church.

– Tak? Niech zgadnę – Ben Reich? No, obiecywać to on potrafi. Niekiedy tylko nie dotrzymuje słowa. Church, będzie pan musiał wybierać. Musi pan zaufać mnie albo Reichowi. Cóż więc z tą bronią?

Twarz Churcha zniknęła z kręgu światła. Po chwili przemówił z ciemności:

– Nie sprzedawałem żadnej broni, cwaniaku, nie wiem też niczego o tym, gdzie i jak jej używano. Tak też zeznam w sądzie.

– Dziękuję, Jerry. – Powell uśmiechnął się, wzruszył ramionami i zwrócił do Tate'a: – Gus, chciałem panu zadać jedno pytanie. Pomińmy fakt, że jest pan doradcą Reicha... pomińmy fakt, iż wyciągnął pan z @kinsa informacje o D'Courtneyu, bez których morderca nie zdecydowałby się na działanie... Zostawmy na boku to, że poszedł pan z Reichem na przyjęcie do Beaumont House, gdzie usuwał pan przeszkody z jego drogi, co zresztą czyni pan nadal...

– *Tego za wiele, panie Powell!*

– Gus, niech pan się nie unosi. Chcę tylko wiedzieć, czy prawidłowo domyśliłem się, na jaką przynętę złowił pana Reich. Nie mógł kupić pana pieniędzmi – ma pan aż nadto swoich. Nie

mógł pana skusić stanowiskiem. Wchodzi pan już w skład zarządu Ligi. Kupił pana obietnicą władzy, nieprawdaż? Trafiłem?

Tate gorączkowo zaczął czytać Powella i natrafiając na jego wewnętrzny spokój i pewność siebie, coraz bardziej się denerwował. Kiedy zaś przekonał się, iż Powell doskonale zdaje sobie sprawę z jego upadku i przyjmuje to zupełnie obojętnie, przeżył wstrząs zbyt nagły, aby się z nim pogodzić. Swoją paniką zaraził również Churcha. Wszystko odbywało się zgodnie z oczekiwaniami Powella, który w odpowiednim momencie zamierzał wykorzystać ich rozterki.

– Reich mógł ofiarować panu władzę w swoim świecie – ciągnął dalej – ale to mało prawdopodobne. Nie zrezygnowałby z niczego, co zdobył, a i panu wcale nie zależy na takiej władzy. Musiał więc ofiarować panu władzę w świecie esperów. Jak mógłby tego dokonać? Cóż, wiemy, iż finansuje on Związek Patriotów. Domyślam się, że zamierzał działać przez ten Związek. Przewrót pałacowy? Dyktatura w Lidze? Jest pan prawdopodobnie członkiem Związku...

– *Śluchaj pan, panie Powell...*

– To na razie tylko domysły – stwierdził Powell. – Ale sądzę, że będę umiał poprzeć je dowodami. Czy sądzi pan, iż pozwolimy panu i Reichowi ot tak, po prostu, zniszczyć Ligę?

– *Nigdy mi pan tego nie udowodni! Nigdy...*

– A cóż tu jest do udowadniania?

– *Pańskie słowo jest równie dobre jak moje...*

– Jest pan żalonym głupcem, Tate. Nigdy nie widział pan sądu wnioskowego? Nie odbywa się to jak zwyczajna rozprawa, podczas której składa pan przysięgę, potem przysięgam ja, a sąd usiłuje rozstrzygnąć, który z nas łże. Nie, mój mały panku. Stanie pan przed ławą przysięgłych, z których każdy jest esperem klasy pierwszej. Sam również jest pan pierwszakiem. Ilu zdoła pan zablokować? Jednego? Dwu? Niechby i trzech... Ale wszystkim pan nie sprostą. Mówię panu – jest pan skończony.

– *Powell, niech pan zaczeka!* – na małej twarzyczce Tate'a malował się wyraz skrajnego przerażenia. – *Liga uwzględni szczerą przyznanie się do winy! Zanim dojdzie do rozprawy... Wyznam panu wszystko – już teraz. Proszę przekazać to tym z Ligi. Kiedy człowiek ma do czynienia z takim przekętym paranoikiem jak Reich, przejmuje jego sposób myślenia. Identyfikuje się z nim. Ale z tym już koniec. Niech pan opowie w Lidze. Oto jak było... Przyszedł do mnie, skarżąc się na koszmary, w których dręczył go Człowiek Bez Twarzy. On...*

– *Był pańskim pacjentem?*

– *Tak, właśnie w ten sposób mnie usidlił. Zmusił mnie do współpracy! Ale z tym już koniec! Proszę powiedzieć w Lidze, że będę współdziałał z wami. Wyrzekam się go. Opowiem wszystko – z własnej i nieprzymuszonej woli. Church będzie świadkiem...*

– Nigdzie nie będę świadczył! – wrzasnął Church. – Ty parszywy mięczaku! Po tym wszystkim, co obiecał ci Reich...

– Zamknij się! Myślisz, że zależy mi na wiecznym wygnaniu? Że chcę żyć tak jak ty? Okazałeś się idiotą ufając Reichowi. Ja się na to nie piszę. Piękne dzięki. Taki głupi jeszcze nie jestem.

– Ty parszywy oszuście! Myślisz, że ujdzie ci to płazem? Myślisz, że uda ci się...

– Nic mnie to nie obchodzi! – krzyknął Tate. – Reich się z tego nie wykręci. Przedtem załatwię go na amen. Pójdę wprost na proces, zgłoszę się jako świadek i zrobię wszystko, by pomóc Powellowi. Niech pan o tym powiadomi zarząd Ligi, Link. Niech pan im powie...

– Niestety, nic takiego pan nie zrobi – przerwał mu Powell.

– Co pan powiedział?

– Został pan wyszkolony przez Ligę. Nadal jest pan jej członkiem. Od kiedy to wnikiacze donoszą na pacjentów?

– Ale przecież potrzebuje pan dowodów przeciwko Reichowi?

– Owszem, ale obejdę się bez pańskiej pomocy. Nie pozwolę, by jeden z wnikiaczy plotąc w sądzie, co mu ślina na język przyniesie, splamił honor kolegów.

– Jeśli nie zdemaskuje pan Reicha, może pan stracić pracę.

– Pies z nią tańcował! Lubię swoje zajęcie i chciałbym wygrać z Reichem, ale nie za taką cenę. Łatwo trzymać kurs przy pięknej pogodzie, ale nie złamać Ślubów, gdy zbiera się na burzę – do tego trzeba charakteru. Sami panowie powinniście wiedzieć o tym najlepiej. Wam go nie stało. Spójrzcie, do czego was to doprowadziło...

– Ale ja chcę panu pomóc, Powell.

– Nic z tego. Musiałbym złamać pewne zasady etyczne.

– Przecież ja jestem współnikiem i doradcą mordercy! – kwiknął Tate. – Pan zaś puszcza mnie wolno. Według pana jest to etyczne? No, niechże pan odpowie!

– Patrzcie państwo! – zaśmiał się Powell. – Oto gość, który rwie się do Przeróbki. Nie, Gus. Weźmiemy pana, gdy dobierzemy się do Reicha. Ale zdemaskuję go bez pańskiej pomocy.

Rozegram to tak, by nie naruszyć Ślubowania Espera.

Odwrócił się i opuściwszy krąg światła, zniknął w mroku. Brnąc wśród ciemności ku drzwiom wyjściowym czekał, aż Church skusi się na przynętę. Cała poprzednia scena była przygrywką do zbliżającej się chwili... ale jak dotąd spławik ani drgnął.

W momencie gdy Powell otwierał drzwi wyjściowe, zalewając wnętrze lombardu potokiem chłodnej, srebrnej poświaty lamp ulicznych, dobiegło go wołanie Churcha: – Powell, na słowo!

Ciemna sylwetka prefekta znieruchomiała na progu.

– Słucham?

– Co to za kit wciskał pan Tate'owi?

– Mówiłem mu o Ślubowaniu, Jerry. Powinien je pan pamiętać.

– Pozwoli się pan odczytać?

– Proszę bardzo, nie kryję się z niczym.

Powell usunął prawie wszystkie bloki. To, czego Church nie powinien był się domyślać, leżało starannie zamaskowane pośród odległych skojarzeń i zmiennych niczym wzory kalejdoskopu układów. Church jednak z pewnością nie potrafiłby się w nich połapać.

– Sam nie wiem – mruknął w końcu lichwiarz. – Nie mogę się zdecydować.

– Co ma pan na myśli, Jerry? Na głos, proszę, przecież pana nie czytam.

– Zastanawia mnie ta historia z Reichem i rewolwerem. Bóg świadkiem, że istotnie jest z pana załgany kaznodzieja, ale może postąpiłbym rozsądnie, gdybym panu zaufał.

– To już lepiej, Jerry. Ale niczego nie obiecuję.

– Może jest pan z tych, którzy nie lubią składać obietnic. Może wszystkie moje kłopoty wzięły się stąd, że zawsze wystarczyły mi obietnice zamiast...

W tej właśnie chwili wieczny czujny radar Powella wykrył czającą się na zewnątrz śmierć. Prefekt błyskawicznie odwrócił się i zatrzasnął drzwi.

– *W górę, migiem!* – Trzema krokami dopadł lady i szybko na nią wskoczył. – *Jerry! Gus! Tu, do mnie! Szybciej, durnie!*

Pomieszczeniem lombardu wstrząsnęły przyprawiające o mdłości, wzmagające się, okropne wibracje. Powell kopniakiem zrzucił lampę na podłogę. Piwniczka pogrążyła się w mroku.

– *Skaczemy na pułap, do żyrandola i łapiemy go oburącz! To harmoniczny dezintegrator.*

Skaczcie! – Church sapnął i skoczył w ciemność. Powell złapał Tate’a za trzęsącą się rękę. – *Co, za wysoko? Gus, niech pan wyciągnie rękę. Podrzucę pana.* – Cisnął Tate’a w górę i sam skoczył, wyciągając palce niczym szpony ku misternej stalowej pajęczynie. Cała trójka zawisła w powietrzu, oddzielona od pochłaniających całą piwniczkę morderczych wibracji, które w każdej substancji, stykającej się z podłogą, wytwarzały drgania harmoniczne, rozbijające strukturę materii. Szkło i stal, kamień i plastik... wszystko z okropnym trzaskiem rozpadało się na cząsteczki. Słyszeli pęknięcie podłogi i trzeszczenie sufitu. Tate nie wytrzymał i zaczął jęczeć.

– *Gus, niech się pan trzyma. To jeden ze zbirów Quizzarda. Zuchwale draby. Raz już mnie prawie dostali.*

Tate tracił świadomość tego, co się z nim dzieje. Powell wyczuwał jak, włókno po włóknie, pęka nić łącząca jaźń małego wnikacza z rzeczywistością. Desperackim wysiłkiem Powell sięgnął ku podświadomości Tate’a.

– *Trzymaj się. Trzymaj się! Trzymaj! TRZYMAJ! NIE PUSZCZAJ!*

We wnętrzu małego psychiatry królowało jednak przecucie klęski i Powell pojął, że nie jest w stanie uchronić Tate’a przed samym sobą. Tate dążył ku śmierci. Jego dłonie rozluźniły uścisk i telepata runął na podłogę. W następnej sekundzie wibracje ustały, ale w tejże samej chwili Powell usłyszał ciężki, stłumiony mlask miazdzonego ciała. Dźwięk ten dotarł i do Churcha, który zaczął jęczeć.

– *Jerry, proszę zachować spokój! Jeszcze nie koniec. Niech się pan trzyma.*

– *Słyszał to pan? SŁYSZAŁ TO PAN?*

– *Słyszałem. Niebezpieczeństwo jeszcze nie minęło. Proszę się trzymać.*

Ktoś z zewnątrz lekko uchylił drzwi do piwniczki. Wąski strumień światła latarki liznął podłogę, dokładnie ją przeszukując. Odnalazł rozlaną plamę czerwonoszarej brei mięsa, krwi i ułamków kości, zatrzymał się na niej na okres trzech sekund i zgasł. Drzwi zamknęły się.

– *W porządku. Myślą, że tym razem mnie dostali. Teraz może pan wyć do woli.*

– Powell, nie mogę zejść. Boję się nadepnąć na...

– Trudno się panu dziwić. – Powell zawisł na jednej ręce, drugą zaś chwycił ramię Churcha i pchnął go ku ladzie. Church opadł na nią i wzdrygnął się. Powell zeskoczył obok niego i przez chwilę walczył z ogarniającą go falą mdłości.

– *Mówił pan, że to jeden z najemników Quizzarda?*

– Oczywiście. Ma przyboczną gwardię psychopatów. Za każdym razem, gdy ich wyłapujemy i wysyłamy do Kingston, Quizzard werbuje nowych. Wabi ich narkotykami.

– Ale co oni mają do pana? Ja...

– Jerry, niech pan wreszcie przejrzy na oczy. Są na usługach Bena. Ben zaczyna pękać.

– Ben? Ben Reich? Ale przecież to mój lombard. Mogłem być w środku.

– I był pan. A w czym, do cholery, jeśli wolno spytać, różnica?

– No jak to? Ben nie naraziłby mojego życia na niebezpieczeństwo.

– Czyżby? – wizerunek uśmiechającego się kota. Church aż się zachłysnął. Nagle wybuchnął:

– A, skurwysyn! Pieprzony skurwysyn!

– Jerry, niech pan nie bierze tego do siebie. Reich walczy o życie. Myśli pan, że będzie się patyczkował?

– No, jeśli tak, to i ja zajmę się swoim życiem, niech skurczybyk sam do siebie ma pretensje. Powell, proszę się przygotować. Otwieram się. I przekażę panu wszystko, co wiem.

Po strasznej śmierci Tate'a, rozmowie z Churchem i kolejnej wizycie w swoim sztabie operacyjnym Powell rad powitał w mieszkaniu blond łobuziaka. Barbara D'Courtney w lewej ręce trzymała czarną kredę, a w prawej czerwoną. Wysuwając język i marszcząc czoło, z zapalem kreśliła coś na ścianach.

– Baba! – zawołał zaskoczony Powell. – Co robisz?

– Lysuję – wysepleniła. – Śliczny lysunek la taty.

– Dziękuję, złotko – powiedział Link. – Bardzo ładnie, żeś o tym pomyślała. A teraz chodź i usiądź koło tatusia.

– Nie – odezwała się i dalej mazała ścianę.

– Czy nie jesteś już moją dziewczynką?

– Owsem.

– A czy moja dziewczynka nie robi tego, o co prosi tatuś?

Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Owsem – wysepleniła. Wsadziła kredę do kieszeni i przysiadła na kanapce obok Powella, ujmując jego dłonie w swe umazane kredą palce.

– Barbaro, doprawdy – mruknął Powell. – To seplenienie zaczyna mnie martwić. Zastanawiam się, czy przypadkiem nie przydałyby ci się prawidła na zęby.

Myśl ta była żartem tylko po części. Niełatwo przychodziło mu pamiętać, że obok niego siedzi w pełni dojrzała kobieta. Jej ciemne oczy lśniły jak czysty i pusty kryształowy puchar, który dopiero czeka, by napełniono go winem.

Powoli sięgnął przez jałowe teraz poziomy świadomości ku głębiej skrytej burzliwej jaźni, co niczym ogromna, ciemna mgławica osłonięta była szczelnie mrocznymi chmurami. Za tymi chmurami migotało słabe światełko, pojedyncze i nikłe, które zdążył już polubić. Teraz jednak, gdy tak wnikał coraz głębiej, natknął się nie na mizerny płomyk, ale na ostre lance promieni, jakich nie powstydziałaby się gwiazda, płonąca wściekłym pożarem nowej.

– *Halo, Barbara. Myślę, że...*

Odpowiedział mu wybuch uczucia, który zmusił go do błyskawicznego odwrotu.

– Hej, Mary! – zawołał. – Do mnie, szybko! Mary Noyes wyskoczyła z kuchni, niczym diabeł z pudełka.

– Znowu masz kłopoty?

– Jeszcze nie. Ale kto wie, czy się nie zbliżają. Nasza pacjentka czuje się lepiej.

– Nie widzę żadnej różnicy.

– Zajrzyj razem ze mną. Ożyły w niej podstawowe instynkty. Te najgłębsze i najbardziej pierwotne. Niewiele brakowało, a poparzyłbym się.

– A po co ci moje towarzystwo? Mam być przyzwoitką? Kimś, kto stanie na straży najświętszych uczuć panieńskich?

– Silimy się na dowcip, co? To mnie potrzebna jest ochrona. Podaj mi pomocną dłoń.

– Obie masz już zajęte.

– To zwrot retoryczny – zmieszany Powell spojrzał na spokojną jak u lalki twarz siedzącej przed nim dziewczyny i na jej chłodne palce, luźno spoczywające w jego dłoniach. – No, zaczynajmy.

Ponownie ruszył mrocznymi korytarzami ku temu ukrytemu ognisku, które płonęło w głębi jaźni Barbary... Płonie ono w każdym z ludzi. Jest wiecznym źródłem psychicznej energii podczas bezmyślnej, bezlitosnej, nie obciążonej jakimikolwiek wyrzutami sumienia i nigdy się nie kończącej pogoni za przyjemnością. Wyczuwał telepatyczną obecność Mary, która podążała tuż za nim. Zatrzymali się oboje w bezpiecznej odległości.

– *Hej, Barbaro!*

– Wynoś się!

– *To ja, twój duszek.*

Buchnęła ku niemu nienawiść.

– *Pamiętasz mnie?*

Fala nienawiści opadła i zamieniła się w nagły przyptyw pożądania.

– *Link, lepiej zmywaj się, i to szybko. Jeśli dasz się wciągnąć w ten labirynt bólu i rozkoszy, przepadniesz.*

– *Chciałbym coś sprawdzić.*

– *Nie znajdziesz tu niczego oprócz miłości i śmierci, sprowadzonych do najbardziej elementarnych odczuć.*

– *Muszę zbadać stosunki, łączące ją z ojcem. Chcę wiedzieć, dlaczego dręczyło go związane z nią poczucie winy.*

– *No to ja się wynoszę.*

Ponownie poczuł zar paleniska. Mary uciekła.

Powell krążył wokół Barbary, wczuwając się w nią wszystkimi zmysłami. Przypominało to zachowanie beztroskiego elektryka, który dotyka końcówek obnażonych przewodów, aby dowiedzieć się, która z nich zawiera w sobie śmiertcionośny ładunek. Tuż obok niego przemknęła oślepiająca błyskawica. Musnął ją, poczuł piekące ukłucie i odskoczył, gdy zadziałał instynkt samozachowawczy. Rozluźnił się i pozwolił wciągnąć w głąb przepastnego wiru skojarzeń; zaczął wśród nich przebierać i badać je. Z trudem przychodziło mu utrzymywanie w tym chaosie własnego systemu wartości.

Natykał się na reakcje miliardów komórek, organiczne wrzaski, stłumione brzęczenie muskulatury, płynące głębiej nurty wrażeń zmysłowych, huk tętnic i aort, wahania poziomu Ph we krwi. Wszystko to promieniowało energią. Nieustający trzask towarzyszący połączeniom i rozłączeniom nerwowych styków zlewał się w jeden szkwał zespolonych rytmów. Obok Powella przelatywały zniekształcone obrazy, archetypy, odnośniki... Miał oto przed sobą pozbawione wszelkiej otoczki jądro myśli.

Odebrał częściowy wizerunek czegoś, co poprowadziło go ku zmysłowemu skojarzeniu z pocałunkiem... Potem ujrzał przelotnie ssące pierś matki niemowlę... i dziecięce wspomnienia... o matce? Nie... to była niańka. Wokół wił się misterny ornament skojarzeń z rodzicami... Negacja. Brak matki... Powell uchylił się przed palącym płomieniem dziecięcej furii i nienawiści, syndromu sieroty.

I nagle stanął twarzą w twarz z sobą samym.

Wybałuszył oczy i zachybotał się na krawędzi rozpadu osobowości, o włos unikając szaleństwa.

– *Kim jesteś, do cholery?*

Wizerunek uśmiechnął się doń promiennie i zniknął.

Ta... Tatko... Tatus... Tatusiek... Ojciec...

Ponownie natknął się na swój własny obraz. Tym razem przedstawiono go nagim i pełnym potęgi, promieniowała od niego aura miłości i pożądania. Postać wyciągnęła ku niemu ramiona.

– *Spadaj stąd. Wprawiasz mnie w zakłopotanie. Obraz zniknął. Niech to licho! Czyżby zakochała się we mnie?*

– Witaj, mój duszku.

Było tam i odbicie jej samej, wzruszająca karykatura postaci dziewczynki o nakreślonych prostymi żółtymi liniami włosach, ciemnych plamkach oczu i kształtach pysznych, choć naszkicowanych płasko i bez wdzięku... Obraz przepadł. Nagle runął mu naprzeciwko niszczycielski niczym letnia burza Powell-Obrońca-Potężny-Ojciec. Nie dał się zbyć i pozostał przy tej wizji. Tył głowy wizerunku miał twarz D’Courtneya. Podążył za tym Janusowym obliczem wzdłuż płonącego kanału pełnego skojarzeń, sprzężeń, replik aż do... Reicha? Niemożliwe... Ależ tak! Ben Reich i Barbara D’Courtney, niczym syjamskie bliźnięta złączeni bokami, tkwiący w morzu zagmatwań i komplikacji. Barbara i Ben. Na poły złączeni krwią. Na poły...

– *Link!*

Odległe i dochodzące jakby zewsząd wezwanie.

– *Lincoln!*

Sekundę jeszcze mogło zaczekać. Ten zaskakujący i zdumiewający wizerunek Reicha musiał...

– *Lincoln Powell! Do mnie, głupcze!*

– *Mary?*

– *Nie mogę cię odnaleźć.*

– *Wróć za momencik.*

– *Link, już po raz trzeci usiłuję nawiązać z tobą kontakt. Jeśli teraz z tego nie wyjdiesz,*

to już po tobie.

– Po raz trzeci?

– W ciągu ostatnich trzech godzin. Link, proszę... dopóki jeszcze starczy mi sił.

Pozwolił więc skierować się ku powierzchni. Ale nie potrafił odnaleźć właściwego kierunku. Otaczał go bezwymiarowy i bezczasowy chaos. Ponownie pojawił się przed nim wizerunek Barbary D’Courtney: tym razem była karykaturą uwodzicielki.

– Hej, duszku!

– Lincoln, na miłość boską!

Ogarnięty paniką miotał się przez chwilę we wszystkie strony, w końcu jednak trening telepaty zrobił swoje. Automatycznie wykonał procedurę wycofania. Bloki zaczęły opadać w równym rytmie; każda bariera była kolejnym krokiem ku światłu. W połowie, drogi wyczuł obok siebie obecność Mary. Pozostała przy nim, dopóki nie znalazł się w swoim saloniku, siedząc na kanapie obok małej urwiski i trzymając w dłoniach jej palce. Puścił je natychmiast, jakby go parzyły.

– Mary, odkryłem tak niezwykle skojarzenie z Benem Reichem, że nie masz wprost pojęcia! To ten rodzaj asocjacji, który...

Mary trzymała już w dłoniach zmoczony zimną wodą ręcznik i zręcznie trzepnęła go nim po twarzy. Powell nagle zdał sobie sprawę z tego, iż trzęsie się, jakby miał gorączkę.

– Sęk w tym, że... Próba wydobycia jakiegoś sensu z najgłębszych pokładów podświadomości przypomina usiłowanie dokonania analizy jakościowej we wnętrzu Słońca.

Ponownie poczuł na twarzy dotyk zimnego ręcznika.

– Nie masz do czynienia ze spójnymi elementami. Pracujesz pośród zjonizowanych cząsteczek. – Uniknął następnego ciosu ręcznikiem i spojrzał na Barbarę. – *Mocny Boże! Myślę, że to biedactwo zakochało się we mnie.*

Obraz robiącej doń oko turkawki.

– Nie żartuję. Tam w dole natknąłem się na samego siebie. Ja...

– A co z tobą?

– Ze mną?

– Dlaczego odmówiłeś odesłania jej do Kingston Hospital? – spytała. – Dla jakich to powodów od dnia, w którym ją tu sprowadziłeś, czytasz ją dwa razy na dobę? Czemu potrzebna ci jest przyzwoitka? Otóż powiem panu, panie Powell...

– Co mianowicie?

– Kochasz ją! Pokochałeś, gdy zobaczyłeś ją po raz pierwszy, tam, u Choki Froot.

– Mary!

Cisnęła weń jaskrawym wizerunkiem jego i Barbary, i tym fragmentem, który wyczytała w nim kilka dni temu... wtedy, kiedy zbladła z zazdrości i gniewu. Powell zrozumiał, że to prawda.

– *Mary, droga moja...*

– Nie przejmuj się mną. Do diabła z moimi uczuciami. Kochasz ją, a ta dziewczyna nie jest wnikaczką. Jak wielka jest ta jej część, którą pokochałeś? Jedna dziesiąta? Którą jej część pokochałeś? Twarz? Czy może jej podświadomość?

A co z pozostałymi dziewięćdziesięcioma procentami? Czy pokochasz to, co w niej odkryjesz? Niech cię szlag trafi! Chciałabym, abyś pozostał wewnątrz jej umysłu, aż byś tam skisł! – Odwróciła się i wybuchnęła płaczem.

– *Mary, na miłość...*

– Zamknij się! – łkała. – Milcz, i niech cię diabli! Ja... Masz tu wiadomość. To od twoich pracowników, ze sztabu. Powinieneś jak najszybciej udać się do Spacelandu. Znaleźli Reicha, ale gdzieś im przepadł. Jesteś tam potrzebny. Wszystkim jesteś potrzebny... nie powinnam się więc uskarżać.

Powell nie był w Spacelandzie od dziesięciu z górą lat. Siedział teraz w policyjnej rakietce, która zabrała go z pokładu luksusowego liniowca „Holiday Queen” i podczas opadania w dół usiłował przyjrzeć się Spacelandowi, migoczącemu pod nim niczym misternie utkana ze srebra i złota koronka. Uśmiechnął się, ponieważ ilekroć zbliżał się do tego kosmicznego parku rozrywki, zawsze stawała mu przed oczyma ta sama wizja. Wyobrażał sobie mianowicie jak Spaceland, natknąwszy się nań przypadkowo, sumiennie badają poważni odkrywcy z jakiejś odległej galaktyki. I chociaż niejednokrotnie usiłował wydedukować, co też zameldowałiby w końcu swoim ziomkom, nigdy mu się to nie udawało.

– Może podołałby temu Niegodziwy Abe – mruknął do siebie.

Spaceland powstał ponad sto lat temu, kiedy jakiś zbzikowany na punkcie zdrowia zapaleniec stworzył na niewielkiej – wszystkiego pół mili średnicy – asteroidzie przezroczystą kopułę z powietrznego koloidu, zainstalował pod nią generator atmosfery i dał początek kolonii. Od tego czasu Spaceland rozrósł się w nieregularną płytę, rozciągającą się na setki mil w przestrzeni kosmicznej. Każdy nowy właściciel i przedsiębiorca po prostu dodawał mniej więcej milę do istniejącej już struktury, wznosił nad nią własną kopułę i przystępował do interesu. Gdy wreszcie inżynierowie zaczęli utrzymywać, iż sferyczna forma byłaby dla kolonii najbardziej ekonomiczna i najtańsza, było już za późno na jakiegokolwiek zmiany. Płyta dalej rozrastała się w sposób zupełnie nie kontrolowany.

Prom skręcił ostro, w kopułach błysnęło słońce i Powell pomyślał, iż setki lśniących na tle głębokiej czerni kosmosu półsfery przypominają rozrośnięte na szachownicy skupisko mydlanych baniek. W jego środku nadal jeszcze znaleźć można było wciąż czynną kolonię zdrowotną, która dała początek całej strukturze. Wokół niej tłoczyły się hotele, parki, place zabaw, sanatoria, a nawet i cmentarz. Na zwróconej ku Jupiterowi stronie płyty umieszczono gigantyczną, pięćdziesięciomilową półsferę, przykrywającą Rezerwat Spacelandu, gdzie zwiedzający na każdej mili kwadratowej stykał się z większą różnorodnością krajobrazów i klimatów niż na jakiegokolwiek powstałej w sposób naturalny planecie.

– Proszę opowiedzieć wszystko i po kolei – zaczął Powell.

Sierzant nerwowo przełknął ślinę.

– Działaliśmy zgodnie z poleceniami. Posłaliśmy za Hassopem Przygłupa. Ich śladami poszedł Cwaniak. Przygłupa zdjęła dziewczyna Reicha...

– O, a więc to była dziewczyna?

– Taaa... Mała, bystra i podstępna. Niejaka Duffy Wyg&.

– Jasny gwint! – Powell wyprostował się jak ukłuty sztyłem. – I to ja sam ją przesłuchiwałem. Nigdy nie pomyślałbym... Wygląda na to, że zrobiłem z siebie idiotę. Niech to będzie dla was ostrzeżeniem, sierżancie. Gdy ma się do czynienia z ładną dziewczyną... – potrząsnął tylko głową.

– Tak więc, jak mówiłem – ciągnął sierżant – zdjęła Przygłupa i Cwaniak przymierzał się już do sprawy, kiedy z hukiem i trzaskiem na Spaceland zwałił się Reich.

– Jak to się odbyło?

– Przyleciał prywatnym jachtem. Mieli awarię w kosmosie i przyturlali się tu w trybie awaryjnym. Jeden zabity, trzech – w tej liczbie i sam Reich – rannych. Całą część dziobową wgniotło im do środka. Albo meteor, albo nadziali się na dryfujący luzem wrak. Reicha wzięto do szpitala i mieliśmy nadzieję, że na jakiś czas mamy go z głowy. Ale nie zdążyliśmy zorientować się w sytuacji, gdy gdzieś zniknął. Hassop przepadł razem z nim. Wciągnąłem do sprawy znajomego cztery języki esperanto-tłumacza – a ci jakby zapadli się pod ziemię.

– A gdzie podział się bagaż Hassopa?

– Też wyparował.

– A bodaj to! Musimy dorwać tego Hassopa i jego bagaż. To zaprowadzi nas do motywu. Hassop jest szefem Wydziału Szyfrów firmy Monarch. Musimy wyciągnąć od niego, jaka była treść ostatniej depechy Reicha do D’Courtneya, musimy też wiedzieć, jaka była odpowiedź.

– Chodzi panu o tę z poniedziałku, zanim popełniono morderstwo?

Nie inaczej. Wymiana depech prawdopodobnie uruchomiła łańcuch zdarzeń, zwieńczony zabójstwem. Hassop może też mieć ze sobą księgi rachunkowe firmy. Na ich podstawie można by chyba wykazać w sądzie, że Reich miał cholernie ważne powody dla zamordowania D’Courtneya.

– Na przykład?

– O firmie Monarch powiada się, że stary D’Courtney przyparł ją do muru.

– Czy wyjaśnił pan, w jaki sposób i w jakich okolicznościach dokonano zabójstwa?

– I tak, i nie. Jerry Church opowiedział mi wszystko, co sam wiedział, ale sprawa nie jest

tak prosta, jak by się zdawało. Możemy wykazać, że Reich miał okazję do popełnienia morderstwa. Sąd uzna nasze wywody, jeśli uda nam się wyjaśnić motywy, jakimi kierował się zabójca, i sposób, w jaki popełniono zbrodnię. Wszystko razem przypomina konstrukcję wigwamu. Każdy z trzech drągów wspiera się na dwu pozostałych. Żaden nie utrzyma się w pojedynkę. Taka jest opinia Starucha. Dlatego też musimy dostać Hassopa.

– Mogę przysiąc, że nie opuścili Spacelandu. Na tyle jeszcze znam się na swej robocie.

– Nie ma sensu się załamywać dlatego, że Reich was przechytrył. Wyrolował już niejednego. Między innymi i mnie.

Sierżant jednak nadal ponuro potrząsał głową.

– Od razu wezmę się za telepatyczne przeszukiwanie Spacelandu, gdzieś tu muszą być Reich i Hassop – odezwał się Powell, gdy raketka wypływała ze śluzy, kierując się wzdłuż korytarza. – Przedtem jednak chciałbym sprawdzić pewien domysł. Proszę mi pokazać zwłoki.

– Jakie zwłoki?

– Te z katastrofy jachtu Reicha.

W policyjnej kostnicy, na powietrznej poduszce w martwym polu, spoczywało mocno poharatane ciało. Nieboszczyk miał białą skórę i płomiennie rudą bródkę.

– No proszę – mruknął Powell. – Keno Quizzard.

– Znał go pan?

– Nie, wiem natomiast, kim był. Pracował dla Reicha, ale okazał się zbyt nerwowy, by ten dalej mógł korzystać z jego usług. Można śmiało iść o zakład, że katastrofa miała ukryć okoliczności zabójstwa.

– Do diabła, pańskie przypuszczenia idą za daleko, sir! – wybuchnął gliniarz. – Tamci dwaj są poważnie ranni. Reich może i udawał, przyznaję. Ale jacht naprawdę nadaje się do kasacji, a ci dwaj...

– Zostali ranni. A jacht został zniszczony. No i czego to dowodzi? Istotne jest, że Quizzard już nie będzie zeznawał, a w tej sytuacji Reich może się czuć o wiele bezpieczniejszy. To Reich załatwił Quizzarda. Nigdy tego nie udowodnimy, ale jeśli odnajdziemy Hassopa, poradzimy sobie inaczej. Starczy nam dowodów, by naszemu przyjacielowi Reichowi załatwić Przeróbkę.

Zaopatrzywszy się w modne, natryskiwane na ciało spodenki (w tym roku odzież

sportowa w Spacelandzie odznaczała się wyjątkowo żywymi barwami), Powell rozpoczął błyskawiczne zwiedzanie kopalni. „Hotel Wiktorii”, „Hotel Sportu”, „Hotel Cudów”, „Ojczyzna na Obczyźnie”, „Nowy New Trataberg”, „Marsjański” (bardzo modny i szykowny), „Venusberg” (burdel na kółkach)... i tuziny innych. Wszędzie nawiązywał rozmowy z nieznanymi, w kilkunastu językach opisywał swoich drogich, starych przyjaciół i delikatnie podczytywał rozmówców, aby upewnić się, że dokładnie przyswoili sobie otrzymane odeń pojęcie o wyglądzie Hassopa i Reicha. Potem dopiero wysłuchiwał odpowiedzi. Negatywnej. Zawsze negatywnej.

Z wnioskami szło łatwiej... a w Spacelandzie było ich wielu, jedni odpoczywali, drudzy tam pracowali. Ale i ich odpowiedzi nie popychały sprawy naprzód.

Spotkanie Nawróconych w Solar Rheims... setki śpiewających nabożnie fanatyków, którzy na klęczkach uczestniczyli w swego rodzaju Świącie Letniego Przesilenia. Odpowiedzi przeczące. Regaty w kompleksie „Mars Zawsze Z Tobą”... Miniłodzie i szalupy, skaczące po powierzchni wody, niczym puszczane przez kogoś beztroskiego kaczki... Odpowiedzi przeczące. Kompleks Chirurgii Plastycznej... setki ciał i twarzy spowitych w bandażu. Odpowiedź negatywna. Napowietrzne Polo. Nic. Gorące Zdroje Siarkowe. Nic. Białe Zdroje Siarkowe. Nic. Czarne Zdroje Siarkowe. Nic. Wyschnięte Zdroje Siarkowe... Nic.

Zniechęcony i nieco onieśmielony, Powell zajął nawet na Cmentarz Słonecznego Świt. Obsadzona dębami, świerkami i jesionami, oflagowana nekropolia swymi wąskimi spłachetkami zielonej trawy przypominała park angielski. Z dyskretnie położonych pawilonów dobiegały przytłumione dźwięki muzyki – to rzępoliły kwartety smyczkowe złożone z robotów. Na ustach Powella pojawił się uśmiech.

Pośrodku cmentarza wznosiła się wierna kopia katedry Notre Dame. Przymocowano do niej starannie wykonaną tabliczkę „OTO NASZ KOŚCIÓŁEK W GLENN”. Z paszczy jednego z gargulców na wieży dobywał się niezmiernie słodki w brzmieniu ryk: WEWNĄTRZ NASZEGO SZKOCKIEGO KOŚCIÓŁKA NA WŁASNE OCZY UJRZYCIE ODGRYWANE PRZEZ ROBOTY DRAMATYCZNE WYDARZENIA Z DZIEJÓW BOGÓW. MOJŻESZ NA MOUNT SYNAJ, UKRZYŻOWANIE CHRYSZTUSA, MAHOMET I GÓRA, LAO TSE I KSIĘŻYC, OBJAWIENIE MARY BAKER EDDY, WNIĘBOWIĘCIE PANA NASZEGO BUDDY, PRAWDZIWE OBLICZE JEDYNEGO BOGA NASZEJ GALAKTYKI... i po krótkiej przerwie, bardziej rzeczowym tonem: ZE WZGLĘDU NA ŚWIĘTĄ NATURĘ TEJ

WYSTAWY, WSTĘP WYŁĄCZNIE ZA BILETAMI. BILETY MOŻNA NABYWAĆ U KUSTOSZA. Po chwili rozległ się inny głos, płaczliwy i pełen urazy: UWAGA, WSZYSCY WYZNAWCY! UWAGA, WSZYSCY WYZNAWCY! UPRASZA SIĘ O OGRANICZENIE GŁOŚNYCH ŚMIECHÓW I ROZMÓW... Potem nastąpił trzask i inny gargulec zaczął tę samą gadkę w innym języku. Powell wybuchnął śmiechem.

– Powinien pan się wstydzić – powiedziała stojąca za nim dziewczyna.

Nawet nie odwracając głowy odparł:

– Przepraszam, UPRASZA SIĘ O OGRANICZENIE GŁOŚNYCH ROZMÓW I ŚMIECHÓW. Czy jednak nie sądzi pani, że to jedno z najbardziej absurdalnych... – W tym momencie dotarł do niego jej wzór psychiczny i detektyw odwrócił się na pięcie. Stał twarzą w twarz z Duffy Wyg&.

– No proszę, Duffy we własnej osobie! – powiedział. Surowa mina ustąpiła wyrazowi zaskoczenia, potem na twarzy dziewczyny szybko pojawił się uśmiech.

– Pan Powell! – zawołała z zapalem. – Mój nieśmiały detektyw. Nadal jest mi pan winien taniec.

– I przeprosiny – orzekł Powell.

– Jestem zaszczyczona. Nie mogę się ich doczekać. I za cóż to tym razem?

– Za to, iż pani nie doceniłem.

– I tak przez całe moje życie – wzięwszy Powella pod ramię, pociągnęła go za sobą w boczną alejkę. – Proszę mi zdradzić, co pana do mnie przekonało. Spojrzał pan na mnie po raz drugi i...

– I zdałem sobie sprawę z faktu, że jest pani najbardziej cwana osobką spośród wszystkich, którzy pracują dla Bena Reicha.

– Jestem cwana, i owszem. Niekiedy pracuję dla Bena... ale podejrzewam, że pański komplement kryje w sobie coś więcej niż tylko podziw. Czy nie tak?

– Ogon Hassopa.

– Łagodniejszym tonem proszę, jeśli łaska.

– Pani go zdjęła. Gratuluję sukcesu.

– Aaaa! Ma pan konika o imieniu Hassop. Gdy był jeszcze źrebakiem, wskutek nieszczęśliwego wypadku stracił ozdobę końskiej urody. Pan postarał się dlań o sztuczny zamiennik, który ja...

– Duffy, niechże pani wreszcie zrozumie... Daleko pani tak nie zajędzie.

– A więc, superchłopcze, niech pan przestanie mówić ogródkami – jej zadziorna twarzyczka z na wpół poważną, a na wpół rozbawioną miną odwróciła się ku niemu. – Do czego, u licha, pan pije?

– Dobrze, wyłożę kawę na ławę. Ogon to facet, tajny agent oddelegowany do śledzenia i obserwacji podejrzanego. Posłaliśmy takiego za Hassopem.

– Przyjęte do wiadomości. Kim jest ten Hassop?

– To człowiek pracujący dla Bena Reicha. Szef jego Wydziału Szyfrów.

– I cóż takiego uczyniłam waszemu człowiekowi?

– Działając zgodnie z instrukcją otrzymaną od Reicha, oczarowała pani naszego agenta, zawróciła mu w głowie i doprowadziła do tego, iż zaniedbując swoje obowiązki służbowe, całymi dniami tkwił przy pani pianinie i...

– Jedno słowo! – wtrąciła Duffy ostrym tonem. – Przypominam go sobie. Taki niewysoki mizerota. Był gliną?

– Ależ Duffy...

– Zadałam panu pytanie.

– Był gliną.

– I śledził tego Hassopa?

– Owszem.

– Hassop... taki wyblakły? Włosy jakby zakurzone? Niebieskie, wodniste oczy?

Powell skinął głową.

– A to gnida! – mruknęła Duffy. – Nędzna gnida. – Płonąc z oburzenia odwróciła się ku Powellowi. – I pan, mój panie, myśli, iż należę do tych, co podejmują się wszelkiej brudnej roboty, nieprawdaż? No, panie wnikaczu! Niech pan posłucha. Reich poprosił mnie o przysługę. Powiedział, że ten człowiek pracuje nad bardzo ciekawym kodem, opartym na kompozycjach muzycznych. Chciał, bym sprawdziła wyniki jego pracy. Skąd, u diabła, miałam wiedzieć, że to wasz agent? I skąd miałam wiedzieć, że udaje muzyka?

Powell wytrzeszczył na nią oczy.

– Chce pani powiedzieć, że Reich panią po prostu podpuścił?

– Nie inaczej! – wściekała się Duffy. – No dalej, niech mnie pan odczyta! Gdyby Reich nie zaszył się w Rezerwacie, mógłby nas pan skonfrontować ze sobą...

– Stop! – przerwał jej Powell. Szybko prześliznął się przez barierę świadomości i w ciągu dziesięciu sekund odczytał Duffy dokładnie i skrętnie. Potem odwrócił się i popędził przed siebie.

– Hej! – zawołała Duffy. – Jaki jest werdykt?

– Medal Honorowy! – krzyknął Powell przez ramię. – Przypnę go pani osobiście, jak tylko wyciągnę stamtąd jednego człowieka.

– Ja nie potrzebuję jednego człowieka. Ja chcę pana.

– Oto i pani problem, Duffy. Wystarczy pani ktokolwiek.

– Ktoooo?

– Kto-kol-wiek.

– UPRASZA SIĘ O OGRANICZENIE GŁOŚNYCH ŚMIECHÓW I ROZMÓW.

Powell odnalazł swego sierżanta w znajdującym się na Spacelandzie teatrze Globe, gdzie wspaniała esper-aktorka swoją grą wzruszała tysiące widzów. Zawdzięczała to w równym stopniu telepatycznej umiejętności wyczucia widowni, co swej świetnej technice aktorskiej. Policjant, nieczuły zupełnie na wdzięki gwiazdy, ponurym wzrokiem, twarz po twarzy lustrował widzów. Powell ujął go pod ramię i wyprowadził na zewnątrz.

– Nasz ptaszek uleciał do Rezerwatu – poinformował glinę. – Wziął ze sobą Hassopa. Zabrali również jego bagaż. Wymyślił sobie świetne alibi. Katastrofa poruszyła go do głębi i potrzebny jest mu wypoczynek. I towarzystwo. Wyprzedza nas o osiem godzin.

– Rezerwat? Hmmm... – zastanowił się sierżant. – Dwa i pół tysiąca mil kwadratowych, wypełnionych cholernymi zwierzakami, pośród najrozmaitszych krajobrazów i pogody... Więcej niż można by obejrzeć, gdyby nawet się miało do dyspozycji trzy życia.

– Uważa pan za prawdopodobne, że Hassopowi może przytrafić się jakiś wypadek, o ile już się nie przytrafił?

– Za jego głowę nie dałbym złamanego grosza.

– Jeśli mamy go stamtąd wyciągnąć, musimy wziąć helikopter i szybko przeszukać teren.

– Nic z tego. Na terenie Rezerwatu transport mechaniczny jest niedozwolony.

– Ale to nadzwyczajny wypadek. Staruch Mojżesz musi mieć zeznania Hassopa.

– Proszę bardzo, niech pan spiera się o ten cholerny helikopter z Radą Spacelandu. Może za jakieś trzy do czterech tygodni uda się panu załatwić pozwolenie.

– Do tego czasu na Hassopie zdąży wyrosnąć trawka. A co z radarem i sonarem? Możemy też nadać rysopis i charakterystykę Hassopa poprzez...

– Z tego także nici. Na terenie Rezerwatu zabrania się używania wszelkich urządzeń mechanicznych – oprócz kamer.

– Co, psia krew, jest grane z tym Rezerwatem?

– Stuprocentowa gwarancja autentycznej przyrody dla szurniętych miłośników mocnych wrażeń. Włazi pan tam na własną odpowiedzialność i ryzyko. Element niebezpieczeństwa przydaje pańskiej wycieczce dodatkowego smaczku. Pojmuje pan? Stawia pan czoło żywiołom. Dzikim bestiom. Czuje pan ożywczy powiew pierwotnej dziczy. Powtarzam za specjami od reklamy.

– I cóż tam porabiają ci amatorzy dziczy? Pocierają drewno o drewno?

– Właśnie tak. Przemieszczanie z miejsca na miejsce – wyłącznie pieszo. Żywność zabiera się ze sobą. Bierze się też ekranik ochronny – by turyści nie schrupały niedźwiedzie. Jeśli potrzebne panu ognisko, musi je pan sam rozpalić. Jeśli ma pan ochotę zapolować, trzeba przedtem zrobić sobie odpowiednią broń. To samo z łowieniem ryb. Staje pan oko w oko z przyrodą. A na wypadek gdyby przyroda miała wygrać, zanim pana tam wpuszczą dają do podpisania papierka, na którym odpowiedzialność za wszelkie konsekwencje bierze pan na siebie.

– Jakże więc znajdziemy Hassopa?

– Podpiszemy papierki i potuptamy pieszo.

– We dwójkę? Mamy sami zbadać teren o powierzchni dwu i pół tysiąca mil kwadratowych? Ilu ludzi może mi pan przydzielić?

– Nie wiem, czy wskrobie dziesięciu.

– To i tak dwieście pięćdziesiąt mil kwadratowych na łeb. Nie da rady.

– Może udałoby się przekonać Radę Spacelandu, by... Nie, nawet gdyby chcieli pójść nam na rękę, nie zebralibyśmy ich razem przed upływem tygodnia. Zaraz, zaraz! Czy nie mógłby pan ich tu ściągnąć telepatycznie? Wysłać im pilne wezwania czy coś w tym guście? Czy wy, wnikacze, możecie zrobić taki numer?

– Niestety, możemy tylko odbierać cudze myśli. Nadawać możemy wyłącznie do innych wnikaczy... Zaraz! To jest pomysł!

– Jaki mianowicie?

- Czy człowiek jest urządzeniem mechanicznym?
- W żadnym wypadku!
- A tworem cywilizacji?
- Jeśli nawet, to nie najnowszym.
- No to muszę jak najszybciej porozumieć się z kilkoma osobami – zabieram do Rezerwatu swój prywatny radar.

Nagły przyływ inwencji Powella wzbudził tęsknotę za naturą u wybitnego prawnika, który właśnie przeprowadzał delikatne negocjacje w jednym z luksusowych konferencyjnych hoteli Spacelandu. Te same tęsknoty przejawili: osobisty sekretarz sławnego pisarza, sędzia specjalizujący się w prawie rodzinnym, konsultant Wydziału Zatrudnienia Zjednoczonego Towarzystwa Hotelarskiego, plastik zajmujący się projektowaniem form użytkowych, inżynier od niezawodności urządzeń, przewodniczący Wszechzwiązkowej Komisji Obrony Praw Pracowników, szef cybernetyków Tytana, sekretarz Rady Psychologii Politycznej, dwu urzędujących aktualnie ministrów, pięciu przywódców klubów parlamentarnych i dziesiątki innych, odpoczywających lub pracujących w Spacelandzie esperów.

Cała ta brać stawiła się przy bramie Rezerwatu przepojona podniosłym, świątecznym nastrojem i poczuciem jedności. Ci, których wcześniej uprzedzono za pośrednictwem sieci, mieli ma sobie odzież polową. Pozostali nie zdążyli się przebrać i zdumieni strażnicy przy bramie, sprawdzający bagaże, wytrzeszczali oczy na widok wariata pchającego się do Rezerwatu z plecakiem założonym na frak, przy którym nie brakowało żadnego wymaganego protokołem dyplomatycznym szczegółu. Wszyscy co do jednego miłośnicy przyrody mieli za to dokładne mapy Rezerwatu, podzielone na niewielkie sektory.

Szybko też rozleźli się po całym miniaturowym kontynencie i jego różnych strefach klimatycznych i geograficznych. Powietrze aż buczało, przesycone telepatemami, które sieć żywego radaru przekazywała do Powella zajmującego w niej centralną pozycję.

- *Droga zamknięta. Przede mną pionowe urwisko.*
- *U mnie pada śnieg. Cholernie tu z-z-zimno.*
- *W moim sektorze tylko blocko i (tfu, psiakość!) moskity.*
- *Stop! Link, przede mną ludzie. Sektor dwadzieścia jeden.*
- *Dawać wizję.*

- *Proszę bardzo.*
- *Nie, to nie ci.*
- *Link. Ludzie. Sektor dziewięć.*
- *Wizję proszę.*
- *Oto jest.*
- *Nie, to nie oni.*
- *Ludzie. Sektor siedemnaście.*
- *Dawać wizję.*
- *Psiakrew! To niedźwiedź!*
- *Proszę nie uciekać! Niech pan podejmie negocjacje!*
- *Link, przede mną ludzie. Sektor dwunasty.*
- *Wizja?*
- *Proszę bardzo.*
- *Nie ci.*
- *Aaaapsik!*
- *Śnieżyca?*
- *Nie, deszcz. Leje jak z cebra.*
- *Przed nami ludzie, Link. Sektor czterdziesty pierwszy.*
- *Dajcie wizję.*
- *Proszę.*
- *Nie, to znów nie oni.*
- *Link, jak się łączy po palmach?*
- *Łapie pan pień na przemian rękami i nogami, i wspina się do góry.*
- *Ja nie chcę do góry, ja muszę na dół.*
- *A jak się pan tam dostał, wasza... wysokość?*
- *Nie mam pojęcia. Pomógł mi łoś.*
- *Ludzie przede mną, Link. Sektor trzydziesty siódmy.*
- *Dajcie obraz.*
- *Proszę bardzo.*
- *Nie ci.*
- *Przedem mną kilka osób. Sektor sześćdziesiąty.*

– Dawaj ich tu.

– Oto wizerunki.

– Niech sobie idą.

– Jak długo jeszcze będziemy tak laziali?

– Wyprzedzili nas co najmniej o osiem godzin.

– Wcale nie. Uwaga, wnikacze. Poprawka. Wyruszyli przed ośmiu godzinami, ale niekoniecznie o tyle nas wyprzedzają.

– Może by tak prościej, Link?

– Reich nie musiał dążyć prosto przed siebie. Równie dobrze mógł zatoczyć krąg ku dogodnemu miejscu nie opodal Bramy.

– Dogodnemu do czego?

– Do zabójstwa.

– Przepraszam, że się wtrącam. Jak udobruchać dzikie kocisko, żeby mnie nie zeżarło?

– Niech pan skorzysta ze zdobyczy psychologii politycznej.

– Panie sekretarzu, niech pan uruchomi barierę ochronną.

– Przede mną grupka ludzi. Sektor numer jeden.

– Proszę o wizję, panie cybernetyku.

– Oto jest.

– Niech ich pan minie. To Reich i Hassop.

– coooo?

– Bez paniki. Niech pan nie zwraca na siebie uwagi. Po prostu, zupełnie obojętnie proszę przejść obok. Kiedy zniknie im pan z oczu, proszę skrócić do sektora drugiego. Wszyscy skierują się ku Bramie i wrócą do swoich zajęć. Składam panom serdeczne podziękowania. Od tej pory sam zajmę się całą resztą.

– Link, niech pan dopuści nas do zabawy.

– Nie. Tu potrzebna jest zręczność i finezja. Reich nie powinien domyślić się, że to ja porwałem Hassopa. Wszystko ma wyglądać naturalnie, logicznie i nie wzbudzać podejrzeń. Trzeba wypić jajko, nie tłukąc skorupki.

– Pan zaś, Link, ma po temu kwalifikacje.

– Powell, kto ukradł pogodę?

Oddalający się ku Bramie wnikacze odebrali jeszcze nagłą falę głębokiego zmieszania

i konsternacji.

Ta mila kwadratowa Rezerwatu była dżunglą, przesyconą wilgocią, bagnistą i pokrytą gęstą roślinnością. Po zapadnięciu zmroku Powell ostrożnie podkraść się do migocącego z dala ogniska obozu, który Reich rozbił na polance obok małego jeziora. W wodzie przewalały się hipopotamy i krokodyle, nie brakło w niej też wielkich bawołów bagiennych. Drzewa i okoliczne zarośla również pełne były życia. Cała ta miniaturowa dżungla była majstersztykiem ekologów Rezerwatu, którzy potrafiliby odtworzyć i utrzymać w równowadze środowisko naturalne na łąku szpilki. Ponieważ ich wysiłki uwieńczył pełen sukces, ekran ochronny Reicha pracował pełną parą.

Powell słyszał nieustające brzęczenie moskitów, tłukących się o zewnętrzny skraj bariery, o którą uderzał też z szelestem nieprzerwany deszcz większych owadów. Detektyw nie odważył się włączyć własnego ekranu. Urządzenia te buczały monotennie, a Reich miał świetny słuch. Powell przesunął się o cal do przodu i wyjrzał przez szparę w listowiu.

Hassop był spokojny i rozluźniony, choć oszołomiony nieco obecnością potężnego szefa. Spokój ducha mąciła mu też świadomość, że w jego pojemniku z filmami spoczywa los Bena Reicha. Reich zaś gorączkowo pracował nad prymitywnym, ale mocnym łukiem i obmyślał wypadek, dzięki któremu mógłby pozbyć się Hassopa. Ten właśnie łuk i leżący obok na ziemi pęk strzał o hartowanych w ogniu grotach były przyczyną ośmiogodzinnej zwłoki w planach Reicha. Aby upozorować śmiertelny wypadek na polowaniu, potrzebne jest przede wszystkim polowanie.

Powell podniósł się na kolana i przesunął do przodu, nastroiwszy się na myśli Reicha. Gdy w świadomości Bena zabręczał dzwonek alarmowy, Powell zamarł jak wkopany w ziemię. Reich, z gotowym już łukiem w dłoniach, założywszy na cięciwę pozbawioną piór strzałę, skoczył na równe nogi i wbił wzrok w ciemności.

– Ben, co się stało? – szeptem zapytał Hassop.

– Nie mam pojęcia. Coś tam się czai.

– Niech to licha. Ma pan przecież ekran, prawda?

– A, tak. Ciągle zapominam o jego istnieniu. – Reich ponownie usiadł i podsycił ogień; wcale nie zapomniał o niewidzialnej barierze. To sam instynkt mordercy, czujny jak zawsze, przesyłał mu niejasne ostrzeżenie...

Powell nie mógł nie podziwiać precyzji działania zawiłych mechanizmów obronnych tego

człowieka. Ponownie wyrzwał przez szparę w listowiu. Reich, jak zawsze czując niebezpieczeństwo, odwołał się do muzycznego bloku myślowego. Raz i dwa, i trzy, i cztery. Lubi wezyr bajadery... Głębiej pod tą melodią kipiał szalony wir: narastająca żądza, by zabić... zabić szybko, niezwłocznie i bestialsko... teraz rozedrzeć na sztuki, a o resztę zatroszczyć się później.

Gdy Reich, skupiwszy swe myśli na bijącym jeszcze sercu, które było jego celem, i umyślnie nie patrząc na Hassopa sięgnął po łuk, Powell rzucił się do przodu. Zanim jednak przebiegł niespełna dziesięć stóp, w umyśle Reicha ponownie zadźwięczał dzwonek alarmowy i Ben raz jeszcze poderwał się na równe nogi. Porwał płonące polano z ogniska i cisnął nim w mrok, który skrywał Powella. Pomysł i wykonanie nastąpiły po sobie tak szybko, że detektyw nie zdążył zareagować. Zostałby doskonale oświetlony, gdyby nie to, że Reich zapomniał o barierze. Zatrzymała ona sypiącą skrami gałąź, która nie doleciawszy nawet do połowy dzielącej ją od celu odległości, upadła na ziemię.

– O Chryste! – krzyknął Reich i nagle zwrócił się ku Hassopowi.

– Ben, o co chodzi?

W odpowiedzi Reich dociągnął cięciwę łuku do ucha i skierował grot strzały na Hassopa. Ten poderwał się na równe nogi.

– Ben, niech pan uważa! Celuje pan we mnie!

I gdy Reich wypuścił strzałę, szyfrant nieoczekiwanie dał nura w bok.

– Ben! Na miłość... – W nagłym błysku zrozumienia Hassop pojął, iż strzał nie był dziełem przypadku. Wydał z siebie zduszony wrzask i gdy Reich zakładał na cięciwę następny bełt, Hassop skoczył w mrok. Pędząc na oślep, nadział się na barierę, która jak niewidzialna ściana odrzuciła go w tył. Strzała świsnęła mu koło ucha i pękła z trzaskiem, rozbijając się o zaporę bariery.

– Ben! – kwiknął rozpaczliwie.

– Ty skurwielu! – warknął Reich, po raz trzeci napinając łuk.

Powell skoczył do przodu, docierając do krawędzi zapory, nie mógł jej jednak przekroczyć. Wewnątrz sfery ochronnej Hassop uciekał z wrzaskiem ku jej przeciwległemu skrajowi, podczas gdy Reich czyhający z na wpół napiętą cięciwą zbliżał się ku ofierze, by dokończyć dzieła. Hassop ponownie wpadł na barierę, upadł, odczołgał się i podniósł na nogi, by śmignąć w bok, niczym zapędzony do rogu szczur. Reich nieubłaganie podążał za nim.

– Jezu! – sapnął Powell. Rozpaczliwie szukając wyjścia z sytuacji, cofnął się w mrok.

Wrzaski Hassopa zaniepokoiły dżunglę; detektyw usłyszał gniewny ryk i jego odbijane od drzew echo. Powell przeszedł na odbiór pozazmysłowy – wczuwając się w otoczenie, odbierał je i czytał równocześnie. Wokół siebie wyczuwał wyłącznie zwierzęcy strach, ślepy gniew i niebaczne na nic instynkty. Hipopotamy, mokre i lepkie od błota... krokodyle, tępe, gniewne i głodne... bawoły bagienne, równie swarliwe jak nosorożce i dwukrotnie od nich większe. Z odległości ćwierci mili detektyw odbierał słabsze już sygnały słonia, jelenia wapiti i wielkich kotów.

– Warto spróbować – powiedział sobie Powell. – Muszę zniweczyć tę barierę. To jedyny sposób.

Przesunął swe bloki na najwyższe poziomy, wyzwalał wyłącznie emocje, i zaczął nadawać – *strach, obawa, strach, przerażenie...* sprowadzał wrażenia do ich najbardziej prymitywnych pierwiastków... *Strach. Strach. Przerażenie. Obawa. OBAWA – UCIECZKA – OBAWA – UCIECZKA – PRZERAŻENIE – UCIECZKA!*

Każdy ptak w każdym gnieździe obudził się skrzecząc głośno. Natychmiast wrzaskiem odpowiedziały mały i tysiące gałęzi zatrzęsły się, poruszane przez uciekające w panice zwierzęta. Seria głośnych, mlaskliwych wybuchów oznajmiła światu, iż z jeziora wydostają się ogarnięte ślepą trwogą hipopotamy. Dżunglą wstrząsnęły rozdzierające uszy ryki słoni i przeciągły grzmot, towarzyszący im zbiorowej ucieczce przed siebie. Emisję Powella usłyszał i Reich, który zamarł w miejscu, ignorując uciekającego wciąż i odbijającego się z wrzaskiem od ścian bariery Hassopa.

Pierwsze uderzyły o barierę pędzące przed siebie na oślep hipopotamy. Zaraz za nimi nadziały się na nią bawoły i krokodyle. Potem słonie... wapiti, zebry, gnu... cała ta ciężko łomocząca o ziemię kopytami wataha. Historia Rezerwatu nie notowała jeszcze wybuchu takiej paniki. Ci, którzy projektowali wytrzymałość ekranów ochronnych, nie brali pod uwagę skoncentrowanego naporu takiej masy. Bariera Reicha pękła z trzaskiem, przypominającym dźwięk gniecionego szkła.

Hipopotamy trafiły na ognisko i natychmiast je zdeptały. Powell śmignął wśród ciemności, schwytał Hassopa za ramię i pociągnął oszołomionego mężczyznę ku stosowi pakunków. Trącony kopytem zachwiał się, ale nadal trzymał szyfranta i nie spuszczał z oczu cennego pojemnika z filmami. Wśród pełnych szaleństwa ciemności Powell mógł wyławiać

gorączkowe emisje uciekających w panice zwierząt. Ciągąc za sobą Hassopa, przepychał się na zewnątrz głównego nurtu stada. Ukrył się za grubym pniem chlebowca, gdzie przystanął na chwilę, by złapać dech i ukryć pojemnik w kieszeni. Hassop tylko jęczał. Detektyw wyczuł obecność Reicha – niedoszły zabójca stał w odległości może stu metrów i przyłgnąwszy plecami do pnia chinowca, nadal ścisnął łuk i strzały w zeszywnianych dłoniach. Był zdezorientowany, wściekły i przerażony... a przecież nietknięty. Powell przede wszystkim chciał zachować go przy życiu – dla Przeróbki.

Odczepiwszy swój własny ekran ochronny, detektyw cisnął go ku roztrąconym, tłącym się jeszcze polanom ogniska, gdzie Reich z pewnością go odnajdzie. Następnie odwrócił się i powiodł otępiałego i nie stawiającego oporu szefa Wydziału Szyfrów ku Bramie Rezerwatu.

13

Sprawa Reicha dojrzała już do rozpatrzenia przez biuro Prokuratora Okręgowego. Powell spodziewał się też, że jest już gotowa do zbadania jej przez zimnokrwiste, cyniczne, uznające wyłącznie fakty i dowody monstrum, Starucha Mojżesza.

Cały jego sztab zebrał się w siedzibie Mojżesza. Pośrodku pomieszczenia ustawiono okrągły stół, na którym technicy umieścili przezroczysty model pomieszczeń w Beaumont House, gdzie rozgrywały się omawiane wydarzenia; wewnątrz poruszały się miniaturowe androidy, przedstawiające działania osób, które brały udział w dramacie. W modelarni Wydziału Technicznego wykonano świetną robotę, właśnie charakteryzowano głównych aktorów. Małeńki Reich, Tate, Marie Beaumont i inni poruszali się w sposób, który cechował wzorce. Obok stołu zebrano przygotowaną przez ludzi Powella dokumentację, by w razie potrzeby przedstawić ją maszynie.

Sam Staruch zajmował całą kolistą ścianę wielkiego pomieszczenia. Jego liczne oczy mrugały i spoglądały na pokój zimnym wzrokiem. Niezliczone dyski pamięciowe nieustannie wirowały z charakterystycznym poszumem. Usta, wykonane jako tuba głośnika, były otwarte w sposób, który u człowieka znamionowałby głupotę. Dłonie Starucha, dźwignie wieloczynnościowej drukarki, zamarty nad rolkami taśm, gotowe wystukać pytania lub wyrok. Staruch był Komputerem Śledczym, którego nieodwołalne decyzje nadzorowały przebieg śledztwa, proces i wykonanie wyroku w każdej ze spraw.

– Nie będziemy zawracali Mojżeszowi głowy wstępem – poinformował Powell prokuratora okręgowego. – Przyjrzyjmy się poruszeniom figurek i sprawdźmy ich zgodność ze scenariuszem przestępstwa. Pańscy ludzie mają wszystkie czynności rozpisane w czasie. Proszę po prostu sprawdzać, czy wszystko przebiega tak jak w tym zapisie. Jeśli znajdzie pan coś, czego nie uwzględnili nasi chłopcy, proszę zrobić notatkę i zaraz się tym zajmujemy.

Skinął głową De Santisowi, znękanemu szefowi Wydziału Technicznego, który zapytał scenicznym szeptem:

- Jeden do jednego?
- Nieco za szybko. Niech będzie dwa do jednego. Ruchy zwolnione o połowę.
- W tym tempie androidy będą wyglądały nierealnie – prychnął De Santis. – Nie wykażą swych pełnych możliwości. Tyraliśmy przez dwa tygodnie niczym niewolnicy, a pan tu...

– Niech się pan nie martwi. Pełnię ich zalet będziemy podziwiać nieco później.

Niewiele brakowało, by De Santis się zbuntował, w końcu jednak dotknął przycisku. Model natychmiast rozjarzył się światłami, a laleczki ożyły. Akustycy podłożyli tło dźwiękowe. W pomieszczeniu rozległy się przytłumione dźwięki muzyki, śmiechy i odgłosy rozmów. W głównej hali Beaumont House kukielka Marie powoli wspinała się na podium z małą książką w dłoniach.

– W tej chwili jest tam 11.09 – zwrócił się Powell do współpracowników prokuratora. – Obserwujcie zegar nad modelem. Ustawiono go tak, by szedł równo ze spowolnieniem ruchu.

W zapadłej nagle ciszy zespół prawników obserwował wydarzenia; wszyscy czynili notatki, podczas gdy androidy odtwarzały czynności swych odpowiedników podczas owego feralnego przyjęcia. Marie Beaumont ponownie odczytała więc z podium zasady zabawy w „SARDYNKI”. Światła zaćmiły się i zgasły. Ben Reich powoli przekradł się przez główną salę do sali koncertowej, skręcił w prawo, po schodach dostał się do galerii obrazów, przeszedł przez drzwi wiodące do Apartamentu Orchidei, oślepił i ogłuszył ochroniarzy, aż wreszcie wkroczył do środka.

Ponownie też Reich stanął twarzą w twarz z D’Courtneyem, zwał się z nim, wy dobył z kieszeni śmiertelnością broń i rozchylił ostrzem usta ofiary, podczas gdy słaby i nie stawiający oporu starzec zwisał bezwładnie w jego uścisku. I raz jeszcze drzwi apartamentu otworzyły się nagle, by ukazać Barbarę D’Courtney w śnieżnobiałej przejrzystej tunice. Wraz z Reichem odegrali wszystkie uniki i próby schwytania do chwili, w której Reich nagłym strzałem w usta rozsadził czaszkę D’Courtneya.

– To materiał uzyskany dzięki panie D’Courtney – powiedział półgłosem Powell. – Odczytałem ją. Wszystko odbyło się tak jak w rzeczywistości.

Barbara D’Courtney podczołgała się ku ciału ojca, porwała broń i nagle wybiegła z apartamentu, ścigana przez Reicha. Gonił ją w zaciemnionym domu i zgubił ślad, gdy przez główne wejście wybiegła na ulicę. Potem Reich spotkał się z Tate’em i udając, że bawią się w „SARDYNKI”, razem przeszli do sali projekcyjnej. Akcja rozgrywała się dalej, aż do momentu gdy tłum laleczek wpadł do Apartamentu Nowożeńców, gdzie wszystkie stłoczyły się wokół małego, martwego ciała. Tam zamarli, niczym miniaturowy żywy obraz.

Nastąpiła długa chwila milczenia, podczas której prawnicy przyswajali sobie to, co zobaczyli.

– No dobrze – odezwał się wreszcie Powell. – Tak to się odbyło. Teraz przekażmy dane Mojżeszowi. Po pierwsze, sposobność. Nie zaprzeczycie, że gra w „SARDYNKI” dostarczyła Reichowi wspaniałej okazji.

– Skąd Reich wiedział, że będą bawić się właśnie w „SARDYNKI”? – mruknął prokurator okręgowy.

– Reich kupił książkę i podesłał ją madame Beaumont. Sam dostarczył opis gry.

– A jak przewidział, że Marie spróbuje tej zabawy?

– Wiedział, że uwielbia ona gry i zabawy towarzyskie. „SARDYNKI” były jedynym tekstem nadającym się do odczytania.

– No, nie wiem... – Prokurator podrapał się po głowie. – Mojżesza niełatwo przekonać. Ale dajcie mu to. Na pewno nie zaszkodzi.

Drzwi biura otworzyły się z nagłym trzaskiem i do środka, niczym na paradzie, wmaszerował komisarz Crabbe.

– Panie prefekcie Powell – zwrócił się oficjalnym tonem do detektywa.

– Słucham, panie komisarzu.

Doszły mnie słuchy, że wykorzystuje pan ten tu sztuczny mózg, by oskarżyć mego dobrego przyjaciela, pana Reicha, o okrutne i podstępne zamordowanie Craya D’Courtneya. Panie Powell, takie oskarżenie jest absurdalne. Ben Reich jest wybitnym i szanowanym obywatelem naszego kraju. Co więcej, nigdy nie zgadzałem się z tym mechanicznym mózgiem. Został pan zaakceptowany przez wyborców i powinien pan korzystać z własnego intelektu, a nie jak niewolnik giąć się przed tym...

Powell dał znak Beckowi, który zaczął wprowadzać dane w ucho Starucha.

– Komisarzu, ma pan absolutną rację. Dalej, zastanówmy się nad metodą. Pytanie pierwsze, De Santis: jak Reich unieszkodliwił ochroniarzy?

– Następnie, moi panowie... – ciągnął swoje Crabbe.

– Jonizator rodopsyny – niemal splunął De Santis. Podniósł małą kulkę z plastyku i podał Powellowi, który pokazał ją wszystkim obecnym. – Na użytek prywatnej policji Reicha wynalazł to facet nazwiskiem Jordan. Przygotowałem wzór dla komputera i odtworzyliśmy tę próbkę. Czy ktoś chciałby to wypróbować?

Prokurator okręgowy zrobił minę pełną wątpliwości.

– Nie widzę celu. Mojżesz sam zadecyduje, co począć z tym fantem.

– Ależ proszę pana – odezwał się De Santis ze złośliwą uciechą w głosie. – Nie uwierzy pan, jeśli nie zobaczy na własne oczy. To nie boli. Po prostu na sześć do siedmiu godzin wytrąca pana z...

Plastykowa kulka pękła z trzaskiem w palcach Powella. Tuż przed nosem Crabbe'a błysnęło jaskrawe, błękitne światło. Ten urwał w pół słowa i zapadł się w siebie niczym pusty worek. Powell rozejrzał się dookoła z niekłamanym przerażeniem.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął. – Cóżem uczynił? Ta kulka stopiła się w moich palcach!
– Spojrzał na De Santisa i powiedział: – Powłokę zrobiliście zbyt cienką. Niech pan spojrzy, co się przydarzyło komisarzowi Crabbe.

– Co ja narobiłem!

– Przekażcie te dane Staruchowi – syknął przez zęby hamujący się z trudem prokurator. – To na pewno kupi.

Ciało komisarza ułożono wygodnie w głębokim fotelu.

– Teraz wróćmy do sposobu, w jaki popełniono morderstwo. Zechciejcie panowie obserwować uważnie. Dłoń jest szybsza niż oko. – Pokazał wydobyty z policyjnego muzeum rewolwer. Wyjął naboje z komór i pozbawił pocisku jeden ładunek. – To właśnie uczynił Reich, gdy Jerry Church dał mu broń przed morderstwem. Udawał, że unieszkodliwia naboje. Fałszywe alibi.

– Fałszywe! U licha, ta broń *jest* unieszkodliwiona. Czy to ma być dowód Churcha?

– Owszem. Proszę zajrzeć do pańskiego zapisu przebiegu wydarzeń.

– Nie ma co zawracać głowy Staruchowi tą sprawą – powiedział prokurator z rozczarowaniem, odsuwając od siebie papiery. – Nie mamy nic dla sądu.

– Mamy.

– Jakże można zabić ładunkiem bez pocisku? Pański opis wydarzeń nie wspomina nic o tym, by Reich ponownie nabijał broń.

– A jednak czymś ją nabił.

– Nie! – wyrzucił z siebie De Santis. – Ani w ranie, ani nigdzie w pokoju nie znaleziono pocisku. Nie znaleziono!

– A jednak! W sumie, gdy znalazłem ślad, sprawa okazała się prosta.

– Nie było żadnych śladów! – krzyknął De Santis.

– Jak to nie, przecież sam pan je znalazł, De Santis. Te resztki żelatyny w ustach denata.

Pamięta pan? I żadnego śladu cukierków w żołądku.

De Santis spopielił go wzrokiem, Powell natomiast się uśmiechnął. Wziął zakraplacz do oczu i napełnił kapsułkę żelatyny wodą. Całość wcisnął w otwarty koniec naboju, powyżej ładunku, i włożył nabój do komory. Podniósł broń, wycelował w niewielki kawałek równo przyciętego drewna leżącego na skraju stołu, na którym umieszczono model, i nacisnął spust. Rozległa się głucha, przytłumiona eksplozja i drewnienko rozleciało się na kawałki.

– Na miłość... To dopiero sztuczka! – wykrzyknął prokurator. – W fusce, poza wodą, musiało coś być. – Obejrzał dokładnie pozostałe po drewnienku drzazgi.

– Nie, nie było tam niczego. Ładunkiem prochowym można wystrzelić uncję wody. Woda posiada dostatecznie dużą prędkość wylotową, by rozbić tył czaszki, jeśli strzelić w podniebienie miękkie. Dlatego Reich musiał wypalić w usta ofiary. Dlatego też De Santis znalazł resztki żelatyny. I tłumaczy to, dlaczego nie znalazł niczego więcej. Pocisk po prostu wyparował.

– Dajcie to Staruchowi – łamiącym się głosem powiedział prokurator. – Panie Powell, na Boga, zaczynam skłaniać się ku mniemaniu, że być może zrobimy z tego sprawę.

– Doskonale. Zajmijmy się teraz motywem. Dostaliśmy się do ksiąg rachunkowych Reicha i zajęli się nimi nasi spece od księgowości. D’Courtney przyparł Reicha do muru. Reich uciekł się do zasady „Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich”. Próbował połączyć się z kartelem D’Courtneya. Niestety, nie udało się. Zabił więc D’Courtneya. Godzi się pan z tym?

– Ja owszem, tak. Ale czy przekonacie Starucha? Przekażcie mu wszystko i zobaczymy.

Wprowadzili ostatnie dane i uruchomili właściwy program. Oczy Mojżesza błysnęły i komputer pogrążył się w medytacjach; wewnątrz maszyny coś zahuczało cicho i rozległ się łagodny pomruk dysków pamięciowych. Powell i pozostali czekali z narastającym napięciem. Nieoczekiwanie Staruch czknął. Po cichym PING-PING-PING-PING na dziewiczo czystej karcie papieru pojawił się wydruk.

ZA POZWOLENIEM WYSOKIEGO SĄDU – odpowiadał Staruch – ZGODNIE Z WNIOSKIEM OBRONY POZWANYCH UZNAJE SIĘ WINNYMI O NIEUMYŚLNE SPOWODOWANIE PRZESTĘPSTWA. PODPISY JW. PRECEDENSY – SPRAWA HAY v. COHOES I WYROK W SPRAWIE SHELLEYA.

– Co u licha! – Powell spojrzał na Becka.

– Zaczyna się wygłupiać – wyjaśnił Beck.

– Znalazł sobie porę!

Niekiedy mu odbija. Spróbujemy jeszcze raz. Ponownie napełniono ucho komputera i uruchomiono program. Oczekali dobre pięć minut. Raz jeszcze błysnęły ślepie Mojżesza, zahuczało mu w brzuchu i syknęły dyski pamięciowe. Powell, wraz z obu zespołami, niecierpliwie czekał na wynik. Od tej decyzji zależała ocena miesiąca ciężkiej, żmudnej pracy. W końcu stuknęły dźwignie drukarki. PODSUMOWANIE #921, 088. SEKCJA C-I. MOTYW: – zawyrokował Mojżesz. – NIEDOSTATECZNIE POTWIERDZONE DOKUMENTACJĄ POBUDKI EMOCJONALNE, SPRAWA STAN KALIFORNIA PRZECIWKO HANRAHANOWI. 1202 AKTA SĄDOWE 19. I CAŁY SZEREG PRECEDENSÓW.

– Motywy emocjonalne? – zdumiał się Powell. – Co on, zgłupiał, czy co? Przecież oczywiste są tu pobudki materialne. Beck, proszę sprawdzić C-I.

Beck sprawdził.

– Wszystko w porządku.

– No to spróbujmy jeszcze raz.

Uruchomiono komputer po raz trzeci. Powtórzył swą ocenę prawie co do joty: PODSUMOWANIE #921, 088. MOTYW: NIEDOSTATECZNIE POTWIERDZONE DOKUMENTACJĄ POBUDKI EMOCJONALNE. STAN KALIFORNIA PRZECIWKO ROYAL. 1197 AKTA SĄDOWE 338.

– Czy materiał dla C-I przygotował pan jak należy? – spytał Powell.

– Daliśmy wszystko, co było – odparł Beck.

– Wybaczcie państwo – zwrócił się Powell do pozostałych. – Muszę wymienić myśli z panem Beckiem. Mam nadzieję, że nie poczujecie się dotknięci. – I do Becka: – *Jackson, proszę niczego nie skrywać. W pańskich ostatnich słowach wyczułem pewne niedomówienia. Proszę mnie oświecić...*

– *Link, daję słowo, nie wiem o żadnych...*

– *Gdyby pan wiedział, nie byłoby to niedomówienie, a zwyczajne łgarstwo. A teraz zobaczmy... no tak, oczywiście! Nie powinien pan poczuwać się do winy z powodu niedołęstwa i słabego tempa pracy Wydziału Szyfrów.* – Teraz Powell zwrócił się do obu zespołów: – Pan Beck nie wprowadził pewnych danych. Chłopcy z szyfrówki na górze nadal jeszcze pracują z Hassopem, usiłując złamać prywatny kod Reicha. Jak do tej pory wiemy jedynie, że Reich zaproponował fuzję firm i że mu odmówiono. Nie mamy jednak jeszcze dosłownej treści depeesz. Tego właśnie żąda Mojżesz. Skrupulatna bestia.

– Jeśli nie rozgryźliście szyfru, skąd wiecie, że oferta została złożona i odrzucona? – spytał prokurator.

– Od samego Reicha, dzięki Tate’owi. To była jedna z ostatnich spraw, o których Tate powiedział mi, zanim go zabito. Beck, coś panu proponuję. Niech pan wprowadzi na dyski nasze domysły. Zobaczmy, co Mojżesz sądzi o sprawie, jeśli założymy – a mamy prawo to zrobić – że nasze przypuszczenia o wymianie telegramów są słuszne.

Beck zrobił, co mu polecono, dodał informację do zasadniczych danych i przekazał komputerowi. Mojżesz, który zaznajomił się z problemem już wcześniej, odpowiedział po trzydziestu sekundach: PODSUMOWANIE #921, 088. JEŚLI PRZYJĄĆ NOWE ZAŁOŻENIE, PRAWDOPODOBIENSTWO SUKCESU W SĄDZIE WYNOSI 97,0099%.

W zespole Powella zapanowało odprężenie, co znalazło swój wyraz w uśmiechach. Powell wydarł taśmę z drukarki i eleganckim gestem wręczył ją prokuratorowi.

– Oto pańska sprawa, panie prokuratorze. Podana jak na tacy.

– Na Boga! – odezwał się prokurator. – Dziewięćdziesiąt siedem procent. Nigdy przedtem w całej mojej karierze nie spotkałem się nawet z dziewięćdziesięcioma. Dziewięćdziesiąt siedem procent przeciwko samemu Reichowi! Jezu! – Spojrzał na współpracowników jakby nieco oszołomiony. – Aleśmy się wpakowali w cholerną historię.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do środka wpadli dwaj spoceni ludzie, wymachujący jakimś dokumentem.

– A otóż i sam szyfr – odezwał się Powell. – Rozłożyliście go?

– Owszem – oznajmił jeden z przybyszów. – Pana przy okazji też, panie Powell. I całą sprawę, niestety.

– Co takiego? O czym wy, u diabła, mówicie?

– Reich zamordował D’Courtneya, ponieważ ten nie chciał się zgodzić na fuzję kapitałów, czy nie tak? Miał wspaniałą, przepiękną powód do zabójstwa, prawda? Kiszkę z grochem miał, nie powód.

– Nie! – jęknął Beck.

– Reich wysłał D’Courtneyowi następujący kod: YYJI TTED RRCB UUFE AALK QQBA. Oznacza to: PROPONUJĘ POŁĄCZENIE OBU FIRM NA RÓWNYCH PRAWACH.

– Do cholery, to właśnie powtarzam cały czas. D’Courtney odpowiedział zaś WWHG.

Odmówił. Reich powiadomił o tym Tate'a. Ten zaś powiedział o tym mnie.

– D'Courtney, i owszem, odpowiedział WWHG. Znaczący to PRZYJMUJĘ PROPOZYCJĘ.

– Guzik prawda!

– Właśnie że prawda. WWHG. PRZYJMUJĘ PRO POZYCJĘ. Takiej odpowiedzi Reich oczekiwał. Ta odpowiedź dawała Reichowi wystarczający powód do za chowania D'Courtneya przy życiu. Żadnego sądu w całym systemie słonecznym nie przekona pan, że Reich miał jakiegokolwiek powody, by zamordować starego. Pańską sprawę diabli wzięli.

Powell przez może pół minuty stał jak skamieniały, zacisnął tylko pięści i twarz mu drgała, jakby coś przeżywał. Nagle odwrócił się ku modelowi, sięgnął w głąb i wyjął figurkę Reicha. Gwałtownym szarpnięciem oderwał jej głowę. Podeszedł do Starucha, wyrwał wydruk, zmiął go wściekle i cisnął w kąt pomieszczenia. Następnie skoczył w stronę krzesła, na którym spoczywał bezwładny Crabbe, i wymierzył potężnego kopa w siedzenie. Wszyscy zgromadzeni, milcząc ze zgrozy, patrzyli, jak komisarz wraz z krzesłem wali się na ziemię.

– Niech pana szlag! Wiecznie sterczy pan w tym przeklętym krześle! – załamującym się głosem wrzasnął Powell i jak burza wypadł z pomieszczenia.

EKSPLOZJA! Potężny wybuch! Drzwi celi wypadają z zawiasów. Igdzieś tam, na zewnątrz, otulona w płaszcz mroku, czeka wolność i ucieczka w nieznane...

Ale któż to? Kto stoi tam, za drzwiami? Chryste Panie! Człowiek Bez Twarzy! Patrzy. Czai się. Ogromny. Milczący. Uciekać! Biegiem! W nogi! Precz stąd...

Lot w głąb kosmosu. Jak bezpiecznie czuje się człowiek w samotnym, oznaczonym srebrnymi pasami jachcie, mknącym wprost w nieznaną dal... Luk! Otwiera się na zewnątrz! To przecież niemożliwe! Na jachcie nie ma nikogo, kto mógłby tak powoli i złowieszczo przekręcać rygle... O Boże! Człowiek Bez Twarzy! Patrzy. Ogromnieje. Milczy...

Ależ ja jestem niewinny, Wysoki Sądzie. Niewinny. Nigdy nie udowodnicie mi winy, a ja nigdy nie przestanę zaskarżać wyroku... choćbym miał ogłuchnąć od łomotu sędziowskiego młotka. O Boże! Tam, na ławie! W peruce i todze! Człowiek Bez Twarzy! Patrzy. Przeraża mnie. Siedzi, niczym kwintesencja zemsty...

Łomot młotka okazał się stukaniem knykciami w drzwi kajuty. Zaraz potem usłyszał głos stewarda:

– Mister Reich, jesteśmy nad Nowym Jorkiem. Lądowanie za godzinę. Jesteśmy nad Nowym Jorkiem, mister Reich. – Knykcie nadal wybijają staccato na płycie drzwi.

Reichowi jakoś udało się wycharczeć:

– Dobra, dobra. Słyszę.

Steward odszedł. Reich wygrzebał się z hydropatycznej pościeli i poczuł, iż zawodzą go nogi. W końcu, klnąc własną słabość, oparł się o ścianę i nie bez trudu stanął prosto. Nadal czując na karku tchnienie grozy nocnego koszmaru, przeszedł do łazienki, ogolił się, wziął prysznic i dziesięciominutowy tusz powietrzny. Po tym wszystkim ciągle jeszcze kręciło mu się w głowie. Zajrzał więc do niszy masażu i wcisnął guzik JONIZOWANA SÓL. Jego skórę spryskały dwa funty wilgotnej, wonnej soli. Ale w chwili gdy dźwignie aparatu brały się już do dzieła, Reich nagle zapragnął kawy. Wyszedł więc, by zadzwonić na obsługę.

W tymże samym momencie rozległ się przytłumiony wybuch i eksplozja w niszy rzuciła Reicha na twarz. Po plecach smagnął go deszcz odłamków. Śmignął ku sypialni, porwał bagaż, odwrócił się niczym ścigane zwierzę i automatycznym gestem sięgając do walizki poszukiwał w niej balonów-wybuszek, które zawsze woził ze sobą. Tym razem jednak walizka była pusta.

Jakoś zdołał się opanować. Czuł piekący ból na plecach, w miejscach gdzie sól wgrzyzała się w ranki, czuł też, że krwawi. Ale już nie drżał. Wrócił do łazienki, wyłączył dźwignie masażu i zaczął oglądać rumowisko w niszy. W nocy ktoś wyjął z jego walizy wybuszki i umieścił je po jednym w każdej dźwigni aparatu do masażu. Obok niszy leżały puste pojemniki. Uratował go cud w ostatnim ułamku sekundy... Któż jednak nastawał na jego życie?

Zbadał dokładnie drzwi kabiny. Zamek najwidoczniej rozpracował nie byle spec. Nie pozostawił żadnych śladów manipulacji. Ale kto to zrobił? I dlaczego?

– A to skurczybyk! – warknął Reich. Opanowawszy się wysiłkiem woli, wrócił do łazienki i zmywszy z siebie sól i krew, spryskał plecy żelem. Następnie ubrał się, wypił kawę i zszedł do hali odpraw, gdzie po gwałtownej potyczce z esperami-celnikami (Raz i dwa, i trzy, i cztery, lubi wezyr bajadery...) wsiadł na pokład należącej do firmy raketki, która czekała już, by zabrać go do miasta.

Od razu połączył się z Monarch Tower. Na ekranie pojawiła się twarz jego sekretarki.

– Są jakieś wieści o Hassopie? – spytał Reich.

– Od czasu, kiedy dzwonił pan ze Spacelandu, żadnych.

– Proszę mnie połączyć z Wydziałem Rekreacji.

Na ekranie pojawił się wzorek tła, potem Reich ujrzał lśniąca chromem salę wypoczynku. West, brodaty i przypominający naukowca, starannie wiązał plastikowe teczki zawierające kartki maszynopisów. Wyczuwając obecność szefa na ekranie, spojrzał w górę i uśmiechnął się.

– Halo, Ben.

– I co pana tak rozbawiło, Ellery? – warknął Reich. – Gdzie, do diabła jest Hassop? Myślałem, że...

– Ben, to już nie moje zmartwienie.

– Co to ma znaczyć?

West wskazał na stosy teczek.

– Jak pan widzi, już kończę. To historia mojej służby w firmie Monarch. Do waszych archiwów. Wzmiankowana służba skończyła się dziś rano o dziewiątej.

– Co takiego!?

– To, co pan słyszał. Ostrzegałem, Ben. Zgodnie z decyzją władz Ligi nie pracuję już u pana. Liga uważa, że stosowane przez firmę metody szpiegostwa przemysłowego są niezgodne z zasadami etyki.

– Ellery, niech pan posłucha, nie może pan zrezygnować w tej chwili. Wzięto mnie na muszkę i cholernie potrzebuję pańskiej pomocy. Ktoś usiłował wysadzić mnie w powietrze dziś rano na pokładzie liniowca. Uszedłem grabarzowi spod łopaty – i niewiele brakowało, a byliby mnie dostali. Muszę dowiedzieć się, kim oni są. Potrzebuję usług wnikacza.

– Przykro mi, Ben.

– Nie musi pan pracować dla firmy. Mogę załatwić panu indywidualną umowę na usługi osobiste. Taki sam kontrakt ma Breen.

– Breen? Dwojak? Psychoanalityk?

– Owszem. Mój psychoanalityk.

– Już nie.

– Coooo???

West skinął głową.

– Zarządzenie rozeszło się dziś rano. Ogranicza ono usługi telepatów. Żadnych dochodowych praktyk na boku. Musimy zająć się dobrem większości. Breen już nie pracuje dla pana, Ben.

– To sprawka Powella! – wrzasnął Reich. – Żeby mi dopiec, używa wszelkich brudnych sztuczek, jakie tylko wymyśli jego cwany łeb. Ten podstępny wnikacz, posługując się sprawą D’Courtneya, usiłował niemal mnie ukrzyżować. On...

– Ben, niech pan da spokój. Powell nie ma z tym nic wspólnego. Proszę posłuchać, rozstańmy się jak przyjaciele, zgoda? Zawsze przestrzegaliśmy pewnych form. Trzymajmy się tego i teraz. Co pan na to?

– Idź do diabła! – ryknął Reich i przerwał połączenie. Pilotowi zaś wydał polecenie: – Do domu.

Raz jeszcze budząc w sercach służby nienawiść i przerażenie, wpadł jak bomba do ustawionego na dachu wieżowca domku. Cisnął walizkę służącemu i natychmiast skoczył do apartamentu Breena. Kwatera była pusta. Zwiędła, leżąca na stole notatka powtarzała informację, którą podzielił się z nim już West. Reich ruszył do własnych pokojów, podszedł do wifonu i wybrał numer Gusa Tate’a. Ekran rozjaśnił się, ukazując znaki:

POŁĄCZENIE NA STAŁE PRZERWANE Reich przez chwilę gapił się na napis, potem wybrał numer Jerry Churcha. Ekran znów się rozjaśnił i ponownie przeczytał:

POŁĄCZENIE NA STAŁE PRZERWANE Reich przekreślił wyłącznik i nie bez obawy

przeszedł przez gabinet, podchodząc ku migocącemu w rogu sześcianowi sejfu. Przetawiał fazę zamka i po ukazaniu się przypominającego plaster miodu pojemnika na dokumenty, sięgnął do lewej górnej przegródki po niewielką czerwoną kopertę. Gdy dotykał koperty, usłyszał cichy trzask. Nie czekając na nic, zgiął się wpół i ukrywszy głowę w ramionach, zrobił skręt w tył.

Towarzyszył temu błysk i grzmot eksplozji. Jakaś potężna siła cisnęła Reichem w lewo, przerzuciła go przez całą szerokość pokoju i rąbnęła nim o ścianę. Obok niego zabębnił deszcz fragmentów sejfu. Reich z trudem dźwignął się na nogi, gniewnym rykiem oznajmił światu swój protest i wściekłość, i zdarł z lewego boku resztki ubrania, by zbadać odniesione obrażenia. Okazało się, że jest paskudnie poharatany, a ostry ból przy oddychaniu kazał mu sądzić, iż pękło przynajmniej jedno żebro.

Usłyszał nadbiegającą korytarzem służbę i ryknął:

– Precz! Słyszycie? Won stąd! Wszyscy, co do jednego!

Potyając się przelazł jakoś przez rumowisko i zaczął zbierać resztki sejfu. Znalazł neuronowy dezintegrator, który swego czasu zabrał czerwonoookiej walkirii u Choki Froot. Znalazł złowrogi stalowy kwiat – broń, z której zabił D’Courtneya. W komorach nabojoych tkwiły jeszcze cztery nie wystrzelone łuski, nabite wodą i zapieczętowane żelem. Oba przedmioty Reich wsadził do kieszeni założonej przed chwilą kurtki, wziął z biurka nowe balony-wybuszki i wybiegł z pokoju, ignorując gapiącą się nań w zdumieniu służbę.

Klął wściekle podczas drogi z apartamentów na dachu do piwnicznego garażu, gdzie włożył klucz swego prywatnego skoczka w szczelinę przywoływania i czekał na przybycie małego pojazdu. Gdy wreszcie skoczek się pojawił, do garażu wszedł jeden z mieszkańców drapacza chmur i zatrzymał się w pewnej odległości, by bezwstydnie gapić się na Reicha. Ten przekręcił klucz i jednym szarpnięciem otworzywszy drzwi wozu, szykował się do szybkiego skoku do środka, gdy nagle usłyszał cichy syk ulatującego pod ciśnieniem paliwa. Rzucił się na ziemię w samą porę, by uniknąć skutków eksplozji zbiornika. Na szczęście obyło się bez pożaru, wybuch rozrzucił tylko wokół fragmenty poskręcane metalu. Reich z całą szybkością, na jaką mógł się zdobyć, przeczołgał się ku pochylni wyjściowej i na łeb, na szyję wybiegł z garażu.

Na ulicy, zakrwawiony, w podartym ubraniu i śmierzący kreozotem paliwa, zaczął rozglądać się gorączkowo za skoczkiem komunikacji miejskiej. Automatów nie dostrzegł, ale jakoś udało mu się zatrzymać wóz z kierowcą.

– Dokąd? – spytał tenże.

Reich nie bez zdziwienia spojrział na swoją poplamioną krwią i tłustym olejem odzież, po czym wychrypiął głosem, w którym pobrzmiwały nutki bliskie hysterii:

– Do Chooki Froot!

Taksówka przeniosła go na Bastion West Side 99. Na miejscu Reich odepchnął protestującego odźwiernego, minął urażonych recepcjonistę i dobrze opłacanego prywatnego sekretarza Chooki i wszedł do jej biura, które okazało się pomieszczeniem w stylu wiktoriańskim, pełnym mlecznych lamp, przeładowanych poduszkami sof i barków na kółkach. Za biurkiem, odziana w nieco wyświechtaną podomkę siedziała Chooka Froot. Na widok Reicha właściwa jej twarzy podejrzliwość zmieniła się w przestach. Reich zaś jednym szarpnięciem wydobyl z kieszeni dezintegrator.

– Na miłość boską, panie Reich! – kwiknęła wróżbiarka.

– Oto jestem, Chooka – powiedział mężczyzna ochryplym głosem. – Ale zanim zaczniemy rozgrywkę, pozwólmy sobie na próbny rzut. Raz już użyłem przeciw tobie tego dezintegratora. Aż swędzą mnie dłonie, by spróbować ponownie. I to wyłącznie z twojej winy.

Chooka poderwała się z miejsca i wrzasnęła: – Magda!

Reich chwycił ją za ramię i rzucił przez całą szerokość pokoju. Potknęła się o kanapkę i upadła na nią całym ciężarem ciała. W tejże chwili do biura wpadła czerwonoooka strażniczka. Reich przygotował się już jednak na jej przyjęcie. Trzasnął ją po karku, a gdy poleciała do przodu, popchnął pięścią w plecy i rozciągnął szamoczącą się walkirię na podłodze, przytrzymując stopą. Leżąc jeszcze na ziemi, strażniczka usiłowała odwrócić się i chwycić go za nogę. Reich zignorował ją i jadowitym tonem zadał pytanie wróżbiarce: – No, a teraz bez wykrętów. Po co te bomby?

– O czym pan mówi? – pisnęła Chooka.

– A o czym, do cholery, mam mówić? Niech pani spojrzy na mnie, moja pani. Krew powinna przemówić sama za siebie. Trzy razy ledwie uszedłem z życiem. Czy nadal mam liczyć na szczęście?

– Reich, niech pan przynajmniej wyjaśni...

– Mówię o Pani z Kosą, Chooka. O Śmierci. Kiedy byłem tu ostatnio, przyłożyłem twojej przyjaciółce, a i tobie też się dostało. To cię wkurzyło, postanowiłaś się za to odegrać, no i teraz podkładasz mi te miłe bombki-niespodziewajki, co?

Oszołomiona Chooka potrząsnęła tylko głową.

– Na razie były trzy sztuki. Na statku, podczas powrotu ze Spacelandu. W moim gabinecie. I w moim skoczku. Ile jeszcze tego będzie, Chooka?

– To nie ja, panie Reich. Proszę pomóc mi wstać. Ja...

– To twoja sprawka, nikt inny nie pasuje. Jesteś jedyną osobą, która ma odpowiednie kontakty i która może wynająć ludzi z ferajny. Wszystko się zgadza, nie próbuj przeczyć. – Trzasnął bezpiecznikiem dezintegratora. – Nie mam czasu na użeranie się z drugorzędną starą wiedźmą i stadkiem jej pedałowatych wampirów.

– Na miłość boską! – pisnęła Chooka. – A co, do cholery, ja mam do pana? Odrobinę pan narozrabiał? Przylał pan Magdzie? I co z tego? Nie pan pierwszy i nie ostatni. Niech pan pomyśli!

– Już o tym myślałem. Jeśli nie ty, to kto?

– Keno Quizzard. On też ma kontakty z ferajną. Słyszałam, że on i pan...

– Quizzard wypadł z interesu. Nie żyje. Kto jeszcze?

– Church.

– Brak mu ikry. Jeśli już, to spróbowałby tego dziesięć lat temu. Kto poza nimi?

– A skąd ja mam to wiedzieć? Nienawidzą pana setki ludzi.

– Niechby i tysiące, ale kto z nich potrafiłby dobrać się do mojego sejfu? Kto potrafiłby rozszyfrować kombinację fazy i...

– A może pańskiego sejfu nikt nie ruszał? Może ktoś wziął kombinację z pańskiej głowy? Może...

– Ktoś ją podczytał!

– Owszem. Ktoś ją podczytał. Choćby i sam Church. Skąd pan wie, na ile starcza mu śmiałości? A może jest jakiś inny wnikacz, który chętnie ujrzałby pana w trumnie?

– Boże mój... – wyszeptał Reich. – Mój Boże... Tak!

– Church?

– Nie! Powell.

– Ten gliniarz?

– Owszem, ten gliniarz. Jego Wielbność Lincoln Powell. Jasne! – Teraz słowa wylewały się z ust Reicha wartkim potokiem. – Oczywiście, Powell! Sukinsyn zaczął grać nieczysto, bo zrobiłem go w konia. Nie może zebrać dowodów przeciwko mnie. Nie pozostało mu nic prócz desperackich prób wykończenia mnie minami-pułapkami.

– Oszalał pan, Reich...

– Czyżby? To dlaczego, do cholery, pozbawił mnie usług Ellery Westa i Breena? O, on wie, że jedyną obroną przed takimi zamachami jest towarzystwo wnikacza. To Powell.

– Ale on jest gliną, panie Reich! Gliną!

– A pewnie! – wrzasnął Reich. – Dlaczego by nie? On jest bezpieczny. Któż podejrzewałby policjanta? Pyszny kawał. Sam nie wpadłbym na lepszy pomysł. No, dobra... teraz ja z nim poigram.

Kopnięciem odrzucił precz od siebie czerwonoooką, podszedł do Chooki i jednym szarpnięciem postawił ją na nogi.

– Zadzwoń do Powella.

– Co?

– Zadzwoń do Powella! – ryknął. – Do Lincolna Powella. Zadzwoń do niego do domu. Powiedz mu, żeby natychmiast tu przyszedł.

– Panie Reich, nie...

Potrząsnął nią z całej siły.

– Posłuchaj, kretynko. Właścicielem Bastion West jest kartel D’Courtneya. Stary D’Courtney już nie żyje i kartel przejmę ja, co oznacza, że wejdę w posiadanie Bastionu. Będę również właścicielem tego domu. Twoim też, prawdę mówiąc. Chcesz dalej prowadzić ten interes? Dzwoń do Powella!

Przez chwilę Chooka patrzyła w ożywioną gwałtownymi uczuciami twarz Reicha i używając swych mizernych zdolności usiłowała go odczytać. Potem powoli dotarła do niej prawda jego słów.

– Panie Reich, ale co mu powiedzieć?

– Czekaj chwilę. Zaraz, zaraz... – Reich rozmyślał przez moment, potem wyjął z kieszeni rewolwer i podał go Chooce. – Pokaż mu to. Powiedz mu, że zostawiła to tu dziewczyna D’Courtneya.

– A co to jest?

– Broń, z której zabito D’Courtneya.

– Na miłość... panie Reich!

Reich wybuchnął śmiechem.

– Nic mu z tego nie przyjdzie. Dostanę go, zanim położy na niej łapę. Zadzwoń. Pokaż

mu tę broń. Sprowadź go tu. – Popchnął Chookę do vifonu, ruszył za nią i stanął tak, by nie zobaczył go rozmówca wróżbiarki. Znaczącym gestem podniósł dezintegrator. Chooka pojęła.

Wybrała numer Powella. Na ekranie ukazała się Mary Noyes, która wezwała go po wysłuchaniu Chooki. Ascetyczna twarz prefekta wychudła jeszcze bardziej, a pod jego oczyma pojawiły się głębokie cienie.

– Ja... ja mam coś, co być może zaciekawiliby pana, panie Powell – wyjąkała Chooka. – Znalazłam to po dziewczynie, którą zabrał pan ode mnie. Ona to zostawiła.

– Co mianowicie?

– Broń, z której zabito jej ojca.

– Niemożliwe! – Twarz Powella nagle się ożywiła. – Proszę mi to pokazać.

Chooka podsunęła rewolwer do kamery.

– Wielkie nieba, to ci gratka! – zawołał Powell z entuzjazmem. – Może w końcu uda mi się sklecić jakieś dowody. Proszę pozostać przy aparacie, Chooka. Pędzę co skoczek wyskoczy.

Ekran przygasł. Reich zacisnął zęby, czując w ustach posmak krwi. Odwrócił się, wybiegł szybko z Tęczowego Domu i odnalazł wolnego skoczka na żetony. Wetknął do zamka półkredytowy żeton, otworzył drzwi i wcisnął się do środka. Wystartował przy akompaniamencie wściekłego syku silnika i omal nie rozwalił pojazdu o parapet trzydziestego piętra. Jak przez mgłę, zaświtała mu myśl, że w obecnym stanie nie da sobie rady z pilotowaniem skoczka ani z założeniem pułapki.

Nie próbuj żadnych kombinacji – pomyślał. – Niczego nie planuj. Jesteś urodzonym zabójcą. Pozostaw rzecz instyktom. Po prostu poczekaj i zabij.

Podczas całej drogi ku Hudson Ramp usiłował zapanować nad sobą i nad maszyną, a znalazłszy się nad North River, musiał też walczyć z podstępnyimi, wiejącymi nad rzeką wiatrami. Instykt zabójcy doprowadził go w końcu do niewielkiego ogrodu na tyłach domu Powella, gdzie omal nie rozbił skoczka podczas lądowania. Nie bardzo wiedział, co robić dalej. Gdy wyłamywał uszkodzone drzwi kabiny, usłyszał nagranie z taśmy: – Prosimy o chwilę uwagi. Jest pan odpowiedzialny za wszelkie uszkodzenia pojazdu. Prosimy o pozostawienie nazwiska i adresu przed opuszczeniem wozu. W razie potrzeby zwrócimy się do pana o pokrycie kosztów remontu. Dziękujemy.

– Nie krępujcie się – warknął Reich. – Nie jest to jedyna szkoda, za którą będę odpowiedzialny.

Dał nura pod gałęzie rozrośniętej forsycji i przyczał się, trzymając gotowy do strzału dezintegrator. Z domu wybiegła dziewczyna, która odpowiedziała na wezwanie Chooki, i pobiegła w stronę pojazdu. Reich odczekał jeszcze chwilę. Nie pojawił się nikt więcej. Wyskoczył spod gałęzi; dziewczyna odwróciła się, zanim go usłyszała. Telepatka. Nacisnął spust do pierwszego oporu. Zesztywniała i stanęła, niezdolna do wykonania ruchu.

W momencie gdy miał wcisnąć spust aż do samego końca, ponownie zadziałał instynkt zabójcy. Nagle wpadł mu do głowy pomysł pułapki na Powella: zabij ją wewnątrz domu. Pod jej ciało podłóż kilka wybuszek i zostaw Powellowi. Na smagłej twarzy dziewczyny pojawiły się krople potu. Drgnęły też mięśnie jej szczęk. Reich wziął ją pod ramię i poprzez ogród poprowadził ku domowi. Szła sztywnymi krokami lunatyczki.

Wewnątrz domu Reich przeprowadził ją przez kuchenkę do saloniku. Znalazł długą, nowoczesną plecioną kanapę i usadowił na niej dziewczynę. Opierała się resztkami sił. Reich uśmiechnął się z ponurą satysfakcją, pochylił i pocałował ją w usta.

– Serdeczne pozdrowienia dla Powella – powiedział i unosząc dezintegrator cofnął się o krok. Nagle opuścił broń.

Odniosł wrażenie, że ktoś na niego patrzy.

Udając obojętność, odwrócił się swobodnie i szybkim spojrzeniem omiół cały salon. Nikogo. Ponownie zwrócił się ku dziewczynie.

– To jakaś telepatyczna sztuczka, co? – Znowu uniósł dezintegrator. I znowu go opuścił.

Ktoś go obserwował.

Tym razem dokładnie przeszukał cały salon zaglądając za fotele, poszperał też i w szafach. Nie znalazł nikogo. Sprawdził kuchnię i łazienkę. Były puste. Wrócił więc do salonu i do Mary Noyes. Wpadło mu do głowy, by przeszukać piętro. Podeszedł do schodów, uniósł stopę, by wykonać pierwszy krok – i zamarł jak ogłuszony.

Zobaczył, *kto* go obserwował.

Kłęcząca na szczycie schodów, spoglądając jak dziecko przez słupki poręczy. Ubrana była również jak dziecko w jednoczęściowe śpioszki, włosy miała ściągnięte wstążką na tyle głowy. Patrzyła na niego przekornie, w sposób charakterystyczny dla dzieci. Barbara D’Courtney.

– Cześć – powiedziała. Reich zadrżał.

– Jestem Baba – przedstawiła się.

Reich nieokreślonym gestem wezwał ją ku sobie. Podniosła się natychmiast i uważnie

przytrzymując się poręczy, ruszyła schodami w dół.

– Na dół nie wolno – powiedziała. – Ty jesteś przyjaciel taty?

Reich zaczerpnął tchu.

– Ja... ja... wychrypiał.

– Tata musiał iść – szczebiotała bez troski Barbara. – Ale zajazd wjóci. Sam mi mówił. Jak będę grzeczna, przyniesie mi prezent. Pjóbuję, ale tjudno być grzeczną. A ty, jesteś grzeczny?

– Twój ojciec zaraz wróci? *Twój ojciec!*

Skinęła głową.

– Bawisz się z ciocią Meji? Pocałowałaś ją. Widziałam. Tata też mnie całuje. Lubię, jak mnie całuje. Ciocia lubi, jak ją pocałowałaś? – spojrzała na Reicha, tak jakby powierzała mu wielką tajemnicę. – Jak dojosnę, ożenię się z tatą i będę jego dziewczynką już na zawsze. A ty masz swoją dziewczynkę?

Reich przyciągnął ją do siebie i spojrzał jej w twarz.

– Robisz ze mnie idiotę? – wychrypiał. – Myślisz, że dam się nabrać? Co powiedziałaś Powellowi?

– Że jest moim tatą – odparła. – A jak go pytam, dlaczego nazywam się inaczej niż on, jobi śmieszna minę. A ty jak się nazywasz?

– To ja zadaję pytania! – ryknął Reich. – Co powiedziałaś Powellowi? Myślisz, że nabierzesz kogoś na ten numer? Odpowiadaj!

Spojrzała na niego podejrzliwie i nagle wybuchnęła płaczem, usiłując wyrwać się z jego uchwytu. Trzymał ją jednak mocno.

– Idź sobie! – zanosila się płaczem. – Puszczaj!

– Odpowiesz czy nie?

– Puś mnie!

Zaciągnął ją spod schodów do kanapy, na której nadal jeszcze spoczywała sparaliżowana Mary Noyes. Rzucił dziewczynę obok swej pierwszej ofiary i cofnął się o krok, podnosząc dezintegrator. Nagle dziewczyna uniosła się nieco jakby nasłuchując. Jej twarz utraciła wyraz dziecięcej naiwności: teraz pojawił się na niej wyraz przestachu i napięcia. Nagłym ruchem wyrzuciła nogi przed siebie, zerwała się z kanapki, podbiegła kilka kroków, zatrzymała się raptownie i wyciągnęła rękę, jakby otwierając drzwi. I znów skoczyła przed siebie, szeroko otwierając oczy i potrząsając grzywą żółtych włosów... Poraziła Reicha nagłym błyskiem

nieokiełznanej urody.

– Ojczel! – krzyknęła. – Na miłość boską, ojczel!

Serce Reicha zamarło. Dziewczyna skoczyła ku niemu.

Zrobił krok do przodu, aby ją pochwycić. Ona jednak zatrzymała się nagle, cofnęła i pobiegła w lewo omijając go łukiem, wrzeszcząc dziko i wbijając wzrok w jeden punkt.

– Nie! – darła się. – Nie! Na miłość boską! Ojczel! Reich odwrócił się i sięgnął ku dziewczynie. Tym razem, mimo iż wrzeszczała i szarpała się, udało mu się ją pochwycić. Reich również ryczał na całe gardło. Inagle Barbara znieruchomiała i zakryła uszy dłońmi. Reich ponownie znalazł się w apartamencie dla nowożeńców. Usłyszał strzał i ujrzał krew i mózg wypływające z tyłu głowy D’Courtneya. Wstrząsały nim kurczowe drgawki i musiał puścić dziewczynę. Upadła na kolana i odczołgała się po podłodze. Widział, jak skuliła się za stygnącym ciałem starca.

Reich oddychał z trudem i boleśnie rąbnął pięścią o pięść, starając się odzyskać kontrolę nad ponoszącymi go nerwami. Gdy ucichł krzyk w jego uszach, zwrócił się ku Barbarze, usiłując zebrać myśli i robiąc błyskawiczne poprawki w planach. Nie spodziewał się, że zostanie świadka swych poczynań. Niech diabli wezmą Powella! Trzeba będzie zabić i ją także. Czy uda mu się dokonać podwójnego morderstwa i upozorować... Nie. To nie miało być morderstwo. Pułapka. Cholerny Gus Tate. Czekażże! Nie jesteś przecie w Beaumont House. Jesteś na...

– Hudson Ramp trzydzieści trzy – usłyszał dobiegający go od drzwi wejściowych głos Powella.

Reich odwrócił się błyskawicznie, przykucnął, poderwał dezintegrator do góry i oparł go o łokieć lewej ręki, tak jak uczyli go zawodowcy Quizzarda.

Powell odstąpił w bok.

– Nie radzę – powiedział ostrym tonem.

– Ty sukinsynu! – ryknął Reich. Zwrócił się ku Powellowi, który jednak zdążył przemknąć przed lufą i ponownie uszedł z linii ognia. – Wnikaczu pieprzony! Ty zawszony, wścibski skur...

Nagle Powell zrobił całym ciałem zwód w lewo, zmylił przeciwnika, przyskoczył bliżej i wymierzył krótki, ostry cios w splot nerwowy nad łokciem. Dezintegrator upadł na podłogę. Reich wydał histeryczny wrzask i zaczął walić na oślep: grzmocił pięściami, drapał i bił bykiem klnąc przy tym jak potępieniec. Odpowiedzi Powella były trzy błyskawiczne ciosy: pod ucho

w szyję, w splot słoneczny i w pachwinę przeciwnika. Reich zachłysnął się powietrzem i zatkało go całkowicie. Brocząc krwią z nosa, runął na ziemię i zwymiotował.

– Myślisz, bratku, że ty jeden umiesz się bić? – warknął Powell. Zostawiając przeciwnika, podszedł do Barbary, która nadal klęczała na podłodze, i podniósł ją.

– Wszystko w porządku, Barbaro? – spytał.

– Cześć, tatku. Miałam zły sen.

– Wiem, dziecko. Musiałem ci to zrobić. Chciałem sprawdzić coś, co dotyczy tego tam draba.

– Daj buzi.

Pocałował ją w czoło.

– Szybko rośniesz – uśmiechnął się. – Wczoraj jeszcze gaworzyłaś.

– Josnę, bo obiecałeś na mnie zaczekać.

– Obiecałem. Pójdiesz po schodach sama, czy trzeba cię zanieść... jak wczoraj?

– Mogę sama.

– Doskonale, dziecko. Idź do swego pokoju. Podeszła do schodów, chwyciła mocno za poręcz i ruszyła w górę. Zanim dotarła na szczyt, obejrzała się na Reicha i pokazała mu język. Potem zniknęła. Powell podszedł do Mary Noyes, sprawdził jej puls i ułożył wygodnie na kanapce.

– Pierwszy opór, co? – mruknął. – Bolesne, ale za godzinę jej przejdzie. – Wrócił do Reicha i krzywiąc gniewnie swą szczupłą twarz spojrział na niego z góry. – Powinienem odpłacić panu za Mary, ale jakąż przyniosłoby to korzyść? I tak nie nauczyłby się pan niczego. Choćby nawet pana zatłuc... niczego pan nie pojmie, nieszczęsny skurwielu.

– Zabij mnie! – wycharczał Reich. – Zabij mnie albo pozwól wstać i ja zabiję ciebie!

Powell, nie spuszczaając Reicha z oka, podniósł dezintegrator.

– Proszę spróbować rozluźnić mięśnie. Ten skurecz nie powinien trwać dłużej niż parę sekund. – Przysiadł z dezintegratorem na kolanach. – No cóż, nie wyszło panu. W pięć minut po wyjściu z domu domyśliłem się, że telefon Chooki to oszustwo, które miało wywabić mnie z mieszkania. Oczywiście, to pan ją zmusił.

– Sam pan oszukuje! – wrzasnął Reich. – Pan, z całą tą pańską etyką i mowami o moralności. Pan, z całą tą cholerną...

– Wspomniała o broni, z której zabito D'Courtney'a – mówił dalej Powell, nie zwracając

uwagi na krzyki Reicha. – Zgoda, ale nikt prócz pana i mnie nie wie, czym dokonano morderstwa. Zawróciłem, ale trochę zamarudziłem. Niewiele brakowało, a byłbym się spóźnił. Niech pan już spróbuje wstać. Nie czuje się pan przecież aż tak źle.

Reich podniósł się nie bez trudu, dysząc ciężko. I nagle sięgnął do kieszeni wydobywając balon-wybuszkę. Powell błyskawicznie odchylił się i kopnął Reicha w pierś. Pojemnik frunął w powietrze, a Reich tyłem zwałił się na kanapę.

– Kiedyż ludziska nauczą się, że nie można zaskoczyć wnikacza? – mruknął Powell. Podszedł do leżącego na ziemi ładunku wybuchowego i podniósł go. – Ma pan ze sobą cały arsenał, co? Zachowuje się pan jak człowiek, na którego głowę wyznaczono nagrodę, a nie jak obywatel o nieposzlakowanej opinii. Proszę zauważyć, iż nie użyłem słowa „niewinny”.

– I jak długo pozostanę na wolności? – syknął Reich przez zęby. – Ja też nie mówię o niewinności. Ale kiedy mnie zamkniecie?

– Nigdy. Miałem przeciwko panu niezbite dowody. Każdy szczegół dopięty był na ostatni guzik. Sprawdziłem wszystko teraz, gdy czytałem pana i Barbarę. Wszystko grało prócz jednego drobiazgu – i ten właśnie drobiazg rozwalil mi całość w drobny mak. Panie Reich, jest pan wolnym człowiekiem. Pańska sprawa została zamknięta.

Reich zbaraniał.

– Zamknięta?

– Nie inaczej. Zamknięta z braku dowodów. Jestem skończony. Może pan odłożyć broń, Reich. Może pan zająć się swymi interesami. Nikt już nie będzie pana nachodził.

– Łżecie! To jedna z waszych sztuczek, wy... wnikacze!

– Bzdury. No dobrze, wyłożę rzecz wprost. Wiem o panu wszystko... Wiem, czym przekupił pan Gusa Tate'a... Wiem, co obiecał pan Churchowi... skąd pan wytrzasnął tę grę w SARDYNKI... co pan zrobił z kapsułkami rodopsynowymi (wymyślił je Jordan)... Wiem, że dla stworzenia sobie alibi opróżnił pan ładunki i następnie ponownie uzbroił je pan wodą i żelem... miałem pyszny łańcuch dowodów. Sposób, sposobność... i brak motywu. Sąd wymaga motywu, a ja nie mogłem go przedstawić. Temu właśnie zawdzięcza pan wolność.

– Łże pan!

– Oczywiście, mógłbym oskarżyć pana o włamanie i usiłowanie zabójstwa... ale to za mało. Nie strzelam z wiatrówki do celu, do którego chybiłem z działa. Zresztą i z tego prawdopodobnie pan by się wywinął. Moimi jedynymi świadkami były telepatka i chora

dziewczyna. Ja...

– Łże pan! – ponownie warknął Reich. – Hipokryta! Załgany wnikacz! I ja mam panu uwierzyć? Mam wysłuchać całej reszty? Nie dysponuje pan niczym, Powell. Niczym! Pobitem pana we wszystkim. Oto dlaczego podkładał mi pan te pułapki. Oto dlaczego... – Przerwał nagle i palnął się w czoło. – A ta prawdopodobnie jest najchytrzejsza ze wszystkich. I dałem się nabrać. Ależ cholerny ze mnie dureń! Ale...

– Dość! – uciął nagle Powell. – Nie mogę odczytać umysłu człowieka o tak rozbieganych jak u pana myślach. Co z tymi pułapkami? Niech pan weźmie się w garść.

Reich zaśmiał się złośliwie.

– Jakby pan nie wiedział... Kabina na statku... Sejf... Mój skoczek...

Przez prawie minutę Powell skupił całą swą percepcję na Reichu, czytając go i przetrawiając zdobyte informacje. I nagle twarz wnikacza poblądła, a jego oddech uległ przyspieszeniu.

– Boże mój! – powiedział. – Mój Boże! – poderwał się na równe nogi i zapominając o całym świecie, zaczął przemierzać pokój szybkim krokiem. – Otóż to! Wszystko się zgadza! Staruch miał rację. Pobudki emocjonalne... a myśmy myśleli, że Staruch się wygłupia. I ta wizja syjamskich bliźniąt w umyśle Barbary... Poczucie winy D’Courtneya... Nic dziwnego, że Reich nie mógł strzelić do nas u Chooki Froot. Ale tu już nie chodzi o samo morderstwo. Sprawa sięga głębiej... o wiele głębiej. I kryje w sobie niebezpieczeństwo. Większe, niż byłem w stanie pojąć. – Zatrzymał się, odwrócił i wbił w Reicha pełne nienawiści spojrzenie. – Gdybym mógł pana zabić – zawołał – skreśliłbym panu kark gołymi rękoma! Rozdarłbym pana na kawały, powiesiłbym je na Galaktycznym Stryku, a wszechświat obsypałby mnie błogosławieństwami. Wie pan przynajmniej, jakim jest pan zagrożeniem dla wszystkich? O czymże zresztą mówimy? Czy zaraza wie, jaką jest groźbą? Czy śmierć dręczą wyrzuty sumienia?

Reich milczał i zdumiony gapił się na Powella. Prefekt potrząsnął tylko głową.

– Ale po cóż ja pana pytam? – mruknął jakby do siebie. Nie wie pan, o czym mowa. Nigdy też się pan tego nie dowie. – Podszedł do barku, wyjął dwie ampułki koniaku i obie wsunął w usta Reicha. Reich usiłował je wypluć, ale Powell zwarł mu szczęki.

– Proszę je przełknąć – powiedział ostro. – Chcę, aby pan wziął się w garść i wysłuchał tego, co mu powiem. Może woli pan butylen? Kwas tyrowy? Jakiś narkotyk?

Reich zachłysnął się koniakiem i zaczął wściekle odchrząkiwać. Powell potrząsnął nim,

aby go uspokoić. – Wyjaśnijmy sobie pewne rzeczy – powiedział. – Ukażę panu tyle prawdy, ile potrafi pan pojąć. Proszę przynajmniej spróbować. Sprawa przeciwko panu jest zamknięta. Powodem są te pułapki. Gdybym o nich wiedział, nawet nie podejmowałbym śledztwa. Przełamałbym swe uwarunkowania i zabiłbym pana. Niech pan postara się to pojąć, Reich...

Reich już nie chrząkał.

– Nie mogłem odkryć pobudek zbrodni. Ot, i cały wysiłek na nic. Gdy zaofiarował pan D’Courtneyowi połączenie kapitałów, on przyjął pańską propozycję. Posłał kod WWHG. Oznaczało to zgodę. Nie miał pan powodów, by go zabijać. Przeciwnie, wszystko wskazywało na to, iż w pańskim interesie leży utrzymanie go przy życiu.

Reich zbladł niczym płótno. Pod wpływem rewelacji Powella zakręciło mu się w głowie.

– Nie. Nie. NIE. WWHG oznacza odmowę. Odmowę. Odmowę!

– Zgodę.

– Nie! Ten kutas mi odmówił. On...

– Przyjął ofertę. Gdy dowiedziałem się, że D’Courtney przyjął pańską propozycję, pojąłem, że jestem skończony.

Zrozumiałem, iż żaden sąd nie weźmie tej sprawy. Ale te próby zgładzenia pana przy pomocy mini-pułapek, to nie ja. Nie ja grzebałem przy zamku w pańskiej kabinie. Nie ja podkładałem panu te wybuszki. Nie ja jestem człowiekiem, który usiłuje pana zamordować. Człowiek ów stara się pana zabić, ponieważ wie, że z mojej strony nic już panu nie grozi. Wie, że nie dosięgnie pana Przeróbka. Zawsze też wiedział to, co ja odkryłem dopiero teraz – jest pan śmiertelnym zagrożeniem dla naszej przyszłości.

Reich usiłował coś powiedzieć. Czyniąc rękoma jakieś nieokreślone gesty, z trudem dźwignął się z sofy. Wreszcie udało mu się wycharzczyć:

– Kto... kto to taki?

– Pański stary wróg, Reich. Człowiek, przed którym pan nie ucieknie. Nigdy nie zdoła mu pan ująć... nigdzie się pan przed nim nie skryje... i błagam Boga, aby nigdy nie wyzwolił pana od prześladowcy.

– Ale kto, Powell? KTO TO JEST?!!

– Człowiek Bez Twarzy.

Reich wydał z siebie stłumiony okrzyk przerażenia. Potem odwrócił się i chwiejnym krokiem opuścił dom Powella.

Raz i dwa, i trzy, i cztery,

Lubi wezyr bajadery

Raz i dwa, i trzy, i cztery.

Raz i dwa, i trzy, i cztery.

Raz i dwa...

– Milczeć! – wrzasnął Reich. Trzy i cztery, pięć i sześć Na miłość boską! Zamknij się!

Lubi wezyr...

– Musisz to przemyśleć. Dlaczego działasz nierozważnie? Co się z tobą dzieje? Dlaczego nie myślisz?

Trzy i cztery, pięć i sześć...

– Łgał. Wiesz o tym, że łgał. Miałeś rację od początku. Największa ze wszystkich pułapek. WWHG. Odmowa. Ale dlaczego kłamał? Co na tym zyska?

– ...dobrze zjeść.

– Człowiek Bez Twarzy. Mógł mu o nim powiedzieć Breen. Mógł mu powiedzieć Gus Tate. Sam pomyśl!

– Raz i dwa...

– Człowiek Bez Twarzy nie istnieje. To tylko sen. Nocny koszmar!

– ...i trzy, i cztery.

– A te pułapki? Co z pułapkami? Mógł mnie załatwić tam, u siebie w domu. Dlaczego nie nacisnął spustu? Powiedział, że jestem wolny. Co on kombinuje? Myśl!

– Lubi wezyr...

Czyjaś dłoń dotknęła jego ramienia.

– Panie Reich?

– Co znowu?

– Panie Reich!

– Co jest? Kto taki?

Reich odzyskiwał zdolność widzenia. Zdał sobie sprawę z tego, że oblewają go strumieniem rześkiego deszczu. Leżał na boku, z podciągniętymi kolanami, obejmując je ramionami i wtuliwszy policzek w blokco. Był przemoczony i drżał z zimna. Znajdował się na

placyku przy Bomb Inlet. Wokół niego szumiały smagane ulewą drzewa. Nad nim samym pochylał się jakiś człowiek.

– Kim pan jest?

– To ja, panie Reich. Galen Chervil.

– Kto?

– Galen Chervil, sir. Poznaliśmy się na przyjęciu u Marie Beaumont. Czy mogę wyświadczyć panu przysługę?

– Niech mnie pan nie czyta!

– Nie czytam pana, panie Reich. Zazwyczaj tego nie... – Młody Chervil wziął się w garść.

– Nie wiedziałem, iż zdaje pan sobie sprawę z tego, że jestem telepatą. Niech pan lepiej wstanie, sir.

Ujął Reicha za ramię i pociągnął. Reich jęknął i szarpnąwszy się w dół, uwolnił rękę. Młody Chendl wziął go za ramiona i podniósł, wytrzeszczając oczy na przerażający widok, jaki przedstawiał sobą Reich.

– Panie Reich, czy pana napadnięto?

– Co? Nie. Nie...

– Miał pan wypadek?

– Nie. Nie. Ja... Och, na Boga! – wybuchnął Reich. – Idź pan w cholerę!

– Jak pan sobie życzy, sir. Myślałem, że potrzebuje pan pomocy, a ponieważ winien jestem panu uprzejmość...

– Proszę zaczekać – przerwał mu Reich. – Niechże pan wraca. – Objął pień drzewa i oparł się, ciężko dysząc. Wreszcie zdołał stanąć prosto i spojrzał na Chervilla nabiegłymi krwią oczyma. – Powiada pan, że jest mi winien przysługę?

– Oczywiście.

– Bez żadnych pytań? Nie rozpowie pan nikomu?

– Jakżeby inaczej, panie Reich.

– Chodzi o morderstwo, Chervil. Chcę się dowiedzieć, kto próbuje mnie zabić. Czy zrobi mi pan tę uprzejmość? Odczyta pan kogoś dla mnie?

– Sądzę, że taką sprawą powinna zająć się policja...

– Policja? – Reich zaśmiał się histerycznie, potem szarpnięty bólem złamanego zębra objął ramionami zboląłą klatkę piersiową. – Chervil, chciałbym, by odczytał pan dla mnie

jednego gliniarza. Ważnego gliniarza. Gliniarza-komisarza. Pojmuje pan? – Puścił drzewo, którego się trzymał, i nachylił ku Chendlowi. – Chciałbym odwiedzić mojego przyjaciela, komisarza, i zadać mu parę pytań. Aby upewnić się, że mówi prawdę, chciałbym, aby mi pan towarzyszył. Czy zechce pan udać się ze mną do biura Crabbe'a i odczytać go dla mnie? Czy zrobi pan to, a następnie zapomni o całej sprawie?

– Owszem, panie Reich... zrobię to.

– Proszę, proszę. Wnikacz posiadający honor. I co z takim począć? No dobra, zabierajmy się stąd.

Krzywiąc się niemiłosiernie z bólu, Reich jakoś przebrnął przez placyk. Za nim szedł Chervil, oszołomiony siłą furii tego człowieka, furii, która mimo ran, gorączki i bólu przywiodła Reicha do budynku Komendy Policji. Tam, niczym rozjuszony byk, przebił się przez szeregi urzędników i ochroniarzy, aż wreszcie zakrwawiony i umazany błotem wpadł jak bomba do eleganckiego, zdobnego hebanem i srebrem gabinetu Crabbe'a.

– Mocny Boże, co widzę? – komisarz zbladł jak ściana. – Pan Reich? Czy mnie oczy nie mylą?

– Chervil, niech pan siada – powiedział Reich. I zwracając się do Crabbe'a dodał: – To ja. Niech pan dobrze mnie sobie obejrzy, Crabbe. Jestem na wpół żywy. To czerwone to krew. Reszta jest białym. Przeżyłem wspaniały dzień... dzień wprost cudowny... i, do cholery, chciałbym wiedzieć, gdzie podziewała się w tym czasie policja? Gdzie jest wasz Bóg Wszechmogący, prefekt Powell? Gdzie wasi...

– Na wpół żywy? Ben, o czym pan mówi?

– Mówię o tym, że dziś trzykrotnie omal mnie nie zabito. Ten chłopiec... – Reich wskazał Chervila – ten chłopiec znalazł mnie właśnie na Inlet Esplanade, bliskiego śmierci. Niech pan na mnie spojrzy. Na miłość boską, niech pan tylko na mnie spojrzy!

– Omal pana nie zabito! – Crabbe ze zrozumieniem łupnął pięścią w stół. – Oczywiście! Ten Powell jest dumniem! Nie powinienem był go słuchać. Człowiek, który zabił D'Courtneya, usiłuje teraz zabić pana.

Za jego plecami Reich gwałtownie dał znak Chervilowi.

– Mówiłem Powellowi, że jest pan niewinny. Nie chciał słuchać – ciągnął Crabbe. – Nawet kiedy ta piekielna machina w biurze prokuratora okręgowego orzekła, że jest pan niewinny, też niczego nie dał sobie powiedzieć.

– Machina orzekła, że jestem niewinny?

– Oczywiście! Sprawa przeciwko panu upadła. Nigdy nie wysuwano przeciw panu żadnych zarzutów. A teraz, na Księżę Ustaw, będzie pan miał przed tym mordercą ochronę, na jaką zasługuje każdy praworządny obywatel. Zadbam o to niezwłocznie. – Crabbe ruszył ku drzwiom. – I mniemam, że powinienem wreszcie na dobre usadzić pana Powella! Ben, proszę zostać. Chciałbym z panem pomówić o pańskim poparciu w wyborach do Senatu Systemu Słonecznego...

Drzwi trzasnęły i zostali sami. Reichowi zakręciło się w głowie i musiał zrobić niemały wysiłek, by nie stracić przytomności. Przed sobą widział trzech Chervilów.

– No i co? – wymamrotał. – No i co?

– On mówi prawdę, panie Reich.

– O mnie? I o Powellu?

– Jak by to wyrazić... – Chervil zamyślił się, ważąc odpowiedź.

– No, na co pan czeka – jęknął Reich. – Myśli pan, że długo tak wytrzymam? Łeb mi pęka...

– Powiedział prawdę, jeśli idzie o pana – padła natychmiastowa odpowiedź. – Komputer śledczy odmówił zatwierdzenia jakichkolwiek oskarżeń przeciwko panu w związku z morderstwem D’Courtneya. Pan Powell zmuszony został do zamknięcia tej sprawy i... no cóż... można by rzec, że jego kariera jest w sporym niebezpieczeństwie.

– Czy to prawda? – Reich chwiejnym krokiem podszedł do chłopca i chwycił go za ramiona. – Chervil, czy to prawda? Zostałem oczyszczony z zarzutów? Mogę wracać do interesów? Nikt nie będzie mnie niepokoił?

– Zaniechano oskarżeń, panie Reich. Może pan wracać do swoich spraw. Nikt nie będzie pana niepokoił.

Reich ryknął triumfalnym śmiechem. Zapłacił za to jękiem, gdy zmaltretowane ciało i złamane zebro przypomniały o swoim istnieniu; w jego oczach pojawiły się łzy. Wziął się jednak w garść, kulejąc ominął Chervila i wyszedł z biura komisarza. Gdy tak na przemian śmiejąc się i jęcząc człapał korytarzami gmachu Komendy Policji, umazany we krwi i błocie, a jednak dumny i arogancki, przypominał łowcę neandertalczyka. Dla dopełnienia obrazu brakowało tylko jeleniej tuszy na jego barkach lub niesionego przed nim triumfalnie ubitego przezeń niedźwiedzia jaskiniowego.

– Uzupełnię kolekcję głową Powella – powiedział sobie. – Zakonserwowaną i wiszącą u mnie na ścianie z trofeami. Wizerunku dopełni też kartel D’Courtneya w mojej kieszeni. Na Boga, dajcie mi czas, a wpakuję tam całą Galaktykę!

Przeszedłszy pod stalowym portykiem komendy, zatrzymał się na chwilę u szczytu schodów i spojrzał na smagane deszczem ulice... na centrum rozrywkowe po drugiej stronie placu, oślepiające neonami i pokryte przezroczystą kopułą... Na sklepiki pod otwartym niebem, ciągnące się wzdłuż wyżej położonych ciągów dla pieszych, pulsujące teraz życiem, ponieważ zaczynała się pora wieczornych zakupów... Na wzniesione nieco dalej i rysujące się w tle dwustupiętrowe biurowce i wiążącą je ze sobą azurową sieć podniebnych przejść... i na migające wśród tego wszystkiego pozycyjne światła skoczków, unoszących się i opadających niczym stado purpurowookich koników polnych.

– Będziesz mój! – krzyknął unosząc ramiona, jakby chciał nimi objąć wszechświat. – Będę miał was wszystkich! Wezmę wasze ciała, dusze i pasje!

I wtedy ujrzał wysoką, znajomą i złowrogą sylwetkę człowieka, który równym krokiem przecinał plac obserwując go ukradkiem znad ramienia. Widział tylko mroczną figurę i lśniące na niej krople deszczu... Nieznajomy obserwował go w milczeniu, groźny, przerażający... straszny...

Człowiek Bez Twarzy.

Wydawszy zduszony okrzyk Reich, którego zawiodły wreszcie stalowe nerwy, runął na ziemię niczym powalone piorunem drzewo.

Dziesięciu z piętnastu członków Naczelnej Rady Ligi Esperów zebrało się w biurze przewodniczącego T’Sunga za minutę dziewiątą. Zeszli się tu, by rozważyć sprawę niezwyklej wagi. Minutę po dziewiątej zebranie zostało zamknięte, a sprawa załatwiona. Podczas tych stu dwudziestu esper-sekund zaszło, co następuje:

Stuk młotka przewodniczącego.

Wizerunek tarczy zegara.

Mała wskazówka na 9.

Duża na pozycji 59.

Sekundowa na 60.

POSIEDZENIE NADZWYCZAJNE Cel: rozpatrzenie żądania Lincolna Powella o Zbiorowy Katheksis. Rolę ludzkiego przekaźnika ukrytej energii podczas całego procesu Powell

rezerwuje dla siebie. (Ogólna konsternacja)

T'Sung: – Powell, żartuje pan, jak sędzę. Jak może pan żądać czegoś podobnego? Co spowodowało wysunięcie tak nadzwyczajnej i niebezpiecznej propozycji?

Powell: – Zdumiewające odkrycie, dokonane przeze mnie podczas badania sprawy D'Courtneya. Chciałbym, byście państwo zapoznali się z tym, na co trafiłem.

(Członkowie Rady badają odkrycie Powella)

Powell: – Wszyscy wiecie, że Reich jest najbardziej zaciekłym i niebezpiecznym spośród naszych wrogów. Popiera prowadzoną przeciwko nam kampanię kłamstw i oszczerstw. Jeśli nie powstrzyma się tego procesu, grozi nam los, jaki już kilkakrotnie w historii przypadł w udziale znieprawdzonej mniejszości. @kins: – To bardzo prawdopodobne, Powell: – Reich popiera również Związek Esper Patriotów. Jeśli nie zneutralizuje się wpływów tej organizacji, pogrążymy się w chaosie walk wewnętrznych i na wieki całe ugrzęźniemy w bagnie sporów frakcyjnych.

Franion: – To też prawda.

Powell: – Jest w tym wszystkim, jak przekonaliście się państwo przed chwilą, dodatkowy czynnik. W najbliższej przyszłości Reich stanie się najbardziej wpływową osobistością w Galaktyce. Będzie kluczowym ogniwem pomiędzy znaną nam przeszłością i jeszcze nie określoną przyszłością. Już wkrótce jego osobowość przeobrazi się – i to dość radykalnie. Liczy się każda sekunda. Jeśli Reich dokona przemiany wewnętrznej, zanim zdołamy na niego wpłynąć, odrzuci naszą rzeczywistość, uodporni się na nasze ataki i przekształci w śmiertelnego wroga zarówno rzeczywistości, jak i tych, którzy ją akceptują zgodnie z rozumem.

(Ogólne zaniepokojenie) @kins: – Doprawdy, Powell, raczysz chyba przesadzać.

Powell: – Czyżby? Proszę więc, zastanówmy się nad sytuacją wspólnie. Przyjrzyjcie się pozycji, jaką zajmuje Reich w czasie i przestrzeni. Czy jego przekonania nie staną się przekonaniem całego świata? Czy jego sposób widzenia rzeczywistości nie stanie się sposobem postrzegania jej przez cały świat? Czy nie może on, posługując się swą wyjątkową pozycją, władzą i swym intelektem, zniszczyć nas całkowicie i nieodwołalnie?

(Zebrani przekonują się o słuszności wyводу Powella)

T'Sung: – Wszystko to prawda. Niechętnie jednak udzieliłbym zgody na uciekanie się do Zbiorowego Katheksisu. Zebrani zechcą sobie przypomnieć, że podczas przeprowadzanych w przeszłości prób ludzki przekaznik nieuchronnie ulegał zagładzie. Powell, jest pan zbyt cenny dla nas, byśmy pogodzili się z perspektywą pańskiej śmierci.

Powell: – *Musicie pozwolić mi podjąć to ryzyko. Reich jest jednym z tych nielicznych, którym dano wstrząsać podstawami wszechświata... na razie nie dojrzał jeszcze do tej roli, ale chwila jest bliska. Esperzy, ludzie normalni, Życie, Ziemia, System Słoneczny, cały świat, jaki znamy, cała nasza rzeczywistość – wszystko to w szczególny sposób zależne jest od momentu, w którym Reich dorośnie do swej roli. Nie wolno nam na to pozwolić. Proszę o przegłosowanie mojej propozycji.* @kins: – *Prosisz, byśmy głosowali na twoją śmierć.*

Powell: – *Stawką jest moja śmierć, przeciwko śmierci wszystkiego co nam bliskie i znajome. Proszę o głosowanie.* @kins: – *Niech sobie Reich dojrzewa, jak chce. Uprzedzeni, znajdziemy czas i miejsce, by zaatakować go w innym punkcie krytycznym.*

Powell: – *Wniosek! Żądam głosowania!*

(Wniosek został przyjęty)

Spotkanie zakończono.

Wizerunek tarczy zegara.

Wskazówka duża na 9.

Mała na 01.

Sekundowa wskazuje Przeróbkę.

Godzinę później Powell był już w domu. Przedtem sporządził testament, pospłacał rachunki, podpisał dokumenty i pozalatał wszystkie sprawy. W Lidze panował nastrój przygnębienia. Ta sama atmosfera powitała go w domu. Gdy tylko wszedł do pokoju, Mary Noyes wyczytała z jego umysłu decyzję, którą podjął. – *Link!*

– *Daj spokój, Mary. To konieczne.*

– *Ale...*

Istnieje możliwość, że wyjdę z tego cało. A... omal nie zapomniałem. Laboratorium domaga się autopsji mózgu natychmiast po mojej śmierci... o ile umrę. Podpisałem odpowiednie dokumenty, ale chciałbym, abyś im pomogła, gdyby zaistniały jakieś problemy. Chcieliby mieć ciało, zanim nastąpi zeszywnienie zwłok. Jeśli się nie zachowa, niech dostaną choć głowę. Zadbaj o to, zgoda?

– *Link!*

– *Wybacz, proszę. Teraz spakuj małą i odwieź ją do Kingston Hospital. Tu grozi jej niebezpieczeństwo.*

– *Ona nie jest już dzieckiem. Ona...*

Mary odwróciła się i pobiegła schodami w górę, zostawiając za sobą dobrze już znany Powellowi impuls zmysłów: śnieg/mięta/tulipany/tafta... teraz zmieszany jeszcze z przestrachem i łzami. Lincoln westchnął i zaraz potem uśmiechnął się, gdy na szczycie schodów ukazała się nastolatka, która przybrawszy dumną pozę, zaczęła schodzić w dół, wdzięcznie kołysząc biodrami. Miała na sobie strojną suknię, a jej twarz była samym zdumieniem i zachwytem. Przeszedłszy połowę drogi zatrzymała się, pozwalając mu podziwiać kreację i wdzięk, z jakim ją nosiła.

– Hej! Mister Powell, czy tak?

– We własnej osobie. Dzień dobry, Barbaro.

– I cóż pana sprowadza do naszego domku tak wczesnym rankiem? – muskając poręcz koniuszkami palców sfrunęła na dół, ale potknęła się na ostatnim stopniu. – Oj! – pisnęła. – Pip.

– Pop – odpowiedział Powell podtrzymując ją.

– Bim.

– Barn.

Spojrzała na niego spod rzęs.

– Proszę tu zostać i nie ruszać się. Zejdę po tych schodach jeszcze raz, bezbłędnie.

– Założę się, że nic z tego.

Odwróciła się, wbiegła po schodach do góry i zatrzymała się na najwyższym stopniu, ponownie przybierając dumną pozę.

– Drogi panie Powell, musi pan uważać mnie za okropnie roztrzepaną osobkę... – dostojnym krokiem ruszyła w dół. – Mniemam jednak, iż zamieni pan zdanie. Nie jestem już dzieckiem, którym byłam zaledwie wczoraj. Postarzałam się o całe wieki. Od tej chwili proszę mnie traktować jak osobę dorosłą. – Udało się jej bez wypadku pokonać ostatni stopień i spojrzała pytająco na Powella. – „Zamienić zdanie”. Dobrze powiedziałam?

– Moja droga, lepiej brzmi „zmienić zdanie”.

– Sądziłam, że to właściwiej oddaje znaczenie. – Nieoczekiwanie roześmiała się, popchnęła go na krzesło i z rozmachem usiadła mu na kolanach. Powell jęknął.

– Barbaro, nie tak energicznie. Jesteś dorosła i ważysz o parę funtów więcej.

– Posłuchaj – powiedziała. – Czy nie wiesz, skąd wziął mi się pomysł, by uważać cię za ojca?

– A co, nie podobam ci się jako tatko?

– No nie, bądź szczery. Naprawdę szczery.

– Postaram się.

– Czy uczucia, które żywisz dla mnie, są wyłącznie ojcowskie? Bo ja czuję do ciebie coś, co nie jest uczuciem córki do ojca.

– Co mianowicie?

– Pytałam pierwsza.

– No cóż, kocham cię, jak dobry i posłuszny syn kocha swą matkę.

– Bądźże poważny.

– Postanowiłem sobie, że dopóki Vulkan nie zajmie należnego mu miejsca we Wspólnocie Planet, każdą kobietę będę traktował jak własną matkę.

Zaczerwieniła się z gniewu i wstała z jego kolan.

– Chciałam, żebyś potraktował mnie poważnie, bo potrzebna mi rada. Ale jeśli wolisz...

– Przepraszam, Barbaro. O co chodzi?

Uklękła obok niego i wzięła go za rękę.

– Sama nie wiem. Mam przez ciebie straszny zamęt w głowie.

– Przeze mnie?

Spojrzała mu wprost w oczy, tak bezpośrednio, jak to potrafią tylko bardzo młode osoby.

– No, wiesz.

Po chwili namysłu skinął głową.

– Owszem.

– Ty też masz zamęt w głowie przeze mnie. Nie próbuj przeczyć.

– Nie będę próbował, Barbaro. To prawda.

– Czy to źle?

Powell nie bez trudu dźwignął się z krzesła i niczym wcielenie nieszczęścia zaczął przemierzać pokój.

– Nie, Barbaro, nie ma w tym nic złego. Problem w tym, że wszystko zdarzyło się fatalnie... nie w porę.

– Może mi to wyjaśnisz?

– Wyjaśnić ci? A tak, sądzę, że powinienem... Ujmę rzecz tak. Nas dwoje – to czworo ludzi. Pomyśl o mnie jako o dwu osobach, i o sobie pomyśl w ten sam sposób.

– Dlaczego?

– Byłaś chora, skarbie. Musieliśmy cofnąć cię aż do dzieciństwa i pozwolić ci dorastać. Oto dlaczego jesteś dwiema osobami. Zewnętrznie jesteś dorosłą Barbarą, wewnątrz zaś jesteś jeszcze dzieckiem.

– A co z tobą?

– Ja... to dwu dorosłych facetów. Jednego widzisz przed sobą. Drugi... jest członkiem Rady Naczelnej Ligi Esperów.

– Z czym to się je?

– Nieważne. Sęk w tym, że ta moja druga osobowość wszystko mi pomieszała. Bóg jeden wie, czy w głębi ducha też nie jestem dzieckiem. Sam już nie wiem.

Starannie przemyślała to, co usłyszała, i ważąc słowa zadała mu pytanie:

– Kiedy myślę o tobie inaczej, niż córka myśli o ojcu, to która z nas dwu to czuje?

– Nie wiem, Barbaro.

– Ależ wiesz. Dlaczego nie chcesz mi tego powiedzieć? – podeszła bliżej i objęła go za szyję, dojrzała kobieta o manierach dziecka. – Jeśli to nic złego, dlaczego nie chcesz o tym mówić? Jeśli ja cię kocham...

– Czy ktoś tu mówił o miłości?!

– Ależ cały czas mówimy właśnie o niej, prawda? Ja kocham ciebie, a ty kochasz mnie.

A może nie?

– *No tak* – pomyślał zrozpaczony Powell. – *Tylko tego ci brakowało. I co poczniesz z tym fantem? Przyznasz jej rację?*

– *Ależ tak!* – doleciało go z pięterka. Schodziła stamtąd Mary trzymająca w ręku walizeczkę. – *Spójrz prawdzie w oczy.*

– *Ona nie jest telepatką!*

– *Gwizdać na to! Jest kobietą, która cię kocha. A ty kochasz ją. Link, proszę, podaruj sobie choć szansę.*

– *Szansę na co? Na romans, o ile wyjdę cało ze sprawy Reicha? To wszystko, co mogę jej ofiarować. Wiesz, że Liga nie pozwala nam poślubiać normalnych ludzi.*

– *Ona nie chce niczego więcej. Będzie wdzięczna i za to. Zapytaj mnie. Ja to znam.*

– *A jeśli zginę... Przecież nie pozostanie jej nic... nic prócz niejasnych wspomnień o nieokreślonej miłości.*

– Nie, Barbaro – powiedział na głos. – To nie tak.

– Właśnie że tak! – upierała się. – Właśnie że tak!

– Nie. Teraz przemawia przez ciebie dziewczynka. Dziewczynka, która myśli, że kocha się we mnie. Kobieta mnie nie kocha.

– Dziewczynka dorośnie i stanie się kobietą.

– I zapomni, że mnie kochała.

– No to zadbaj, by pamiętała.

– Dlaczegoż miałbym to robić?

– Bo czujesz do mnie to samo. Wiem, że się nie mylę. Powell wybuchnął śmiechem. – Ależ dziecko! Skąd przyszło ci do głowy, że kocham cię inaczej niż ojciec córkę? Mylisz się. Po prostu się mylisz.

– Właśnie że nie!

– Barbaro, spójrz prawdzie w oczy. Popatrz na mnie i na Mary. Jesteś już dorosła, prawda? Nie pojmujesz? Czy muszę wyjaśniać to, co oczywiste?

– *Link, na miłość boską!*

– *Mary, wybacz. Musiałem posłużyć się tobą.*

– *Zamierzam pozostawić cię samemu sobie... Może na zawsze... Nie mogłeś mi tego oszczędzić? Czy nie dosyć już wycierpiałam?*

– *Cyt, moja droga. Nie szalej.*

Barbara spojrzała na Powella, potem na Mary. Wolno potrząsnęła głową.

– Kłamiesz!

– Naprawdę? Ejże, spójrz na mnie. – Położył dłonie na jej ramionach i zajrzał w oczy. W tej chwili przydały mu się doświadczenia Niegodziwego Abe'a. Przywołał na twarz wyraz, który łączył w sobie uprzejme zainteresowanie, wyrozumiałość, nieco rozbawienia i ojcowskiej troski. – Barbaro, spójrz na mnie.

– Nie! – krzyknęła mu w twarz. – Twoje oczy kłamią! Ja... nie cierpię cię! Ja... – wybuchnęła płaczem, wołając wśród łez – Wynoś się! Dlaczego sobie nie pójdziesz?

– Barbaro, to my się wynosimy – powiedziała Mary. Podeszła bliżej, ujęła dziewczynę za ramię i powiodła ku drzwiom.

– *Mary, skoczek czeka.*

– *Ja też czekam, Link. Na ciebie. Zawsze będę czekała. Czekają też Chervillowie &*

@kinsowie & Jordanowie & & &...

– Wiem, wiem. Kocham was... wszystkich. Przekaż im setki całusów. I tysiące błogosławieństw.

Wizerunki czterolistnej koniczynki, króliczej łapki, podkowy.

Sprośna odpowiedź Powella, wynurzającego się spod obsypanej diamentami kupy nieczystości.

Cichy śmiech.

Pożegnanie.

Obserwując znikającego na tle stalowobłękitnego nieba i kierującego się ku Kingston Hospital skoczka, stał w drzwiach i pogwizdywał smutną a zawilą melodię. Był wykończony. Czuł się jakby dumny z ofiary, jaką uczynił dla sprawy. I gorąco wstydził się tej dumy. Ot, melancholia. Może wziąć szczyptę nikotianu potasu i dać sobie w żyłę, aż do zamroczenia? Na cholerę ci to wszystko? Spójrz tylko na to wielkie, szalone miasto, gdzie żyje siedemnaście i pół miliona dusz – i ani jedna naprawdę ci przyjazna. Spójrz na...

I wtedy dotarł pierwszy impuls. Mizerny strumyk głęboko ukrytej energii. A jednak poczuł go wyraźnie i spojrział na zegarek. Dziesiąta dwadzieścia. Tak wcześnie? Tak szybko? No i dobrze. To znaczy, że trzeba się przygotować.

Wrócił w głąb domu i szybko pobiegł schodami do swej garderoby. Impulsy uderzały w jego jaźń niczym pierwsze krople deszczu przed burzą. Łowiąc i wchłaniając te nikłe strumyki wewnętrznej energii czuł, że zapas jego mocy psychicznej zwiększa się, pulsuje i rozrasta.

Zmienił odzież, asekurując się na wypadek zmiany pogody i wtedy właśnie...

Co się stało? Impulsy nie uderzały weń już pojedynczo, zlały się w gęsty deszcz, obmywały go, przesywając świadomość gorączkowymi dreszczami i gwałtownymi spięciami emocji. I... A, tak. Pigułki odżywcze. Myśl tylko o tym. Odżywcze. Odżywcze. Odżywcze. Potykając się, zbiegł ze schodów i wpadł do kuchni. Odnalazł plastikowy pojemnik, rozerwał go i połknął kilkanaście tabletek.

Teraz wewnętrzna siła docierała do niego burzliwymi potokami. Strumyki energii psychicznej od każdego espera w mieście zlewały się w strumienie, rzeki i wzburzony ocean Zbiorowego Katheksisu, skierowanego ku Powellowi i dostrojonego do jego umysłu. Detektyw usunął wszelkie bloki i wchłaniał wszystko w siebie. Jego system nerwowy ładował się niczym generator, i jak rozbiegana turbina na pełnych obrotach zaczął pracować coraz szybciej i szybciej,

a towarzyszył temu nieznośny i narastający dźwięk.

Opuścił dom i wyszedł na ulice, blakając się po nich ślepy, głuchy i nieczuły na wrażenia zmysłowe, pogrążony w kipiącym kotle energii. Jak żaglowiec, który znalazłszy się w oku cyklonu, usiłuje dla ratunku wykorzystać siłę wichrów, tak walczył Powell, wchłaniając w siebie moc psychiczną, by w odpowiedniej chwili skierować ją na Przeróbkę Reicha, zanim będzie za późno, za późno, za późno...

PRECZ Z LABIRYNTEM.

ZNISZCZYĆ PAJĘCZYNE.

UNICESTWIĆ ZAGADKĘ.

($x^2 \cdot y^3 d!$ Przestrzeń $d!$ Czas)

ROZMONTOWAĆ.

(DZIAŁANIA, FORMUŁY, CZYNNIKI, UŁAMKI, POTĘGI, WYKŁADNIKI, PIERWIASTKI, TOŻSAMOŚCI, RÓWNANIA, POSTĘPY, ZMIENNE, PERMUTACJE, OKREŚLNIKI I ROZWIĄZANIA)

WYKREŚLIĆ.

(ELEKTRON, PROTON, NEUTRON, MEZON I FOTON)

UNICESTWIĆ.

(CAYLEY, HENSON, LILIENTHAL, CHANUTE, LANGLEY, WRIGHT, TURNBUL I S&ERSON)

ZETRZEĆ.

(MGŁAWICE, GROMADY KULISTE, GWIAZDOZBIORY, UKŁADY PODWÓJNE, GIGANTY, CIĄG GŁÓWNY I BIAŁE KARŁY)

ROZPROSZYĆ.

(RYBY, GADY, PTAKI, SSAKI I CZŁOWIEK)

ZNISZCZYĆ.

UNICESTWIĆ.

ROZMONTOWAĆ.

WYKREŚLIĆ.

ROZPROSZYĆ.

PRZEKREŚLIĆ WSZYSTKIE RÓWNANIA.

NIESKOŃCZONOŚĆ PRZYRÓWNAĆ DO ZERA.

NIE MA JUŻ...

– Czego!?! – ryknął Reich. – Czego już nie ma? – Usiłował się podnieść, odpychając od siebie pościel i czyjeś ręce. – No, czego?

– Koszmarów – odpowiedziała mu Duffy Wyg&.

– Kto tu jest?

– Ja, Duffy.

Reich otworzył oczy. Znajdował się we frywolnie umeblowanej sypialni i leżał na fikuśnym łóżku, zasłanym na starą modłę kocami i prześcieradłami. Duffy Wyg&, czyściutka i świeża, opierała dłonie o jego ramiona, usiłując raz jeszcze ułożyć go wśród poduch.

– Śpię – powiedział sobie Reich. – Śpię i chcę się obudzić.

– Pochlebca. Połóż się i niech sen trwa dalej.

Reich uległ presji rąk dziewczyny.

– Właśnie się budziłem – rzekł kwaśno. – Po raz pierwszy w życiu naprawdę się budziłem. Słyszałem... Nie wiem, jak to wyrazić. Nieskończoność i zero. To było coś ważnego. Prawdziwego. Potem znów zasnęłam i znalazłem się tutaj.

– Małeńka poprawka – uśmiechnęła się Duffy. – Obudziłeś się, nie zasnęłeś.

– Właśnie że nie! – ryknął Reich. – Teraz śpię! – Usiadł w pościeli. – Masz jakiś haj? Cokolwiek... opium, hasz, somnar, lette... Muszę się obudzić, Duffy. Muszę wrócić do rzeczywistości.

Duffy pochyliła się nad nim i z zapalem pocałowała w usta.

– A to? Czy jest dość realne?

– Duffy, zrozum. Wszystko jest złudzeniem... halucynacją... wszystko... Powiniennem się obudzić, ujrzeć rzeczy po nowemu i przebudować swój system wartości. Zanim będzie za późno, Duffy. Zanim będzie za późno. Za późno, za późno...

Duffy uniosła rękę.

– Psiakrew! I to mają być lekarze! Najpierw ten cholerny doktorek przestraszył cię tak, że zemdlałeś. Potem zaczął się zaklinać, że już ci lepiej. No i proszę... okazuje się, że masz fioła! – Przyklękła na łóżku i pogroziła Reichowi palcem. – Jeszcze słowo i dzwonię do Kingston.

– Co? Coś ty powiedziała?

– Dzwonię do Kingston. Zabierają tam takich jak ty.

– Nie o to pytałem. Kto przestraszył mnie tak, że zemdlałem?

– Jeden taki... doktor. Mój przyjaciel.

– Na placu przed komendą policji?

– Trafiłeś bez pudła. Właśnie tam.

– Jesteś pewna?

– Przecież byłam z nim razem, szukaliśmy cię. Twój służący powiadomił mnie o eksplozji i zaniepokoiłam się o ciebie. Współ z doktorem zdążyliśmy w samą porę... ale niewiele brakowało.

– Widziałaś twarz tego doktora?

– Czy widziałam? Jakżeby nie, przecież ją całowałam.

– I jak wygląda?

– Gęba jak gęba. Dwoje oczu. Dwoje uszu. Dwie wargi. Jeden nos. Trzy podbródki. Ben, posłuchaj. Jeśli powtarzasz te poprzednie bzdury o jawie, śnie, rzeczywistości i nieskończoności, to ten numer nie przejdzie.

– Ty mnie tu sprowadziłaś?

– Jasne. Jakże mogłabym przepuścić taką okazję? Tak czy owak, wreszcie udało mi się zaciągnąć cię do swego łóżka.

Reich uśmiechnął się. Uspokojony powiedział:

– Duffy, teraz możesz mnie pocałować.

– Miałaś już ten zaszczyt. A może nie pamiętasz, bo się obudziłaś?

– Dajmy temu spokój. Zły sen, nic więcej. – Reich wybuchnął śmiechem. – Dlaczegoż, u licha, miałbym przejmować się nocnymi koszmarami? Trzymam w garści cały świat. Dodajmy do tego jeszcze i sny. Duffy, przecież to ty chciałaś kiedyś zostać wciągniętą w otchłań zguby?

– Dziecinny kaprys. Liczyłam na to, iż trafię w lepsze towarzystwo.

– Wymień jaką chcesz otchłań, jest twoja. Choćby była ze złota, wypełniona klejnotami... Chcesz przepaść jak stąd do Marsa? Będziesz ją miała. Jeśli zapragniesz wciągnąć w nią cały System Słoneczny, masz to jak w banku. Chryste! Jeśli zechcesz, całą Galaktykę przekształcę w burdel. – Tknął się kciukiem w pierś. – Chcesz zobaczyć Boga? Otom jest! Patrz i podziwiaj.

– No, no, mój panie! Co za skromność... i to na kacu.

– Myślisz, że mam w czubie? A pewnie, mam. – Zsunął nogi z łóżka i wstał, trochę się chwiejąc. Duffy szybko podbiegła i objęła go w pasie, wspierając lekko. – Dlaczegoż nie miałbym się upić? Wyrolowałem D'Courtneya. Okpiłem Powella. Mam zaledwie czterdzieści lat. Zostało mi jakieś sześćdziesiąt lat władania światem. Dobrze słyszysz, Duffy. Całym cholernym światem! – Razem z Duffy ruszyli wokół pokoju. Przechadzka ta przypominała spacer po krainie erotycznych fantazji Duffy. Dekorator-wnikacz idealnie odtworzył na jawie psychikę dziewczyny.

- Duffy, czy nie chciałabyś, abyśmy razem założyli dynastię?
- A jak się to robi?
- Żeby założyć dynastię Bena Reicha, musisz go przede wszystkim poślubić.
- To mi wystarczy. Kiedy zaczynamy?
- Potem urodzisz mu dzieci. Chłopaków. Cały tuzin.
- Dziewczynki. I nie więcej niż trzy.

– Ujrzysz go, jak przejmuje kontrolę nad kartelem D’Courtneya i włącza go do imperium Monarch. Zobaczysz, jak powala swoich wrogów, ot tak! – nie zatrzymując się, z marszu kopnął zagradzającą mu drogę toaletkę. Mebel rozleciał się na kawałki wśród brzęku spadających kryształowych buteleczek.

– Gdy już Monarch i D’Courtney staną się jedną firmą, Reich Incorporated, zobaczysz, jak połknę resztę... całą tę drobnicę. Case & Umbrel z Venus. Cap! – Jednym uderzeniem pięści Reich rozbił uformowaną w kształcie męskiego torsu szafkę. – United Transaction z Marsa. Pożarte i przeżute! – Tym razem rozwalił lekkie krzesło. – Kombinat GCI z Ganimeda, Kallisto i Io... Tytan Chemical & Atomics... I te pomniejsze wszy... zawistnicy, piętogryzy, wnikacze, moraliści, patrioci... Pożarci! Pożarci! Pożarci! – tłukł pięścią w marmurowy blat, aż ten zwałił się z podstawki i rozbił o posadzkę.

– Niezłe z ciebie ziółko! – Duffy rzuciła mu się na szyję. – Ale czemu tracisz energię? Przyłóż i mnie.

Podniósł ją w górę i potrząsnął nią, aż pisnęła.

– Część tego żarcia będzie słodka jak ty, Duffy; część będzie śmierdziała pod niebiosa... ale połknę wszystko. – Roześmiał się i przycisnął ją do siebie, aż jęknęła. – Nie wiem, czym powinni zajmować się bogowie, ale wiem, co lubię ja. Przewrócimy cały świat do góry nogami, Duffy, i odbudujemy wedle naszej woli. Wszystko dla mnie, dla ciebie i naszej dynastii...

Zaniósł ją do okna, zerwał zasłony i potężnym kopniakiem wywalił na zewnątrz misternie zdobione szyby. Miasto pogrążone było w aksamitnym mroku. Na podniebnych szlakach i niżej położonych ulicach migotały światła reflektorów, a na tle nieba zataczały wysokie łuki purpurowe lampki pozycyjne zapóźnionych skoczków. Deszcz ustał i na niebie pojawił się smukły i nikły sierp Księżycy. Przez duszny zapach rozlanych na posadzce perfum przebił się świeży powiew wieczornego wiatru.

– Ej, wy tam! – ryknął Reich. – Słyszycie mnie? Wy, co chrapiecie i śnicie. Wiedźcie, że

od tej chwili będziecie śnić moje sny! Będziecie...

I nagle umilkł. Puścił Duffy, pozwalając jej opaść na posadzkę obok siebie. Chwytając ramę okna, wychylił się na zewnątrz i zadarł głowę, usiłując spojrzeć w górę. Gdy wreszcie cofnął się w głąb pokoju, na jego twarzy malował się wyraz zaskoczenia.

– Gwiazdy... – wymamrotał. – Zniknęły gwiazdy.

– Co zniknęło? – zapragnęła wiedzieć Duffy.

– Gwiazdy – powtórzył Reich. Machnął ręką w stronę nieba. – Gwiazdy. Nie ma ich.

Duffy spojrzała nań jak na wariata.

– O czym ty właściwie mówisz?

– Gwiazdy! – wrzasnął Reich. – Popatrz w niebo! Zniknęły gwiazdy! Konstelacje! Wielki Wóz... Mały Wóz... Kasjopea... Smok... Pegaz... Przepadły wszystkie! Na niebie jest tylko Księżyc! No, popatrz!

– Niebo zawsze tak wyglądało – powiedziała Duffy.

– Wcale nie! Gdzie są gwiazdy!?

– Jakie gwiazdy?

– No, nie znam więcej nazw... Gwiazda Polarna... Vega... i... Po jaką cholere miałbym je pamiętać? Nie jestem astronomem. Co się stało? Gdzie one zniknęły?

– A cóż to takiego, te gwiazdy? – spytała Duffy.

Reich chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

– To słońca. Tchnące zarem i światłem. Tysiące. Miliardy słońc migocących pośród nocy. Co z tobą, do licha? Nie pojmujesz? W kosmosie zdarzyła się katastrofa! Zniknęły gwiazdy!

Duffy potrząsnęła głową. Na jej twarzy pojawiły się oznaki przestraszenia.

– Nie wiem, o czym mówisz, Ben. Naprawdę nie wiem. Odepchnął ją na bok, odwrócił się, skoczył ku łazience i zamknął się wewnątrz. Gdy szybko mył się i ubierał, Duffy bębniła piąstkami w drzwi, usiłując go uprosić, by przestał się wygłupiać. W końcu umilkła i po chwili usłyszał, jak ściszywszy głos dzwoni do Kingston Hospital.

– Pogadaj z nimi o gwiazdach – mruknął Reich, jednocześnie wściekły i przestraszony. Skończył się myć i wrócił do sypialni. Duffy pospiesznie odłożyła słuchawkę i odwróciła się ku niemu.

– Ben, posłuchaj – zaczęła.

– Poczekaj tu na mnie – warknął. – Wychodzę sprawdzić.

– Sprawdzić?

– Co jest z tymi gwiazdami! – wrzasnął. – Na Boga, dowiem się, gdzie one zniknęły!

Wyfrunął niemal z mieszkania i pomknął wzdłuż ulicy. Na pustym o tej porze chodniku zatrzymał się i ponownie spojrzął w górę. Zobaczył Księżyc. Czerwony świecący punkt... to Mars. I jeszcze jedna jasna plamka... Jowisz. I nic poza tym. Czerń. Czerń. Czerń. Nad jego głową wisiała mroczna kopuła, tajemnicza, nieprzenikniona i złowieszcza. Jakaś dziwna sztuczka optyczna sprawiała, iż czuł nacisk nieba, krępujący, niepokojący i groźny.

Ciągle patrząc w górę ruszył biegiem. Za zakrętem wpadł na jakąś kobietę i zbił ją z nóg. Pomógł jej wstać.

– Oczu nie masz! – wrzasnęła, poprawiając zdobiące ją pióra. I nagle odezwała się wabiącym głosem: – Szukasz rozrywki, pilocie?

Reich chwycił ją za ramię. Drugą ręką wskazał niebo. – Popatrz, zniknęły gwiazdy. Zauważyłaś?

– Co zniknęło?

– Gwiazdy. Nie widzisz? Nie ma ich.

– Pilocie, pojęcia nie mam, o czym mówisz. No, dalej. Chodźmy się zabawić.

Wyrwał się jakoś z jej chwytnych łap i zwiął. W połowie kwartału zauważył na poboczu chodnika budkę wifonu. Wszedł do środka i wybrał numer Biura Informacji. Ekran rozjaśnił się i usłyszał głos robota:

– Proszę pytać.

– Co stało się z gwiazdami? I kiedy to się stało? Powinno być już znane wyjaśnienie tej sprawy. Jak ono brzmi?

Usłyszał kliknięcie, pauzę i kolejne kliknięcie.

– Proszę przeliterować hasło, o które pan pyta.

– Gwiazdy! – ryknął Reich. – G-W-I-A-Z-D-Y! Kliknięcie, pauza, kliknięcie.

– Rzeczownik czy czasownik?

– Rzeczownik, do cholery! Kliknięcie, pauza, kliknięcie.

– Nie ma takiego hasła.

Reich zaklął, następnie nie bez wysiłku opanował rozdygotane nerwy.

– Gdzie jest najbliższe obserwatorium miejskie?

– Uprzejmie proszę określić miasto, o jakie panu chodzi.

– Chodzi mi o to miasto. Nowy Jork.

Klikniecie, pauza, kliknięcie.

– Obserwatorium Księżycowe znajduje się w Croton Park, trzydzieści mil na północ. Można tam dotrzeć skoczkiem komunikacji miejskiej, koordynata N 227. Obserwatorium to założono w roku dwutysięcznym...

Reich z furją zatrzęsął drzwiami budki.

– Nie ma takiego hasła! Mój Boże! Czy oni powariowali? – pobiegł wzdłuż ulicy szukając wolnego skoczka. Wkrótce zauważył przejeżdżającą obok maszynę z pilotem i wezwał ją gestem dłoni. Wóz skręcił, by zabrać Reicha.

– North 227 – rzucił wsiadając do kabiny. – Trzydzieści mil. Obserwatorium Księżycowe.

– To będzie kurs ekstra – rzekł pilot.

– Zapłać! Jazda!

Skoczek pomknął przed siebie. Reich zdołał się powstrzymać przez pięć minut, potem jednak niby obojętnym tonem zapytał:

– Patrzył pan w niebo?

– A bo co?

– Zniknęły gwiazdy.

Pilot roześmiał się uprzejmie.

– To nie żart – rzekł Reich. – Gdzieś przepadły.

– Jeśli nie żart, to wymaga wyjaśnień – sarknął pilot. – Cóż to takiego, do naglej krwi, te gwiazdy?

Reich już miał zamiar skłąć pilota, ale lądowali właśnie na terenach obserwatorium, nie opodal kopuły. Rzucił więc tylko gniewnie: – Proszę tu zaczekać – i pobiegł trawnikiem w stronę licowanego kamieniem wejścia.

Drzwi były otwarte. Wchodząc do środka usłyszał cichy pomruk mechanizmu obracającego kopułę i równe tykanie zegara obserwatorium. Pomieszczenie pogrążone było w mroku, jedynym źródłem światła była tarcza zegara.

Ktoś posługujący się dwunastocalowym refraktorem prowadził właśnie obserwacje. Reich widział niewyraźną, skuloną za okularem teleskopu sylwetkę badacza.

Wzdrygając się na dźwięk własnych kroków, zdenerwowany i napięty, Reich ruszył ku obserwatorowi. Idąc poczuł chłód powietrza.

– Proszę posłuchać – zaczął cicho. – Przeszkadzam z najwyższą niechęcią, pan jednak musiał to zauważyć. Zajmuje się pan gwiazdami. Spostrzegł pan, nieprawdaż? Gwiazdy. Zniknęły. Wszystkie, co do jednej. Co się stało? Dlaczego nie ogłoszono żadnego alarmu? Dlaczego wszyscy udają, że nic nie zaszło? Boże mój! Gwiazdy. Były przecież od zawsze. A teraz ich nie ma. Co się dzieje? Gdzie one się podziały?

Badacz wyprostował się powoli i odwrócił ku Reichowi. – Nie istnieją żadne gwiazdy – powiedział.

Przed Reichem stał Człowiek Bez Twarzy.

Reich wrzasnął jak opętany, odwrócił się i pobiegł przed siebie. Wypadł z budynku, zbiegł po schodkach i poprzez trawnik pomknął ku czekającemu nań skoczкови. Pędząc na oślep odbił się od przezroczystej ścianki kabiny i runął na kolana.

Pilot postawił go na nogi.

– Coś jest nie tak?

– Nie wiem – jęknął Reich. – A chciałbym wiedzieć.

– Wprawdzie nic mi do tego – rzekł pilot – ale myślę, że powinien pan zobaczyć się z jakimś wnikaczem. Gada pan same bzdury.

– O tych gwiazdach?

– Właśnie.

Reich chwycił pilota za ramię.

– Jestem Ben Reich – powiedział. – Ben Reich z firmy Monarch.

– Owszem, mistrzu. Poznałem pana.

– Dobra. Wie pan, co mogę zrobić dla pana, jeśli wyświadczy mi pan przysługę? Forsa... nowa praca... wszystko czego pan zapragnie...

– Niczego nie potrzebuję. Byłem już w Kingston i tam mnie wyregulowali.

– To i lepiej. Człowiek uczciwy. Czy robi mi pan przysługę... ze względu na miłość Boga lub na cokolwiek, co jest panu drogie?

– Jasne, staruszk.

– Niech pan wejdzie do tego budynku. Proszę się dobrze przyjrzeć człowiekowi przy teleskopie. Następnie wróci pan do mnie i opisze jego wygląd.

Pilot odszedł i nie było go z pięć minut. Potem wrócił.

– No?

– Kolego, to zwyczajny gość. Pod sześćdziesiątkę. Łysawy, z głębokimi zmarszczkami na twarzy. Ma odstające uszy, a jego podbródek wskazuje, jak to się mówi, na słabą wolę. No wie pan, jest trochę cofnięty.

– To może być każdy... każdy – mruknął do siebie Reich.

– Co proszę?

– A o tych gwiazdach...? – spytał Reich. – Nie wie pan, o czym mówię? Nigdy pan o nich nie słyszał?

– W życiu!

– O Boże! – jęknął Reich. – Dobry Boże!

– Kolego, niech pan nie pęka – pilot klepnął Reicha potężnie po plecach. – Coś panu powiem. Tam, w Kingston, dowiedziałem się wielu rzeczy. Powiedzmy tak... bywa, że niekiedy nagle coś panu nie pasuje. Odkrywa pan, że rzeczywistość... nie jest taka, jak była. Stwierdza pan, dajmy na to, iż ludzie, którzy zawsze mieli po jednym oku, teraz mają dwoje.

Reich gapił się na niego bez słowa.

– Zaczyna pan więc biegać i wrzeszczeć: „Na litość boską, skąd oni wszyscy mają po dwoje oczu?” Oni zaś mówią: „Zawsze tyle mieliśmy”. Pan na to: „Gówna prawda. Doskonale pamiętam, iż mieliście po jednym”. I wierzy pan w to, na Boga. Diabelnie dużo czasu tracą, zanim wybiją to panu ze łba. – Pilot ponownie klepnął go po ramieniu. – Wydaje mi się, że z tymi gwiazdami ma pan taki sam problem jak ci jednoocy.

– Jedno oko – mruknął Reich – albo dwoje. Raz i dwa, i trzy, i cztery...

– Co proszę?

– Nic, nic. Sam już nie wiem. Ostatnio przeżyłem ciężkie chwile... Może... może ma pan i rację. Ale...

– Chce pan, podrzucę pana do Kingston Hospital.

– Nie!

– No to jak, zostanie pan tutaj i będzie głądził o gwiazdach?

Wściekłość Reicha nagle eksplodowała okrzykiem:

– A niech je wszyscy diabli wezmą! – Jego strach zmienił się w palący gniew. Potężna dawka adrenaliny wpłynęła do krwioobiegu Reicha, przynosząc z sobą odwagę i nowe siły. Żwawo wskoczył do kabiny wozu. – W końcu mam cały świat. Co mnie obchodzi strata kilku iluzji?

– I tak trzymać, kolego. Dokąd teraz?

– Do pałacu królewskiego.

– Którego?

Reich wybuchnął śmiechem.

– Do Monarch Tower – sprecyzował i śmiał się dalej podczas całego lotu aż do miejsca przeznaczenia. Ale w jego śmiechu pobrzmiwały nutki hysterii.

Biura pracowały na okrągło, a ponieważ zbliżał się koniec trzeciej zmiany, ludzie byli już mocno wyczerpani, gdy nagle się zjawił. Choć podczas ostatniego miesiąca widywali szefa niezbyt często, wcześniej przywykli do tych wizyt i wszyscy natychmiast przestawili się na pełne obroty.

Gdy Reich podchodził do swego biurka, towarzyszył mu zespół sekretarzy i ich zastępców, którzy nieśli stopy dokumentów do natychmiastowego załatwienia.

– Odłożyć wszystko – zadysponował. – Wezwać cały sztab, wszystkich szefów wydziałów i kierownictwo działu kontroli. Zamierzam wygłosić pewne oświadczenie.

Panująca w biurze atmosfera pracy uspokoiła go nieco: odezwała się w nim rutyna codziennych czynności. Poczul się znów pełen życia i otoczony realiami. Przecież wszystko, co działo się wokół niego: szmery rozmów, dzwonki sygnalizacyjne, polecenia wydawane przytłumionymi głosami, biuro szybko wypełniające się przestraszonymi twarzami, to jedyna istniejąca rzeczywistość. To preludium przyszłości, w której na planetach i satelitach rozdzwonią się aparaty łączności i przywódcy zamieszkanego światów z lękiem w oczach pochylą się nad biurkami.

– Jak wszystkim wiadomo – zaczął przechadzając się wolno po gabinecie i uważnie obserwując wpatrzony w niego twarze – nasza firma prowadziła zaciętą walkę z kartelem D’Courtneya. Parę dni temu Cray D’Courtney został zabity. W związku z tym wynikły pewne trudności, na szczęście mamy je już za sobą. Ucieszy was pewnie wiadomość, że wypływamy na czyste wody. Możemy zająć się realizacją planu AA, którego celem jest przejęcie kartelu D’Courtneya.

Przerwał, oczekując na pełen podniecenia pomruk pracowników. Niestety, nie doczekał się spodziewanej reakcji.

– Być może – ciągnął dalej – niektórzy z was nie pojmują całego rozmachu i znaczenia stojącego przed nami zadania. Pozwólcie, że dla jasności ujmę to tak... Ci z was, którzy kierują

dziś naszymi interesami w miastach, zajmą się przewodzeniem na kontynentach. Inspektorzy kontynentalni zajmą miejsce szefów satelitarnych. Ci ostatni przejmą zarządzanie na planetach. Od tej chwili firma Monarch zdominuje cały System Słoneczny. Od tej chwili...

Przerwał nagle, zaniepokojony brakiem zrozumienia na twarzach współpracowników. Rozejrzał się dookoła i wyłowił z tłumu szefa personelu.

– Co jest, do cholery? – warknął. – Nadeszły jakieś wieści, których jeszcze nie znam? Jakież złe nowiny?

– N-nie, panie Reich.

– No to co was gryzie? Wszyscy przecież czekaliśmy na tę chwilę. Czy mówię coś nie tak?

– N-nie – wybąkał szef personelu. – My... ja... przepraszam bardzo, sir. J-ja nie wiem, o czym pan mówi.

– Mówię o kartelu D’Courtneya.

– J-ja nigdy przedtem nie słyszałem o takiej firmie, sir. Ja... my... – szef personelu rozejrzał się dookoła, jakby szukając poparcia. Zdumiony Reich spostrzegł, iż wszyscy pracownicy zgodnie potrząsają przecząco głowami.

– D’Courtney, kartel z Marsa! – wrzasnął.

– Skąd, sir?

– Z Marsa! Mars! M-A-R-S. Jedna z planet. Czwarta od Słońca. – Znalazłszy się ponownie w uściskach pokonanego zdawałoby się strachu, Reich zaczął wyliczać nieskładnie: – Merkury, Wenus, Ziemia, Mars, Jowisz, Saturn. Mars! Mars! Mars! Sto czterdzieści jeden milionów mil od Słońca. Mars!

Współpracownicy ponownie potrząsnęli głowami, jakby niczego nie pojmowali. Zaczęli wymieniać niespokojne szepty, niektórzy z nich cofnęli się nawet nieznacznie. Reich skoczył ku sekretarzom i chwycił trzymane przez nich dokumenty.

– Macie tu setki notatek o kartelu D’Courtneya z Marsa. Musicie mieć. Boże mój, przecież z D’Courtneyem walczyliśmy od dziesięciu lat!

Gorączkowo przebierał wśród papierów i rozrzucając je na wszystkie strony, rozpętał w biurze prawdziwą zamieć. Ale nie znalazł niczego, co odnosiłoby się do Marsa lub kartelu D’Courtneya. Nie znalazł także żadnych danych świadczących o istnieniu Wenus, Jowisza, Księżyca ani pomniejszych satelitów.

– Mam notatki w biurku! – wrzasnął. – Setki zapisków. Pieprzeni łgarze! Zaraz się przekonacie!

Skoczył do biurka i otworzył pierwszą z brzegu szufladę. Rozległ się ogłuszający huk. Biurko rozleciało się w kawałki. Na pracowników sekretariatu firmy posypał się deszcz drobnych drzazg, a blat biurka niczym łapa olbrzyma cisnął Reichem w stronę okna.

– Człowiek Bez Twarzy! – krzyknął Reich. – Boże wszechmogący! – Potrząsnął głową i z uporem maniaka wrócił do tego, co w danej sytuacji uważał za najważniejsze. – Gdzie moje notatki... Pokażę wam... D’Courtney, Mars i cała reszta... Jemu również pokażę! Temu bez twarzy... No, dalej!

Wybiegłszy z biura pomknął do piwnic, gdzie przechowywano archiwa firmy. Opróżniał półkę za półką: rozrzucał papiery, garściami rozsypywał piezokryształy, szarpał się ze starymi taśmami, mikrofilmami i fotokopiami molekularnymi. Nigdzie nie znalazł danych o firmie D’Courtneya ani o Marsie. Nie znalazł też danych o Wenus, Jowiszu, Merkurym, asteroidach czy satelitach.

W tym czasie w biurze trwała ożywiona działalność, rozdzwoniły się dzwonki, zewsząd dobiegały też ostre, rozkazujące głosy. Pracownicy w panice rozbiegli się po korytarzach, a do piwnicy pod wodzą zakrwawionego szefa kadr kłusem wbiegli trzej pleczyści instruktorzy z wydziału rekreacji. Kadrowiec ponaglał ich słowami:

– Panowie, musicie! Nie mamy innego wyjścia! Odpowiedzialność biorę na siebie.

– Spokojnie... spokojnie... już dobrze, panie Reich – mówili siłacze przytłumionymi głosami, jakich używają koniuchowie uspokajający narowistego żrebca. – Już dobrze... spokojnie... spokój...

– To wy dajcie mi spokój, skurwiele! Precz ode mnie!

– Spokojnie, sir. Spokojnie...

Rozstawiwszy się strategicznie, barczyści dżentelmeni nadal następowali na Reicha. Tymczasem na górze trwała gorączkowa bieganina, dźwięczały dzwonki i słychać było okrzyki:

– Gdzie jego lekarz? Sprowadźcie lekarza! Niech ktoś zadzwoni do Kingston! A policję ktoś powiadomił? Nie, zostawmy to. Skandale nam niepotrzebne. Niechże ktoś zadzwoni w końcu do prawników! Czy otwarto już przychodnię?

Reich dyszał ciężko. Nieoczekiwanie cisnął kupę papierzysek pod nogi osiłków i pochyliwszy głowę, natarł na nich bykiem. W ten sposób udało mu się przedrzeć na korytarz,

gdzie dopadł do pneumatycznej windy. Wybrał numer Ośrodka Naukowego na pięćdziesiątym siódmym piętrze, zrobił krok do środka i frunął ku miejscu przeznaczenia.

Tutaj właśnie znajdowały się laboratoria. Całe piętro pogrążone było jeszcze w mroku. Współpracownicy Reicha założyli prawdopodobnie, że z piwnic wymknął się na poziom prowadzący na ulice. Jeśli tak, to ma trochę czasu. Nadal ciężko dysząc, ruszył do pomieszczeń bibliotecznych, zapalił światła i podszedł do pulpitu informacyjnego. Przed wygodnym siedzeniem ustawiono tu płytę ciekłego kryształu, podobną do zwykłej tablicy. Obok niej znajdowała się klawiatura alfanumeryczna.

Usiadł i wcisnął przycisk START. Ekran rozjaśnił się, a z umieszczonego nad nim głośnika rozległ się nieco mechanicznie brzmiący głos. – Dział?

Reich wybrał hasło NAUKA.

– Dziedzina?

Reich wystukał ASTRONOMIA.

– Problem?

– Wszechświat. Kliknięcie-pauza-kliknięcie.

– Określenie wszechświat w sensie fizycznym obejmuje wszelkie formy istnienia materii.

– Jakie są formy istnienia materii?

– Materia istnieje w postaci skupisk o różnej wielkości, od najmniejszych, którymi są atomy, do największych, którymi zajmuje się astronomia.

– Jaki jest największy obiekt astronomiczny? – Reich wybrał klawisz DIAGRAMY.

Kliknięcie, pauza, kliknięcie.

– Słońce. – Na ekranie pojawił się oślepiający wizerunek szybko wirującego Słońca.

– A co z innymi obiektami? Pytam o gwiazdy. Kliknięcie, pauza, kliknięcie.

– Gwiazdy nie istnieją.

– A planety? Kliknięcie, pauza, kliknięcie.

– Ziemia. – Na ekranie pojawił się obraz Ziemi obracającej się wokół własnej osi.

– A inne planety? Mars? Jowisz? Saturn? Kliknięcie, pauza, kliknięcie.

– Innych planet nie ma.

– A Księżyc?

– Kliknięcie, pauza, kliknięcie.

– Księżyc nie istnieje.

Reich, czując narastające drzenie, wziął głęboki oddech. – Spróbujmy jeszcze raz. Wróć do Słońca.

Na kryształowym ekranie ponownie pojawił się jaskrawy wizerunek.

– Słońce jest największym skupiskiem materii, znanym astronomom – zaczął mechaniczny głos automatu. I nagle ucichł. Kliknięcie, pauza, kliknięcie. Obraz słońca zaczął blednąć. Towarzyszył temu komentarz: – Słońca również nie ma.

Pozostałość znikającego obrazu spojrzała na Reicha złowieszczo, milcząco i przerażająco... Był to Człowiek Bez Twarzy.

Reich glucho jęknął. Przewracając krzesło skoczył na równe nogi. Podniósł mebel i z furią rąbnął nim w ekran. Potem odwrócił się i na oślep wybiegł z biblioteki i z laboratorium. Dopadłszy windy wybrał poziom ulic. Drzwi dźwigu stanęły otworem; Reich wskoczył do środka i opuszczony w dół o pięćdziesiąt siedem pięter znalazł się w hali głównej Ośrodka Badawczego Monarch.

Natrafił na godzinę szczytu: pracownicy rannej zmiany spieszyli do swych zajęć. Gdy przepychał się między ludźmi, ci patrzyli ze zdumieniem na jego pociętą i zakrwawioną twarz. Potem spostrzegł, iż zmierza ku niemu paru umundurowanych strażników. Puścił się więc biegiem i wyprzedzając strażników o jeden oddech, poprzez obrotowe drzwi wypadł na ulicę. I tam zatrzymał się, jak zdzielony pałką w łeb. Nie zobaczył Słońca.

Palily się uliczne lampy, na niebie migotały napowietrzne trasy, na których unosiły się i opadały pozycyjne światełka skoczków, lśniły blaskami witryny magazynów. Ale wyżej nie było niczego... niczego prócz głębokiej, nieprzeniknionej czerni.

– Gdzie Słońce? – ryknął.

Wskazał dłonią nieboskłon. Przechodnie obrzucali go podejrzliwymi spojrzeniami i pospiesznie przechodzili mimo. Nikt nie podniósł oczu do góry.

– Gdzie jest Słońce? No gdzie? Nie pojmujecie, bałwany? Słońce! – Chwytał ich za ręce i potrząsając pięścią wskazywał niebo. Trwało to dopóty, dopóki pierwszy ze strażników nie precisnął się przez drzwi. Wtedy wziął nogi za pas.

Pobiegł chodnikiem, zawrócił w prawo i pomknął jaskrawo oświetlonym pasażem pełnym ruchliwych sklepów. Dalej w głębi widać było wejście do pneumatycznej windy, która dostarczała pasażerów na podniebne trasy. Przez zamykające się za nim drzwi Reich spostrzegł, iż goniący go zażarcie strażnicy byli już nie dalej niż o dwadzieścia jardów. Wzleciał

siedemdziesiąt pięter wyżej i wyskoczył na przejście napowietrzne.

Znalazł się na niewielkim parkingu, przytulonym do ściany wieżowca. Krótki pas startowy prowadził wprost na trasę. Reich podbiegł do wozów, rzucił kilka kredytek pracownikowi obsługi, wskoczył do pojazdu i wcisnął klawisz W LEWO. Wóz ruszył i posłusznie skręcił. Dyspozycyjność pojazdu ograniczała się do przycisków W LEWO, W PRAWO, STOP, JAZDA. Resztą sterował automat. Wehikuly te mogły poruszać się wyłącznie po ściśle określonych trasach podniebnych. Reich mógł teraz całymi godzinami krążyć wysoko nad miastem, w sumie jednak siedział w pułapce, niczym wiewiórka w ruchomej klatce.

Wóz nie wymagał stałej uwagi pilota. Reich od czasu do czasu spoglądał za siebie i na niebo. Nie było Słońca... Tymczasem wszyscy zajmowali się swymi sprawami, jakby nic się nie stało. Nagle nasza go myśl tak nieprzyjemna, że aż nim zatrzęsło. A jeśli dzieje się z nim to samo co z tymi, którzy uważają ludzi za jednookich?

Nieoczekiwanie maszyna zwolniła, a po chwili zatrzymała się całkowicie. Reich utknął pośrodku jednej z tras, pomiędzy wieżowcami Monarch i Visifone & Visigraph Building. Zaczął gorączkowo naciskać wszystkie klawisze. Żadnej reakcji. Wyskoczył z pojazdu i podniósł maskę z tyłu, by sprawdzić połączenia. Pojął przyczynę przymusowego postoju, gdy zobaczył biegnących ku niemu strażników. Wozy poruszały się dzięki przekaźnikom energii umieszczonym wzdłuż tras. Strażnicy wyłączyli nadajnik parkingu i teraz zbliżali się, by go ująć. Odwrócił się i pobiegł ku V & V Building.

Trasa przylegała tu do ścian wieżowca, wzdłuż niej ciągnął się szereg sklepów, restauracji, teatrów – było wśród nich nawet biuro podróży. Oto wyjście! Może przecież szybko kupić bilet, zająć jednomiejscową kapsułę i polecieć ku któremukolwiek z pól startowych. Potrzebował tylko nieco czasu, by się przestawić, ujrzeć wszystko od nowa. Miał przecież dom w Paryżu. Zręcznie unikając kolizji z nadlatującymi wozami, skoczył ku wysepce pośrodku trasy i po chwili był już w biurze.

Wnętrze przypominało pomieszczenia niewielkiego banku. Krótki pulpit, zakratowane okienko i pancerna szyba. Reich podszedł do okienka i wyjął portfel. Odliczywszy kilka banknotów, przesunął je pod kratą.

– Jeden bilet do Paryża – powiedział. – Proszę zatrzymać resztę. Którędy do kapsuł? Żywo, człowieku, żywo...

– Do Paryża? – usłyszał odpowiedź. – Paryż nie istnieje.

Nachylił się ku półprzezroczystej szybie i zobaczył... milczącego, strasznego i złowieszczonego Człowieka Bez Twarzy. Reich poczuł, iż za chwilę pęknie mu łeb. Z walącym dziko sercem odwrócił się i pobiegł na oślep ku wyjściu. Wyskoczył wprost na trasę, zrobił mizerną próbę uniku przed nadlatującym wozem i został zmieciony we wszechogarniającą ciemność -

UNICESTWIĆ. ZNISZCZYĆ. SKASOWAĆ.

(MINERALOGIĘ, PETROLOGIĘ, GEOLOGIĘ, FIZJOGRAFIĘ) ROZPROSZYĆ.

(METEOROLOGIĘ, HYDROGRAFIĘ, SEJSMOLOGIĘ) WYMAZAĆ.

(x2*y3d!Przestrzeń d! Czas)

PRECZ.

PODMIOT ZOSTANIE -

– Zostanie – PODMIOT ZOSTANIE -

No... co dalej? Co z nim się stanie? NO CO? Jakaś dłoń zakryła mu usta. Otworzył oczy. Znajdował się w niewielkim pomieszczeniu o ścianach wyłożonych kafelkami: rozpoznał komisariat policji. Położono go na białym stole. Wokół niego zgrupowali się strażnicy, trzech mundurowych policjantów i paru nieznajomych ludzi, których profesji nie mógł określić. Każdy z obecnych zapisywał coś w notatniku, pomrukiwał coś od nosem, wszyscy dreptali niespokojnie z miejsca na miejsce. Nieznajomy zdjął dłoń z ust Reicha i pochylił się nad nim.

– W porządku – powiedział łagodnie. – Proszę się nie lękać. Jestem lekarzem.

– Wnikaczem?

– Kim, proszę?

– Wnikaczem. Potrzebuję pomocy wnikacza. Potrzebny mi ktoś, kto zajrzy do moich myśli, by udowodnić, że mam rację. Na Boga! Muszę wiedzieć, czy mam rację! Nie dbam o koszty. Ja...

– O co mu chodzi? – spytał policjant.

– Nie wiem. Mówi o jakichś wnikaczach. – Lekarz zwrócił się znów do Reicha. – Proszę pana, o czym właściwie pan mówi? Proszę nam wyjaśnić, co takiego robi ten „wnikacz”?

– Esper? Czyta w myślach. On...

Na twarzy lekarza pojawił się uśmiech.

– Ten człowiek żartuje. Dodaje sobie odwagi. To zachowanie typowe dla wielu

pacjentów. Po wypadku popisują się zimną krwią. Nazywamy to wisielczym humorem.

– Słuchajcie – desperacko szarpnął się Reich. – Pozwólcie mi wstać. Chcę coś powiedzieć.

Podniesiono go. Przedstawił się policjantom.

– Nazywam się Ben Reich. Ben Reich z firmy Monarch. Znać mnie. Chcę przyznać się do winy. Chcę złożyć wyczerpujące-zeznania przed prefektem Lincolnem Powellem. Proszę mnie zabrać do jego biura.

– Kim jest ten... Powell?

– I do czego chce się pan przyznać?

– Do zamordowania D’Courtneya. To ja w zeszłym miesiącu zabiłem Craya D’Courtneya. Na przyjęciu u Marie Beaumont. Powiadomcie Powella. To ja jestem zabójcą.

Policjanci spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Jeden z nich niespiesznie poszedł do kąta, do staromodnego telefonu.

– Kapitanie, mamy tu jednego takiego... Twierdzi, że nazywa się Ben Reich z firmy Monarch. Chce złożyć zeznania przed prefektem o nazwisku Powell. Powiada, że w ubiegłym miesiącu zabił niejakiego Craya D’Courtneya. – Policjant słuchał przez chwilę w milczeniu, po czym spytał Reicha: – Jak wymawia się to nazwisko?

– D’Courtney! Duże D, apostrof, duże C, o-u-r-t-n-e-y. Policjant przeliterował i czekał przez chwilę. Po chwili mruknął coś pod nosem i odłożył słuchawkę.

– Bujda na resorach – powiedział i schował notes do kieszeni.

– Proszę posłuchać... – zaczął Reich.

– Co z nim, w porządku? – spytał policjant lekarza, nie patrząc nawet na Reicha.

– Mały szok, poza tym w normie.

– Słuchajcie! – ryknął Reich.

Policjant bezceremonialnie postawił go na nogi i popchnął ku drzwiom.

– Dobra, kolego. Spadaj stąd.

– Ależ musicie mnie wysłuchać! Ja...

– Nie, przyjacielu, to ty mnie posłuchaj. Nie służy u nas żaden Lincoln Powell. Nie zanotowano zabójstwa żadnego D’Courtneya. Zalewać możesz gdzie indziej, nie tu. A teraz fruuj stąd, pókim dobry! – I Reich rzeczywiście niemal wyfrunął na ulicę.

Trotuar wyglądał dość dziwnie. Reich potknął się, odzyskał równowagę i stanął

oszołomiony i zdezorientowany. Mrok zgęstniał, przypominał teraz ciemności wiecznej nocy. Lamy uliczne były tu rzadkie i dawały niewiele światła. Zniknęły gdzieś powietrzne trasy wraz ze skoczkami. Nawet linia horyzontu nie była już ciągła, widniały w niej wielkie przerwy.

– Jestem chory – wymamrotał Reich. – Jestem chory. Potrzebna mi pomoc...

Trzymając się za brzuch, chwiejnym krokiem poczłapał po spękanych chodnikach.

– Skoczek! – zawył. – Skoczek! Czy w tym przeklętym przez Boga mieście jest jakiś skoczek? Gdzie się wszystkie pochowały? Skoczek!

Żadnego odzewu.

– Jestem chory... Chory. Muszę wrócić do domu. Źle się czuję... – i znowu wrzask: – Czy ktoś mnie słyszy?! Jestem chory... pomocy! Ratunku!

Cisza.

Jęknął i nieoczekiwanie zachichotał cicho jak szaleniec. Łamiącym się głosem zaśpiewał:

– Raz i dwa, i trzy i cztery... Lubi... lubi... wezyr... jadery...

– No, gdzie jesteście! – jęknął niemal z płaczem. – Marie, zapalcie światła! Dajcie spokój tej kretyńskiej grze w SARDYNKI! Potknął się.

– Gdzie jesteście? – zawołał. – Na miłość boską, wracajcie! Zostałem zupełnie sam!

Żadnej odpowiedzi.

Szukał Park South 9, szukał domu Marie Beaumont, gdzie zginął D’Courtney... Jak dobrze byłoby spotkać teraz oszałamiającą, dekadencją Marie Beaumont.

Nie znalazł niczego.

Wokół rozciągała się mroczna i zimna pustynia. Nad nią zwisała czarna kopuła nieba. Wszystko dookoła było obce i wrogie.

Pustka.

Reich wrzasnął. Był to ochrypły, nieartykułowany ryk pełen wściekłości i przerażenia.

Żadnej odpowiedzi. Umiarkowało nawet echo.

– Na miłość boską! – zawył. – Gdzie wszystko przepadło? Oddajcie mi świat! Nie ma tu niczego prócz pustki...

Z tej pustki wyłoniła się pojedyncza sylwetka człowieka, ogromna... znajoma... złowieszczą... Utkana była z mroków. Człowiek Bez Twarzy... Reich tylko patrzył, sparaliżowany przerażeniem.

I nagle nieznajomy przemówił.

– Pustki też nie ma. Nie istnieje już nic.

Reich usłyszał przeraźliwy wrzask. To krzyczał on sam. Usłyszał potężny łomot. To biło jego serce. Biegł teraz nierzeczywistą ścieżką nad rozwierającą się coraz szerzej przepaścią, gdzie nie było życia ani przestrzeni... i spieszył się, zanim będzie za późno, za późno, za późno... Biegł, póki jeszcze istniał czas... czas... czas...

Pobiegł ku zrodzonej z mroków sylwetce bez twarzy. Tej sylwetce, która mówiła:

– Nie istnieje też czas. Niczego już nie ma.

Reich cofnął się o parę kroków. Zawrócił. Upadł. Tracąc siły czołgał się przez odwieczne mroki i jęczał:

– Powell! Duffy! Quizzard! Tate! O Chryste! Gdzie jesteście? Gdzie zniknęło wszystko? Na miłość boską...

I znów natknął się na Człowieka Bez Twarzy, który oznajmił:

– Boga nie ma. Niczego już nie ma.

Teraz nie miał dokąd uciekać. Pozostał jedynie nieskończony brak wszystkiego, Reich i Człowiek Bez Twarzy. Bezsilny i unieruchomiony w tej potrójnej jedności Reich na koniec podniósł wzrok i spojrzał w twarz swego śmiertelnego wroga... człowieka, przed którym nie mógł nigdzie uciec. Tego, co ścigał go pośród nocnych koszmarów... zniszczył jego dotychczasowe życie...

To był...

On sam.

D'Courtney.

Obaj.

Dwie twarze, zlewające się w jedną. Ben D'Courtney. Cray Reich.

D'Courtney-Reich. D'R.

Nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Nie mógł się poruszyć. Nie istniały przecież czas, przestrzeń i materia. Nie pozostało mu nic prócz zamierających myśli.

– *Ojciec?*

– *I syn.*

– *Ty... to ja?*

– *Jesteśmy jednością.*

– *Ojciec i syn?*

– *Nie inaczej.*

– *Niczego nie rozumiem. Co się stało?*

– *Przegrałeś, Ben.*

– *W „SARDYNKI”?*

– *Nie. Przegrałeś grę galaktyczną.*

– *Ależ nie! Wygrałem. Posiadłem całą Galaktykę. Ja...*

– *Dlatego właśnie przegrałeś. Obaj przegraliśmy.*

– *Co przegraliśmy?*

– *Możliwość przetrwania.*

– *Nie rozumiem. Nie mogę tego pojąć.*

– *Pojmuje to ta część nas dwu, która jest mną. I ty zrozumiałbyś wszystko, gdybyś nie odpychał mnie od siebie.*

– *I czymże to cię odpychałem?*

– *Wszystkim, co w tobie zepsute, zgniłe i złe.*

– *I ty to mówisz? Ty... zdrajca, który usiłował mnie zabić?*

– *Czyniłem to bez gniewu i urazy. Robiłem to tylko po to, by zniszczyć ciebie, zanim ty zniszczysz nas obu. Robiłem to dla przetrwania, po to, byś przegrał świat... i wygrał ostateczną rozgrywkę, Ben.*

– *I cóż to za gra? Co to za gra... nazwałeś ją galaktyczną?*

– *To labirynt... błędnik... cały wszechświat, który stworzono dla nas jako łamigłówkę do rozwiązania. Galaktyki, gwiazdy, Słońce, planety... cały świat, jakim go znaleźliśmy. Obaj byliśmy jedynymi bytami realnymi. Wszystko pozostałe stworzono na niby, jak lalki i scenę, po której poruszały się marionetki, przeżywające udawane uczucia. Obaj mieliśmy jedno zadanie: odgadnąć, co kryje się za tą niby-rzeczywistością.*

– *I mnie się to udało. Posiadłem ją.*

– *Ale nie potrafiłeś jej rozwikłać. Nigdy nie dowiemy się, jaka była wykładnia rzeczywistości, ale nie są nią kradzieże, terror, nienawiść, chciwość, morderstwa i przemoc. Zawiodłeś i wszystko przepadło... zniknęło.*

– *A co z nami samymi?*

– *Przepadliśmy także. Usiłowałem cię ostrzec. Chciałem cię powstrzymać. Obaj zawiedliśmy w tej próbie.*

– Ale dlaczego? Dlaczego? Kim i czym jesteśmy?

Któż to może wiedzieć? Czyż ziarno, które nie padło na urodzajną glebę, dowie się kiedykolwiek, kim lub czym mogłoby zostać? Czy jakiegokolwiek znaczenie ma to, kim lub czym jesteśmy teraz? Zawiedliśmy, Ben. To koniec dla nas obu.

– Nie!

– Ben, możliwe, że gdybyśmy rozwikłali tę lamigłówkę, pozostałaby rzeczywistością. Ale teraz już koniec. Rzeczywistość przekształciła się w utraconą możliwość... ty zaś wreszcie się obudziłeś... ku nicości...

– Obaj tam jeszcze wrócimy! Spróbujemy jeszcze raz!

– Tej możliwości nam nie dano. To już koniec.

– Znajdziemy sposób. Musi istnieć jakiś sposób...

– Nie ma żadnego. To koniec.

I nastął koniec.

A po nim... Przeróbka.

Znaleziono ich razem prawie pośrodku ogrodu, na wyspie, skąd otwierał się rozległy widok na stary Harlem Canal. Obaj błakali się całą noc, krążąc po trotuarach i podniebnych trasach, niebaczni na otoczenie, nieuchronnie jednak zbliżając się jeden ku drugiemu, jak dwie namagnesowane igły puszczone na powierzchnię porośniętej rzęsą sadzawki.

Powell skrzyżowawszy nogi siedział na mokrej trawie. Twarz detektywa była ściągnięta i bez wyrazu, oddech i puls prawie zanikły, ale jego ręce niczym kleszcze obejmowały Reicha, który niemal zwinął się w kłębek przybierając pozycję embrionu.

Natychmiast odwieziono Powella do jego domku na Hudson Ramp, gdzie pracownicy laboratoriów Instytutu Ligi, ustaliwszy całodobowe dyżury, zajęli się nim troskliwie, uradowani powodzeniem pierwszej w historii próby Zbiorowego Katheksisu. Przypadek Reicha nie wymagał pośpiechu. W odpowiednim czasie i z zachowaniem właściwej procedury jego bezwładne ciało zostało przekazane do Kingston Hospital w celu dokonania Przeróbki.

Taki stan rzeczy trwał siedem dni.

Ósmego dnia Powell wstał, wykapał się, ubrał, stoczył zwycięską potyczkę z pielęgniarkami i wyszedł z domu. Zaszedł do „Sucre et Cie”, skąd wyniósł sporą i tajemniczo wyglądającą paczkę, po czym skierował się do siedziby komendy policji, by osobiście złożyć raport komisarzowi Crabbe’owi. Zanim jednak tam trafił, wetknął głowę do biura Becka.

– *Serwus, Jax.*

– *Błogosławie(i przekle)ństwa na pański łeb, Link.*

– *Czemu przekleństwa?*

– *Postawiłem pięćdziesiątaka, że potrzymają pana w łóżku aż do środy.*

– *Przegrał pan. Czy Staruch podtrzymał naszą wersję motywu zbrodni na D‘Courtneyu?*

– *Każdą diodą. Rozprawa trwała nie dłużej niż godzinę. Reicha szykują już do Przeróbki.*

– *Świetnie. Cóż, pójdę teraz na górę i wy-ja-śnię wszystko Crabbe ‘owi.*

– *Co pan tam trzyma pod pachą?*

– *Prezent.*

– *Dla mnie?*

– *Nie tym razem. No, na mnie pora. A pan niech zadowolony się pochwałą.*

Przeszedł piętro wyżej, stanął przed drzwiami wyłożonymi hebanem i srebrem, zapukał,

usłyszał władcze „wejść” i wszedł do gabinetu przełożonego. Słuchając raportu Crabbe okazał należyte zainteresowanie, do całej sprawy odniósł się jednak z rezerwą. Śledztwo nie poprawiło jego (i tak już nie najlepszych) stosunków z Powellem. Sposób, w jaki Powell wyjaśnił zagadkę, był w mniemaniu Crabbe’a dodatkowym kamieniem do jego ogródka.

– Sprawa należała do niezwykle skomplikowanych – zaczął Powell oględnie. – Nikt z nas nie umiał jej rozwikłać, ale też trudno kogokolwiek winić. Widzi pan, komisarzu, sam Reich nie pojmował pobudek, dla jakich zabił D’Courtneya. Jedynie Komputer Śledczy dostrzegł prawdziwą przyczynę, dla której popełniono morderstwo, myśmy jednak myśleli, że Staruch dziecinnieje.

– Ta machina? Ona zrozumiała?

– Nie inaczej, sir. Kiedy wprowadziliśmy dane po raz pierwszy, komputer orzekł, iż niedostatecznie udokumentowaliśmy pobudki emocjonalne. My zaś zakładaliśmy, iż motywem jest chęć zysku. Podobnie mniemał sam Reich. Naturalnie pomyśleliśmy, że komputerowi odbiło i uparliśmy się na rozwiązanie uwzględniające działanie dla zysku. Myliliśmy się...

– Więc ta piekielna machina miała rację...

– Tak, panie komisarzu. Miała rację. Reich wmówił sobie, że zabija D’Courtneya z powodów finansowych. Był to jednak tylko psychologiczny kamuflaż prawdziwego, emocjonalnego motywu zbrodni. Do tego bowiem nie mógł się przyznać sam przed sobą. Zaproponował D’Courtneyowi fuzję kapitałów. Ten przyjął propozycję. Podświadomość jednak zmusiła Reicha do niewłaściwej interpretacji depeszy. Reich nie mógł postąpić inaczej. Musiał przekonać samego siebie, że zabija dla pieniędzy.

– Dlaczegoż to?

– Bo nie potrafił sam przed sobą przyznać się do prawdziwej przyczyny morderstwa.

– I cóż to za przyczyna?

– D’Courtney był ojcem Reicha.

– Co takiego? – Crabbe spojrział na Powella nie kryjąc zaskoczenia. – Był jego ojcem? I swego ojca, z którego krwi i kości...

Owszem, sir. Mieliśmy wszystkie przesłanki, nie umieliśmy tylko właściwie ich odczytać... zresztą i Reich nie miał o tym pojęcia. Ot, na przykład posiadłość na Kallisto. Ta, którą posłużył się, by wywabić z Ziemi doktora Jordana. Reich odziedziczył ją po matce, która dostała ją od D’Courtneya. Przyjęliśmy, nie sprawdzając założeń, że stary Reich jakoś

wyślizgał z niej D'Courtneya i podarował żonie. Byliśmy w błędzie. D'Courtney przepisał ją na matkę Reicha jako prezent dla kochanki. To był miłosny podarunek, który ofiarował matce swego synka. Tam właśnie urodził się Reich. Wszystko to odkrył Jackson Beck, ale dopiero po tym, jak sami domyśliliśmy się prawdy.

Crabbe otworzył usta i zamknął je bez słowa.

– Mieliśmy i inne przesłanki. Na przykład samobójcze skłonności D'Courtneya, których źródłem było głębokie poczucie winy z powodu opuszczenia kogoś, kto był mu drogi. Przecież porzucił swego syna. Zadręczał się tym. Nie zwróciliśmy również uwagi na głęboko ukryty w psychice Barbary na poły bliźniaczy wizerunek jej i Reicha; w głębi duszy czuła, że Reich jest jej przyrodnim bratem. Albo fakt, iż Reich nie potrafił się przemóc, by ją zabić u Choki Froid. Podświadomie wiedział i on. Chciał zniszczyć znenawidzonego ojca, który się go wyrzekł, niezdolny był jednak do zamordowania swej siostry.

– Kiedy to wszystko odkryliście?

– Po zamknięciu sprawy, sir. Wtedy, gdy Reich oskarżył mnie o zakładanie tych min-pułapek.

– Twierdził, że to pan. Ale jeśli nie pan, to kto?

– On sam, sir.

– Reich?!

– Tak jest, sir. Zamordował swego ojca. Dał upust swej nienawiści. Ale jego podświadomość nie godziła się z tym, by popełniwszy tak straszną zbrodnię pozostał bezkarnym. Ponieważ prawo z oczywistych powodów było bezsilne, rolę kata przejęło na siebie jego sumienie. Ono było źródłem nocnych koszmarów Reicha i stworzyło Człowieka Bez Twarzy.

– Człowieka Bez Twarzy?

– Nie inaczej, panie komisarzu. Był on symbolem prawdziwego pokrewieństwa pomiędzy D'Courtneyem i Reichem. Nie posiadał twarzy, ponieważ Reich nie pogodził się z prawdą... z tym, iż uznał D'Courtneya za swego ojca. Postać ta pojawiła się w jego snach, gdy zdecydował się zabić. Zawsze też była przy nim. Człowiek Bez Twarzy symbolizował karę za zamysł przestępstwa. Później sam stał się karą.

– A więc te pułapki...

– Otóż to, panie komisarzu. Jego sumienie domagało się pokuty. Reich jednak nigdy nie przyznał sam przed sobą, że zabił D'Courtneya za to, iż ten wyparł się go jako ojciec. Z tego też

powodu i kara musiała wypłynąć z podświadomości. Reich zastawiał te pułapki na samego siebie i nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi. Czynił to podczas snu, jak lunatyk... albo za dnia, w tych krótkich chwilach, gdy zatracał poczucie rzeczywistości. Sztuczki, do jakich uciekają się świadomość i podświadomość, są isticie fantastyczne.

– Skoro sam Reich nic o tym nie wiedział, jak wyście to odkryli?

W tym sęk, sir. Nie mogliśmy dotrzeć do prawdy czytając go po prostu. Odnosił się do nas wrogo, a dla zdobycia tego rodzaju materiału potrzebna jest współpraca obiektu. I tak zresztą trwałoby to parę miesięcy. Ponadto, jeśli Reich zdołałby się otrząsnąć z tych kolejno po sobie następujących szoków, potrafiłby przestawić się psychicznie, spojrzeć na wszystko po nowemu i uodporniłby się na nasze wpływy. W tym również kryło się niebezpieczeństwo, ponieważ posiadał dostateczną władzę, by wstrząsnąć posadami Systemu Słonecznego. Należał do tych rzadkich światoburców, którzy są w stanie siłą obalać zasady, tworzące społeczeństwo i kształtować je wedle własnych upodobań.

Crabbe skinął głową.

– Niemal mu się powiodło. Tacy ludzie pojawiają się niekiedy. Są jak ogniwa łączące przeszłość i przyszłość. Jeśli pozwoli im się poznać własną siłę, jeśli ogniwo zostanie zespawane... świat będzie skazany na okropne jutro.

– I cóż zrobiliście?

– Uciekliśmy się do Zbiorowego Katheksisu, sir. Niełatwo wyjaśnić, na czym to polega, ale postaram się wyłożyć rzecz jak najlepiej. Na psychiczne rezerwy każdego człowieka składają się dwa rodzaje energii – latentna, czyli uśpiona, i ta wykorzystywana na bieżąco. Energia latentna jest zapasem na czarną godzinę, w zwykłych warunkach nie wykorzystywanym. Energią bieżącą posługujemy się w życiu codziennym. Większość ludzi wykorzystuje tylko bardzo niewielką część owej ukrytej energii.

– Rozumiem.

– Gdy Liga Esperów ucieka się do masowego Katheksisu, każdy z jej członków, mówiąc obrazowo, otwiera swą duszę i przekazuje zapasy energii latentnej do wspólnego użytku. Jeden z esperów odgrywa rolę przekaźnika i staje się kanałem przesyłowym. Zbiera ją w sobie i użytkuje na potrzeby bieżące. Może wtedy dokonać zdumiewających rzeczy... o ile uda mu się kontrolować przepływ. Cała ta operacja jest trudna i ryzykowna. To tak jakby ktoś chciał polecieć na Księżyc, wetknąwszy sobie laskę dynamitu w... chciałem powiedzieć, usiadłszy na

lasce dynamitu.

Nieoczekiwanie Crabbe uśmiechnął się szeroko:

– Szkoda, że nie jestem wnikaczem – powiedział. – Dużo dałbym za to, by dowiedzieć się, jak pan widzi ten przelot na Księżyc.

– Przecież pan to już wie. – Powell również się uśmiechnął. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zaczęli ze sobą współpracować, zrozumieli się wzajemnie.

– Okazało się, iż koniecznie trzeba Reicha skonfrontować z Człowiekiem Bez Twarzy. Jeżeli mieliśmy odkryć prawdę, musieliśmy doprowadzić do sytuacji, w której najpierw pozna ją Reich. Czerpiąc z zapasu uśpionej energii psychicznej, wywołałem u Reicha dość pospolitą neurozę... złudzenie, że jedynie on jest prawdziwym bytem w świecie złożonym z iluzji.

– Dobrze sobie, dość pospolitą...

– Nie inaczej, sir. Ta iluzja to jeden z trywialnych sposobów ucieczki od rzeczywistości. Kiedy życie daje w kość, niejeden ucieka się do wmówienia sobie, że wszystkie jego problemy to tylko złudzenia, część ogromnej mistyfikacji. Reich nosił już w sobie zarodki tej idei. Ja po prostu wzmocniłem ją i pozwoliłem, by Reich borykał się sam ze sobą. Ostatnio życie naprawdę go nie rozpieszczało. Udało mi się wmówić mu, że wszechświat jest mistyfikacją... ogromną łamigłówką-układanką. A potem warstwa po warstwie zacząłem rozbierać tę układankę na części. I sprawiłem, iż uwierzył, że na tym koniec. Łamigłówka została rozebrana do ostatka. Wtedy pozostawiłem Reicha samego z Człowiekiem Bez Twarzy. Spojrzał w jego oblicze i zobaczył siebie i swego ojca... my zaś otrzymaliśmy rozwiązanie zagadki.

Powell podniósł swą paczkę i wstał. Crabbe również szybko poderwał się z fotela i odprowadził detektywa ku drzwiom, położywszy mu przyjaźnie dłoń na ramieniu.

– Dokonał pan fenomenalnej pracy, Powell. Fenomenalnej. Nie mogę wprost wyrazić... Być esperem to cudowna rzecz.

– Cudowna i przerażająca, sir.

– Wszyscy musicie być bardzo szczęśliwi.

– Szczęśliwi? – Powell przystanął przy drzwiach i spojrzał na Crabbe'a. – Panie komisarzu, czy pan byłby szczęśliwy, gdyby musiał pan spędzać swe życie w szpitalu?

– W szpitalu?

– Tak właśnie żyjemy... my wszyscy... w zakładzie dla psychicznie chorych. Pozbawieni możliwości ucieczki i perspektywy opuszczenia zakładu. Niech pan dziękuje losowi za to, iż nie

urodził się pan wnikaczem. Niech pan dziękuje losowi za to, iż pozwolił panu poznawać jedynie ludzką postać zewnętrzną. Niech pan będzie wdzięczny za to, że nie postrzega pan uczuć pasji, nienawiści, zazdrości, nie widzi pan przewrotności i wypaczeń umysłów... Rzadko miewa pan okazję ujrzeć w ludziach tę prawdę, która nas przeraża. Świat będzie wspaniałym miejscem, gdy każdy stanie się wnikaczem i każdy dostroi się do reszty. Do tej pory jednak niech pan dziękuje losowi za swą ślepotę.

Opuścił gmach komendy, wziął skoczka i frunął na północ do Kingston Hospital. Siedział w kabinie z paczką na kolanach, przyglądał się pysznej dolinie Hudsonu i poświstywał zawiłą melodyjkę. W pewnej chwili uśmiechnął się do swych myśli i mruknął:

– No, no. Pomyśleć tylko, udało mi się oświecić nieco samego Crabbe’a. Trzeba jednak było wyjaśnić nasze wzajemne układy. Od tej chwili będzie nam współczuł... i będzie nam sprzyjał.

W dole zobaczył wspaniałą panoramę Kingston Hospital... przed jego oczyma przesuwały się solaria, baseny, trawniki, boiska, domki mieszkalne i kliniki, wszystko bez wyjątku zaprojektowane w stylu doskonałego neoklasycyzmu. W miarę jak skoczek opadał w dół, Powell dostrzegał figurki pacjentów i członków personelu medycznego... opalonych, roześmianych, zajętych grą lub zabawą. Powell przypomniał sobie, jak przewidująca i czujna musiała być Rada Gubernatorów, by zapobiec przekształceniu się szpitala w drugi Spaceland. O skierowania tu starało się bardzo wielu bogatych hipochondryków i symulantów.

O Barbarę D’Courtney zapytał w recepcji, tam dostał jej adres i ruszył na przelaj. Kilka ostatnich dni mocno go osłabiło, miał jednak ochotę na przeskakiwanie żywopłotów, wdrapywanie się na furtki i ściganie wzdłuż alejek. Po siedmiu dniach ocknął się z letargu z jedynym pytaniem na ustach – ale odpowiedzi mogła udzielić mu tylko Barbara.

Ujrzeni się oboje w tej samej chwili. Dzielił ich rozległy gazon, otoczony kamiennymi tarasami i pysznym ogrodem. Machając ręką pobiegła ku niemu, pospieszył jej więc na spotkanie. Ale gdy już zbliżyli się do siebie, oboje unieruchomił nagły przyływ nieśmiałości. Zatrzymali się w odległości kilku stóp od siebie, nie śmiejąc nawet podnieść oczu.

– Cześć.

– Witaj, Barbaro.

– Ja... przejdźmy, proszę, do cienia, dobrze? Zawrócili w stronę tarasu. Powell kątem oka przyglądał się dziewczynie. Znow była pełna życia, takiej jej jeszcze nie widział. Znajomy

pozostał w niej tylko wyraz twarzy – ów uśmiech łobuziaka, który uważał za element kuracji *deja eprouve*. Teraz wyglądała na niezwykle podnieconą, rozradowaną i zafascynowaną. Była już dorosła. Taką jej nie znał.

– Wypisują mnie dziś wieczorem – powiedziała.

– Wiem.

– Jestem ogromnie wdzięczna za to, co dla mnie...

– Nie mów, proszę.

– ...zrobiłeś – dokończyła spokojnie, nie zwracając uwagi na jego słowa. Usiedli na kamiennej ławie. Barbara spojrzała mu wprost w oczy. – Chciałabym ci powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczna.

– Barbaro, proszę. Czuję się skrępowany.

– Naprawdę?

– Poznałem cię tak blisko... no, oczywiście, kiedy byłaś dzieckiem. Teraz zaś...

– Teraz ponownie jestem dorosła.

– Otóż to.

– Powinieneś poznać mnie lepiej. – Uśmiechnęła się uroczo. – Powiedzmy... herbatka jutro o piątej.

– O piątej?

– Tylko ty i ja. Nie musisz zakładać fraka.

– Posłuchaj – zaczął zdesperowany ostatecznie Powell. – Wiele razy pomagałem ci się ubierać. Czesalem cię. Myłem ci zęby.

Barbara beztrąsko machnęła ręką.

– Twoje zachowanie przy stole bywało okropne. Przepadałaś za rybą i nie cierpiałaś baraniny. Kiedyś walnęłaś mnie w oko kotлетem.

– To było całe wieki temu, panie Powell.

– Nie dawniej niż dwa tygodnie temu, panno D'Courtney.

Podniosła się z godnością.

– Doprawdy, panie Powell, sądzę, iż lepiej będzie, jeśli przerwiemy tę rozmowę. Pańska skłonność do chronograficznych insynuacji... – przerwała i spojrzała na niego. Na jej twarzy ponownie pojawił się łobuzerski uśmieszek. – Chronograficznych... dobrze powiedziałam?

Puścił paczkę i porwał ją w ramiona.

– Panie Powell, panie Powell, panie... Powell – szeptała. – Witam pana, panie Powell...
– Boże mój, Barbaro... Moja kochana! Przez chwilę myślałem, że mówisz serio.
– Zrewanżowałam się za to, że zrobiłeś ze mnie osobę dorosłą.
– Zawsze byłaś mściwym bachorem.
– A ty... złośliwym ojcem satrapą. – Odsunęła się nieco i spojrzała na niego. – Jaki jesteś naprawdę? Jacy jesteśmy oboje? Czy będziemy mieli dość czasu, by poznać się nawzajem?

– O czym ty mówisz?

– No, zanim... lepiej mnie odczytaj. Nie mogę o tym mówić.

– Nie, skarbie. Musisz powiedzieć to na głos.

– Mary Noyes wszystko mi powiedziała.

– Ach tak? Powiedziała ci?

Barbara skinęła głową.

– Ale nie dbam o to. Nic mnie to nie obchodzi. Miała rację. Nie zależy mi na niczym.
Nawet jeśli nie możesz się ze mną ożenić...

Powell wybuchnął śmiechem. Ogromna ulga, której doznał, musiała znaleźć jakieś ujście.

– Nie będziesz musiała się poświęcać – powiedział. – Siadaj. Chcę ci zadać jedno pytanie.
Usiadła. Na jego kolanach.

– Musimy cofnąć się do owej nocy.

– W Beaumont House? Skinął głową.

– Niełatwo mi o tym mówić.

– Nie zajmie to nawet minuty. Przypomnij sobie... Leżałaś w łóżku i spałaś. Nagle obudziłaś się i wbiegłaś do Apartamentu Orchidei. Przypominasz sobie resztę...

– I owszem.

– Jedno pytanie. Jak brzmiał okrzyk, który cię obudził?

– Przecież wiesz.

– Wiem, ale chciałbym, abyś powiedziała to głośno. No, dalej.

– Nie sądzisz, że... może zdarzyć mi się atak hysterii?

– Nie. Po prostu powiedz to na głos.

Po dłuższej chwili szepnęła cicho:

– Barbaro, na pomoc. Powell ponownie skinął głową.

– Kto krzyczał?

– Jak to, kto? Mój... – nagle urwała.

– Nie krzyczał Ben Reich. Nie wołałby o pomoc. Nie potrzebował jej zresztą. A więc kto?

– Mój... mój ojciec.

– Barbaro, przecież on nie mógł mówić. Usunięto mu krtań. Cierpiał na raka. Głośno nie mógł wypowiedzieć ani słowa.

– Ale ja go słyszałam.

– Odczytałaś go.

Spojrzała na niego zdumiona, potem potrząsnęła głową.

– To niemożliwe...

– Odczytałaś go – stwierdził Powell łagodnym głosem. – Jesteś ukrytym esperem. Ojciec wezwał cię telepatycznie. Domyśliłbym się tego już dawno, gdybym nie był takim osłem i nie skupił się wyłącznie na Reichu. Przez cały czas, gdy przebywałaś u mnie w domu, nieświadomie podczytywałaś mnie i Mary.

Nie chwytła jeszcze.

– Kochasz mnie? – Powell poszedł na całość.

– Oczywiście – szepnęła – ale myślę, że szukasz usprawiedliwienia, by...

– Kto teraz pytał?

– O co?

– Czy mnie kochasz.

– No, jak to... przecież to ty... – przerwała i spróbowała jeszcze raz. – Powiedziałaś... To ty...

– Niczego nie mówiłem. Nie pojmujesz? Nie musimy liczyć się z nikim oprócz nas samych.

Wydawało się, iż minęło zaledwie parę sekund, w rzeczy samej upłynęło jednak mniej więcej pół godziny, gdy odskoczyli od siebie usłyszawszy nagły łoskot, rozlegający się na tarasie ponad ich głowami. Zaskoczeni spojrzeli w tamtą stronę.

Na szczycie kamiennego muru ukazała się jakaś naga istota, skulona, bełkocąca coś pod nosem i pojękująca. Przelazłszy przez krawędź, zwała się na łeb i potoczyła po klombach, dopóki nie wylądowała na trawniku, krzyżąc i miotając się jak leczony prądem epileptyk. Był to Ben Reich w trakcie trwającej właśnie Przeróbki, zmieniony prawie nie do poznania.

Powell odwrócił Barbarę ku sobie, miała teraz Reicha za plecami. Ujął ją pod brodę

i spytał:

– Nadal jesteś moją małą dziewczynką?

Barbara skinęła głową.

– Nie chcę, byś to oglądała. Nic ci nie grozi, lepiej jednak nie patrz. Wróc do swego domku i zaczekaj na mnie, dobrze? No, bądź grzeczną dziewczynką. Zgoda? Teraz znikaj! Jazda!

Ujęła jego dłoń, ucałowała ją szybko i nie oglądając się pomknęła przez trawnik. Powell przez chwilę patrzył za nią, potem odwrócił się i badawczo spojrzął na Reicha.

Gdy w Kingston Hospital przerabia się człowieka, zniszczeniu ulega cała jego psychika. Po serii zastrzyków osmotycznych rozkładowi poddawane są najwyższe poziomy świadomości, umieszczone w powierzchniowych warstwach kory mózgowej. Wyłącza się kolejne obwody, zeruje komórki pamięciowe i niweczy wszystko, czego człowiek nauczył się od dnia narodzin. Podczas tego procesu każda komórka rozładowuje część swej energii, przekształcając ciało w drgający kurczowo kłębek chaosu.

Nie w tym jednak tkwi istota bólu i grozy Przeróbki. Najbardziej bowiem przeraża fakt, iż świadomość nie zanika; podczas gdy kasują delikwentowi duszę, jego umysł pozostaje świadomy procesu powolnej śmierci, przebiegającego jak puszczonego do tyłu film. Wie też, że będzie musiał poczekać na swe ponowne narodziny. Umysł na wieczność całą żegna się z istnieniem i cierpi nieskończenie długą żałobę. W przymrużonych oczach Reicha, pod drgającymi kurczowo powiekami, Powell dojrzał świadomość bólu, tragedię i rozpacz.

– Psiakrew, jak to się stało, że dołączył aż tutaj? Mamy go wiązać, czy co? – Ponad krawędź tarasu wytknął głowę doktor Jeems. – O, pan Powell. To pański przyjaciel. Pamięta go pan?

– Pamiętam doskonale.

Jeems odwrócił się nieco i przez ramię wydał polecenie komuś z personelu:

– Zejdźcie na trawnik i zabierzcie go stamtąd. Tymczasem będę miał go na oku. – Znowu odwrócił się do Powella. – Facet kipi wprost energią. Pokładamy w nim wielkie nadzieje.

Reich skrzeczał i miotał się skręcany drgawkami.

– Jak idzie kuracja?

– Wspaniale! Ma wystarczający zapas sił żywotnych, by wytrzymać wszystko. Oddziałujemy na pacjentów kolejno różnymi metodami. Mniemam, iż ten tu za rok będzie już gotów do ponownych narodzin.

– Ja też czekam na ten moment. Potrzebujemy takiego człowieka jak Reich.

– Wstyd byłby, gdybyśmy go stracili.

– Stracili go? Jak to możliwe? Nie sądzi pan chyba, iż upadek z tak niewielkiej wysokości mógł...

– Nie, miałem na myśli co innego. Trzysta, czterysta lat temu gliny chwytały ludzi takich jak Reich po to tylko, by ich zabijać. Nazywano to karą główną.

– Żartuje pan?

– Słowo skauta.

– Przecież to bez sensu. Jeśli ktoś ma dość zdolności i charakteru, by zadrzeć ze społeczeństwem, jest z całą pewnością osobnikiem nieprzeciętnym. Należy go cenić. Należy poprawić jego psychikę i przekształcić w jednostkę wartościową. Dlaczego go odrzucać? Ten, kto tak czyni, otrzymuje w końcu społeczność owiec.

– Nie umiem odpowiedzieć. Może w tamtych czasach to właśnie było potrzebne.

Ścieżką wzdłuż trawnika nadbiegli pielęgniarze i schwytali Reicha. Wrywał się nie bez wrzasków. Uciekwszy się do paru chwytów wypracowanej w Kingston zmyślnej i łagodnej odmiany judo, przytrzymali go, sprawdzając, czy sobie czegoś nie złamał i czy się nie pokaleczył. Potem, uspokojeni, poprowadzili go w głąb ogrodu.

– Chwileczkę! – zawołał Powell. Odwrócił się ku kamiennej ławie, podniósł z niej tajemniczą paczkę i rozwinął ją. Wewnątrz znajdowała się jedna z najwspanialszych bombonier, jakie można było znaleźć w „Sucre et Cie”. Podeszedł do poddawanego Przeróbce delikwenta i podał mu prezent. – To dla pana, Ben. Proszę.

Nie będąc jeszcze człowiekiem stworzenie przyjrzało się Powellowi i pudełku. Wreszcie, po dłuższej chwili, wysunęło przed siebie ręce i niezdarnie ujęło bombonierkę.

– Cóż, u licha, w końcu zostałem samarytaninem – mruknął Powell do siebie. – Wszyscy jesteśmy pielęgniarzami tego zwariowanego świata. Czy on na to zasługuje?

Nagle z kipiącego w Reichu chaosu wyrwało się:

– *Powell-przyjaciół-Powell-przyjaciół-Powell-przyjaciół...*

Wybuch był tak nieoczekiwany, tak nagły i pełen żywiołowej wdzięczności, że Powella zalała fala ciepła, a w jego oczach pojawiły się łzy. Spróbował się uśmiechnąć, potem odwrócił się i ruszył przez trawnik w stronę pawiloniku Barbary.

– *Śłuchajcie!* – krzyknął głęboko wzruszony. – *Posłuchajcie mnie, ludzie normalni! Powinniście dowiedzieć się, jak to jest. Powinniście unicestwić bariery, zdrzeć dzielące was*

zasłony. My postrzegamy prawdę, o której nie macie pojęcia. W człowieku jest bezmiar miłości i ufności, odwagi i łagodności, dobroci i poświęcenia. Wszystko inne to tylko bariery, wzniesione przez waszą ślepotę. Któregoś dnia wszyscy złączymy swe serca i umysły...

Wśród nieskończoności wszechświata nie istnieje nic nowego. To, co obejmującemu tylko chwilę umysłowi człowieka wydaje się niepowtarzalne, odwieczny Bóg znajduje nieuniknionym. Niezwykła chwila jednostkowego istnienia, niebywale wydarzenie, zdumiewający zbieg okoliczności i warunków, okazji i wypadków... wszystko to już powtarzało się po wielokroć na planecie, której przyświeca słońce galaktyki, dokonującej obrotu w ciągu dwustu milionów lat. A stało się tak już dziewięciokrotnie.

Kiedyś istniała na świecie radość. Nadejdzie jeszcze jej czas.